



Dorothy Daniels



ZWIERCIADŁO MAEVE

tom I

CZEŚĆ PIERWSZA

Maeve O'Hanlon

Rozdział pierwszy

Spoglądałam na białe półkoliste pasmo plaży i błękitne morze połyskujące na linii horyzontu. Powietrze wypełniało pokrzykiwanie mew i zapach dzikiego tymianku porastającego wzgórze, gdzie się znajdowałam. Próbowałam ukoić niespokojne bicie dziewiętnastoletniego serca podziwiając niezrównaną urodę dnia i irlandzkiego krajobrazu. Był rok 1895.

Za moimi plecami ciągnęło się ukochane przeze mnie Błękitne Pasma Achillu, a w dole rozpościerały wody zatoki Clew. Wierzyłam niezłomnie, że znajduję się w najpiękniejszym zakątku najwspanialszego kraju stworzonego ręką Boga. Wyobraziłam sobie, że u mego boku stoi przystojny młodzieniec i szepcze mi do ucha: „Zgadzam się, Maeve, że to urocze miejsce, ale jak mogę podziwiać krajobraz, gdy obok mnie jesteś ty?” Otoczył mnie ściślej ramieniem, a ja zwróciłam twarz w jego stronę...

Gwałtowny podmuch wiatru wyrwał mnie z marzeń. Promienie popołudniowego słońca nie grzały tak, jak w ciągu dnia. Nagle poczułam chłód, a morze wydało mi się groźne. Zgodnie z przepowiednią pewnego dnia wzburzone morze stanie się przyczyną mojego cierpienia. Próbując otrząsnąć się z ponurego nastroju skierowałam się w stronę domu.

Do Kilcrea, wioski, w której się urodziłam i gdzie wiosną 1876 roku umarła moja matka, wydając mnie na świat, było dziesięć minut szybkiego marszu. Nie mieszkałam w krytej strzechą chacie, ale w prawdziwym, piętrowym domu z kamienia i cegły. Moim ojcem był Brian O'Hanlon, lekarz medycyny, do którego pacjenci

wędrowali wiele mil i do których, ku memu niezadowoleniu, sam często wyjeżdżał, gdy byli zbyt słabi, by przyjść do niego o własnych siłach. Wiele dni i nocy spędziłam sama, często udzielając pierwszej pomocy lżej chorym, którzy szukając porady lekarskiej pojawiali się akurat podczas jego nieobecności. Ojciec nauczył mnie bowiem podstawowych zasad postępowania w przypadkach typowych schorzeń.

Zeszłam ze wzgórza i odszukałam wydeptaną ścieżkę, tak dobrze znaną sobie i Jimowi, memu starszemu bratu, studiującemu teraz medycynę w Edynburgu. Choć byłam głęboko przekonana, że czeka go wspaniała kariera chirurga, po jego wyjeździe z Kilcrea dokuczała mi jeszcze dotkliwsza samotność.

Szłam szybko w chłodzie nadciągającego wieczoru, układając sobie w głowie menu kolacji, którą przygotuję dla ojca — *colcannon**, kotlety baranie, razowiec z masłem. A co na deser? Kisiel agrestowy ze słodką śmietanką, postanowiłam.

* *colcannon* — irlandzka potrawa z ziemniaków i kapusty (przyp. tłum.).

Patrząc na nią dziś, widzę że Kilcrea nie należy do wiosek, przedstawianych na barwnych pocztówkach w rodzaju tych, które prezentują godne uwagi miejsca w Dublinie czy innych naszych miastach. Było to jedynie skupisko jakichś stu pięćdziesięciu chałup, zamieszkanymi w większości przez starszych ludzi. Młodzi wyjeżdżali, by pracować w mieście. Chłopcy zostawali lokajami, woźnicami lub stajennymi. Silniejsi i pozbawieni ogłady zatrudniali się przy ciągnięciu dwukółek do przewożenia piwa i przetaczaniu beczek albo w kopalniach. Dziewczyny niemal bez wyjątku zostawały pomocami domowymi, ładniejsze i obrotniejsze przyjmowano na pokojówki. Harowały całe dni za nędzne grosze i utrzymanie. Nie przeszkadzało im to bynajmniej zadzierać nosa, kiedy przyjeżdżały do swych domów rodzinnych z wizytą. Wiele z moich starych przyjaciółek nakłaniało mnie w protekcyjny sposób, bym poszła w ich ślady. Mieszkały w wielkim mieście, poznawały świat, były na bieżąco z wszelkimi nowinkami mody. Wokół kręciło się pełno młodzieńców, co zwiększało szanse na ożenek. Kilka razy uległabym ich namowom i tylko

zdecydowana postawa ojca sprawiła, że nie wypróbowałam na własnej skórze barwnego życia, oferowanego przez wielkie miasto.

Mieszkałam w Kilcrea na wyraźne życzenie ojca, a również dlatego, że nie potrafiłabym go zostawić samego. Od moich narodzin żył samotnie i gdybym wyjechała, jego samotność stałaby się jeszcze dotkliwsza. A więc pozostałam z nim. Czułam, że jestem mu to winna.

Zresztą w wiosce też nie brakowało chłopaków, krzepkich, lubiących pracę na roli i nie żałujących na nią czasu. Jednym z nich był Cathal Dolan. Właśnie ujrzałam go, jak siedzi na kamiennym murku i czeka na mnie. Cathal nigdy nie wychodził mi na spotkanie, tylko siedział niczym król na tronie i pozwalał do siebie przychodzić. Tylko że jego tronem był nierówny kamienny murek, a sam Cathal w starej czapce, wypłowiałym zielonym swetrze, który dni świetności miał już dawno za sobą, i spodniach o mankietach wiecznie powalanych ziemią, niezbyt przypominał króla.

Znaliśmy się z Cathalem od dziecka. Lubiłam go, ale nie miałam zamiaru się z nim wiązać, na co coraz natarczywiej nalegał.

Był przystojny, choć nieco szorstki w obejściu. Ciężko pracował i nigdy nie popadał w tarapaty. Dziewczyny strzelały za nim oczami, ale nie zwracał na nie uwagi. Wiedziałam, że to ja byłam tego przyczyną, co stawiało mnie w jeszcze kłopotliwszej sytuacji, bo Cathal nie był mężczyzną, w którym mogłabym się kiedykolwiek zakochać.

Jego ambicje ograniczały się do posiadania kilkunastu akrów ziemi ornej, pastwiska i stada owiec oraz stodoły kilka razy większej od chałupiny. Gdybym została jego żoną, moje życie sprowadzałoby się do doglądania stadka kur, pielienia zagonu kartofli, a w niedziele — wypraw do kościoła.

Poza tym Cathal kurzył glinianą fajkę, którą nabijał machorką śmierdzącą gorzej niż płonące torfowisko. Kiedy lajałam go za palenie tego świństwa w obecności damy, dmuchał mi dymem prosto w twarz, uważając to za wspaniały żart. Nie wierzył, że mówię serio, bo wszyscy mężczyźni w okolicy ćmili identyczne fajki i nie dysponowali niczym innym poza grubo pociętą machorką.

— Twój ojciec czeka w domu już z godzinę, a może nawet dłużej, i nie ma mu kto podać choćby szklanki herbaty, bo ty się gdzieś włóczysz — powitał mnie Cathal.

— Pamiętaj, moja słodka Maeve, że kiedy zostaniesz moją żoną, nie pozwolę na coś takiego.

— Nie jestem twoją Maeve — odparłam szorstkim tonem.

— Ale nie zaprzeczasz, że jesteś słodka — zauważył uśmiechając się szeroko.

— I nie zostanę twoją żoną, Cathalu Dolanie. Ani w tym roku, ani w przyszłym, ani nigdy. Bardzo cię proszę, żebyś nie rozpowiadał wszystkim wokoło, że się pobierzemy, bo wprawiasz mnie tylko w zakłopotanie, a poza tym to wierutne kłamstwo.

— Mylisz się, Maeve. Wiesz bardzo dobrze, że pewnego dnia wyjdiesz za mnie. Dawno już postanowiono, że zostaniemy mężem i żoną, bo w przeciwnym razie czemu wychowywano by nas razem od najmłodszych lat? Całe życie cię kochałem o czym dobrze wiesz. Sama też nigdy mi nie powiedziałaś, że jestem ci obojętny, dopiero ostatnio coś ci się odmieniło.

— Bo wcześniej nie byłam pewna — oświadczyłam. — Jeśli przyszedłeś tu, by odprowadzić mnie do domu, to proszę bardzo, ale oszczędź mi swej czczej gadaniny, Cathalu Dolanie.

Zsunął się z kamiennego murku i podszedł do mnie. Szorstką ręką ujął moją dłoń, a ja mu jej nie wyrwałam. Spacerowaliśmy trzymając się za ręce od najwcześniejszego dzieciństwa. Nie widziałam w tym niczego niewłaściwego.

— Zgodzę się, byś nauczyła mnie tego, czego nauczył cię ojciec — powiedział. — Arytmetyki i języka, nawet celtyckiego. Będę czytał książki i pilnie studiował.

— Czemu nie zaczniemy od razu? — spytałam.

— Będzie na to dosyć czasu po ślubie.

— Jeśli kiedykolwiek za ciebie wyjdę — powiedziałam unosząc głowę, bo przy moich stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu górował nade mną, jako że mierzył metr osiemdziesiąt pięć. — A z pewnością będzie to ponury dzień.

— Poślubisz mnie, bo ja tak mówię.

— Owszem, mówisz, ale nigdy nie słyszałeś, Cathalu Dolanie, by podobne stwierdzenie padło z moich ust. Zresztą mój mąż musi wiedzieć więcej ode mnie.

— Poza twoim ojcem nikt taki nie mieszka w naszej wiosce.

— Bo on wcale nie będzie z naszej wioski.

— O, jesteś tego taka pewna?

— Jak tego, że teraz idę z tobą.

— To w takim razie módl się, by był też silniejszy ode mnie, Maeve O'Hanlon, i potrafił się dobrze bić, bo sprawię mu niezłe manto.

— Och, Cathalu, lepiej by było, gdybyś częściej używał głowy niż pięści.

Szliśmy środkiem zakurzonej drogi biegnącej między szeregiem małych chat. Zza firanek, jak zwykle, ścigały nas ciekawskie spojrzenia, a plotkarze gubili się w domysłach, kiedy razem z Cathalem damy na zapowiedzi i staniemy na ślubnym kobiercu, by ojciec Burke połączył nas świętym węzłem.

— Powiedz mi — poprosił Cathal — skąd będziesz wiedziała, że to właśnie twój wybrany, kiedy go spotkasz po raz pierwszy?

— Widziałam go już, Cathalu. Wiem, jak wygląda. Kiedy się pojawi, od razu go poznam.

— Mówisz zupełnie jak głupi Padraic Flynn, zanim go zabrali do domu wariatów. Skąd masz te informacje, Maeve? Od małych ludzików w czerwonych czapczkach?

— Cathalu, stajesz się niegrzeczny — powiedziałam ostrym tonem, zatrzymując się gwałtownie i tym samym zmuszając również jego, by przystanął, bo wciąż trzymaliśmy się za ręce.

— Pragniesz mnie poślubić głównie ze względu na to, że chcesz ze mną sypiać. Czytam to z twoich oczu i głupawego uśmiešku. Ale nic z tego nie będzie, zapamiętaj to sobie dobrze. Wiesz, że moja matka wywodziła się z królewskiego rodu...

— Daj spokój, Maeve — powiedział wykrzywiając twarz. — Każdy Irlandczyk utrzymuje, że jest potomkiem królów. Ja też, gdybym chciał, mógłbym tak twierdzić,

bo wszystkie te historie są wyssane z palca.

— Ale nie w moim wypadku. Zresztą odziedziczyłam po swoich przodkach dar widzenia przyszłości. Czasem te wizje są ciemne, czasem zamglone, ale czasem zupełnie klarowne. A obraz mężczyzny, którego poślubię, był bardzo wyraźny i wierzy mi, że to na pewno nie byłeś ty.

— Jesteś stuknięta — oświadczył Cathal. — Jeśli istnieje jakieś lekarstwo na twoją przypadłość, to poproś ojca, by ci je przepisał. Mimo wszystko, słodka Maeve, nie jestem na ciebie zły ani nie czuję się dotknięty twoimi słowami. Ten mężczyzna, w spotkaniu z którym tak mocno wierzysz, będzie jak opar mgły, znikający w pierwszych promieniach słońca. A kiedy to nastąpi ja będę przy tobie. Wybaczam ci, Maeve O'Hanlon, bo z natury jestem człowiekiem wyrozumiałym.

Spojrzałam na niego gniewnym wzrokiem. Wybaczal mi, ten dureń o zakutym łbie! A jednak nawet w przyływie niepohamowanej złości i chęci dania mu kuksańca, co czyniałam często, kiedy byliśmy dziećmi, zdawałam sobie sprawę z tego, że nie chcę stracić jego przyjaźni. Był dobrym człowiekiem, nawet jeśli czasem irytował mnie swoim zachowaniem. Nie porzuca się kogoś, kogo się zna od dzieciństwa, kto stanowi tak istotną część własnego życia. A przecież zrobiłabym mu przysługę, uwalniając go od swojej osoby, by mógł znaleźć sobie inną kandydatkę na żonę. Nie należał do mężczyzn, którzy spędzają życie samotnie, ale póki byłam wolna i nikt inny nie ubiegał się o moją rękę, nie odstępował mnie ani na krok. Przystawałam na to, choć czasem jego obecność była nieznośna.

Nabrałam głęboko powietrza i powiedziałam:

— Dziękuję ci, Cathalu Dolanie. Wdzięczna ci jestem za twoją wspaniałomyślność i proszę, byś albo odprowadził mnie teraz do domu, albo pozwolił mi udać się tam samej. Nie musisz mi towarzyszyć.

— Mylisz się, Maeve — odrzekł. — Żadna królowa nie powinna nigdy chodzić do domu sama. Kiedyś musisz mi pokazać swoją koronę.

— Kiedyś — odparłam ostrym tonem — pokażę ci drzwi i zatrzasnę je za tobą, czego później oboje będziemy żałowali.

Cathal wiedział, że posunął się za daleko, i skwapliwie okazał skruchę.

— Przepraszam cię, Maeve, i jeśli sobie tego życzysz, gotów jestem błagać cię o przebaczenie nawet na kolanach.

— Przestań gadać głupstwa — powiedziałam łagodniejszym tonem. — Nie jesteś mężczyzną odpowiednim dla mnie, Cathalu Dolanie. Znajdź sobie inną dziewczynę. Wiem, że od jakiegoś czasu Maureen McLinden wodzi za tobą tęsknym wzrokiem. Zdecyduj się póki czas, bo potem możesz gorzej trafić.

— Nie interesuje mnie nikt poza tobą — oświadczył. — Nie poddam się. Za długo ze sobą chodziliśmy. Jesteś wciąż młoda i bardzo głupiutka, masz skłonności do cofania się myślami w przeszłość, snucia marzeń na jawie, a potem spoglądania w przyszłość, by się przekonać, czy twoje rojenia się spełnią. Kiedy się przekonasz, moja słodka Maeve, że to tylko czcze mrzonki, przyznasz mi rację i będziesz szczęśliwa, że jestem przy tobie. Dalej idź sama. Nie odprowadzę cię po tym, co mi powiedziałaś. Życzę ci miłego dnia, Maeve O'Hanlon.

Oddalił się mocno wzburzony. Było mi przykro z tego powodu, choć z drugiej strony cieszyłam się, że mnie zostawił w spokoju i że nie będzie mnie już prześladował swymi planami, dotyczącymi wspólnej przyszłości. Od dawna już próbowałam go zniechęcić do tego pomysłu, przynajmniej od dwóch lat, ale jak dotąd na próżno. Zawsze był przy mnie, czasem nawet u mych stóp. Cała wieś o nas mówiła, czekając, jak się to wszystko skończy. Ojciec nie czynił z tego kwestii. Nie byłam całkowicie pewna, czego się po mnie spodziewał i postanowiłam, że jeszcze dziś poważnie z nim porozmawiam. Jeśli był po mojej stronie, to świetnie. Jeśli nie, to od tej pory słowem nie wspomnę ani o Cathalu, ani o mężczyźnie, którego twarz ujrzałam w zwierciadle królowej Maeve, mojej antenatki, na cześć której otrzymałam swoje imię.

Mój dom rodzinny z kamienia i cegły, oświetlony promieniami popołudniowego słońca, sprawiał imponujące wrażenie w porównaniu z niewielkimi, krytymi strzechą chałupami o pobielonych ścianach. Miały one jedną przestronną izbę z piecem służącym do gotowania a zarazem do ogrzewania oraz jedną lub dwie malutkie

sypialnie. Nie można powiedzieć, by były niewygodne, a już na pewno nie wolno ich porównać do jakiejś nory. Niewielu właścicieli zamieniłoby je na pałac — przynajmniej ci ze starszego pokolenia.

Zarówno mnie, jak i ojca często zdumiewała reakcja starszych osób, kiedy zjeżdżały do nich z wizytą dzieci mieszkające w wielkich miastach. Pojawiały się wystrojone, przywożąc drogie prezenty, ale ich rodzice spoglądali na nie z wyraźnym współczuciem, że pod wpływem głupiego kaprysu postanowiły przenieść się do miasta. Oboje z ojcem nie wiedzieliśmy, czy to dobrze, czy źle.

Zanim skręciłam na krótką ścieżkę, prowadzącą do drzwi mego domu, zatrzymała mnie przedwcześnie postarzała i zgarbiona pani Mooney o zatroskanej twarzy matki jedenaściorga dzieci. Na włosy zarzuconą miała szarą chustę.

— Kochana Maeve, nie chcę zawracać głowy twemu zacnemu ojcu, ale może ty mogłabyś mi dać jakiś silny środek na bóle reumatyczne, które mi tak dokuczają? Mam wrażenie, jakby czort okładał mnie po plecach rozżarzonymi widłami.

— Przyniosę pani lekarstwo po kolacji, pani Mooney — powiedziałam i dodałam czarodziejskie słowa, na które czekała:

— Ponieważ nie zwróciła się pani po poradę lekarską, otrzyma pani lek za darmo.

— Niech Bóg cię błogosławi za twoją dobroć. Tylko nie przyjdź zbyt późno, bo przez całą noc nie będę mogła zmrużyć oka.

— Proszę się nie obawiać, pani Mooney — uspokoiłam ją.

— Postaram się przyjść jak najszybciej.

Prawdę mówiąc już od jakiegoś czasu zwracała się o leki tylko do mnie. Kiedy weszłam do poczekalni przed pokojem zabiegowym i gabinetem ojca, z ulgą ujrzałam, że nikogo w niej nie ma. Czasami musiałam kilka godzin czekać z kolacją. Ale dziś widocznie w wiosce był dobry dzień. Niewielu mieszkańcom coś dolegało.

Ojciec był w swoim gabinecie. Siedział z nogami na blacie biurka i czytał czasopismo medyczne, które przyszło wczoraj pocztą z Londynu. Był wysokim silnym mężczyzną który nawet obecnie, w czterdziestym czwartym roku życia, mógł z powodzeniem wziąć udział w wyścigach *kuragów** na równi z najlepszymi zawodnikami. Włosy, szczególnie na skroniach, zaczęła przyprószać siwizna, co przydawało mu wyglądu osoby dystygowanej i uczonej, który tak lubiłam, a którego on nie znosił. Miał jasnobłękitne oczy O'Hanlonów, które odziedziczyłam po nim, i prosty nos, nieco tylko dłuższy od mojego, ale bardzo kształtny. Jego usta stworzone były do beztróskiego śmiechu. Natura oboje nas obdarzyła okrągłymi twarzami, ale ojciec miał mocno zarysowane kości szczęk, podczas gdy owal mojej twarzy był łagodniejszy, a usta nie takie wydatne. Ojciec często powtarzał, że odziedziczyłam wiele po mojej urodziwej matce, ale kiedy oglądałam jej stare fotografie i portrety, nie wierzyłam jego słowom. Była znacznie ładniejsza ode mnie.

* *kurag* — mała łódź, wyplatana z wikliny, kryta skórą zwierząt, używana od zamierzchłych czasów w Irlandii (przyp. tłum.).

Mimo wszystko nie narzekałam. Uważałam się za ładną, wystarczająco atrakcyjną, by przyciągać spojrzenia mężczyzn, co dla dziewiętnastoletniej dziewczyny jest w końcu najważniejsze.

— Ojczy, straciłeś przeze mnie worek kartofli — powiedziałam. — Pani Mooney przydybała mnie, kiedy szłam do domu, i obiecałam, że przyniosę jej lekarstwo.

— Przejadły mi się już kartofle — oświadczył i roześmiał się wesoło.

Jego śmiech był niezwykle charakterystyczny. Rozlegał się w całym domu, dźwięczny i szczery, pozbawiony nawet cienia złośliwości czy sarkazmu. Ojciec śmiał się, jeśli tylko znalazł jakiś powód do śmiechu. Nie istniało nic wspanialszego nad jego śmiech.

— Szkoda, bo dziś na kolację są ziemniaki z baraniną, którą dostałeś za

nastawienie złamanej ręki chłopakowi Mullaneyów. Czy jesteś bardzo głodny, czy też możemy sobie trochę pogadać, zanim pójdę przygotować posiłek?

— Chętnie z tobą pogawędzę — powiedział. — Interesująca rozmowa jest nie mniej pożywna niż ziemniaki z mięsem.

— Cóż, nie wiem, czy to, co ci mam do powiedzenia, jest bardzo interesujące. Obawiam się, że nie, ale uważam, że powinieneś o tym wiedzieć. Cathal Dolan znów mnie dzisiaj prosił o rękę, a ja mu odmówiłam chyba po raz pięćdziesiąty i naprawdę zaczynam już mieć tego dosyć. Tym razem próbowałam go zniechęcić do ożenku ze mną. Opowiedziałam mu o mężczyźnie, którego kiedyś poślubię.

Ojciec wolno pokiwał głową.

— Bardziej wierzysz temu staremu zwierciadłu niż ja. No cóż, czynisz podobnie jak cała rodzina ze strony matki.

— Mówiłam ci, że jego obraz tylko mignął mi w lustrze.

— Jeśli wierzysz w czarodziejską moc zwierciadła, to zupełnie wystarczy.

— A ty w nią nie wierzysz, ojczy? — spytałam.

— Powiedzmy, że nie wierzę tak mocno jak ty, choć przyznaję, że czasem potrafi wprawić człowieka w osłupienie. — Zamknął oczy, jakby nagle ogarnęło go wielkie znużenie. — Twoja zacna matka ujrzała w nim przepowiednię własnej śmierci. Uprzedziła mnie, że w zamian za nowe życie ktoś będzie musiał oddać w ofierze swoje, ale nie zważałam na jej słowa.

— Ojczy, nawet gdybyś uwierzył w ostrzeżenie, i tak nic byś nie mógł zrobić. Zwierciadło ukazuje, co się zdarzy, i nieuchronnie to nastąpi.

— Wiem o tym. Czasem chciałbym ujrzeć w nim swoją przyszłość, ale tylko kobietom dany jest ten przywilej.

Wysiłkiem całej woli udało mi się zachować panowanie nad sobą. Kiedyś spojrzałam w lustro, myśląc o ojcu, i ujrzałam wzburzone morze, spienione i rozkołysane, groźne w swym żywiole. Tylko tyle. A myślałam wtedy o ojcu i co go czeka w przyszłości.

— Ja też nie widzę w nim swoich przyszłych losów — powiedziałam. —

Widocznie nie zawsze można ujrzeć własną przyszłość, a jedynie los swoich najbliższych.

— Ujrzałaś tego młodzieńca, którego kiedyś poślubisz — przypomniał mi.

— Ach, tak, widziałam go zupełnie wyraźnie. Ale to co innego. Z zwierciadło nie ukazało mi moich losów, mojego życia, a tylko jego drobny fragment. Przyznaję, że ważny, ale przecież to nie to. A na ile cię znam, ojcze, jestem pewna, że chciałbyś ujrzeć całą swoją przyszłość.

Znów się roześmiał.

— Czytasz w moich myślach zupełnie tak jak twoja matka. A wracając do tych wizji w zwierciadle... powiedz mi, jak wyglądał ten młodzieniec? Nigdy mi o nim nie mówiłaś.

— Był oczywiście przystojny.

— To się rozumie samo przez się — odparła ze śmiechem.

— Był wysoki i bardzo szczupły, co mnie nieco martwi, bo sprawiał wrażenie osoby nieco chorowitej.

— Niepotrzebnie się trapisz. Szczupli mężczyźni są zazwyczaj całkiem zdrowi.

— Tak, przyznaję, ale ten nie wyglądał na silnego, a Cathal, który jest niezłym osiłkiem, zagroził, że sprawi mu porządne manto.

— Powiedziałaś Cathalowi o zwierciadle? — spytał ojciec poważnym i nieco zatroskanym tonem.

— Nie, ojcze. Powiedziałałam mu jedynie, że znam przepowiednię, dotyczącą osoby mego przyszłego męża. Nie powiedziałam mu o zwierciadle, choć wyjawiałam temu prostakowi, że jestem potomkinią królowej Maeve*.

* Maeve (Medb lub Medbh) — mityczna królowa iryjska, bohaterka eposu *Tain Bo Cualnge* — „Zagnanie krów z Cualnge” (przyp. tłum.).

— Wszyscy o tym wiedzą, więc nic się nie stało. Nie rozmawiałaś z nim o naszyjniku?

— Nie, nie, ojcze. Przestrzegłeś mnie, bym nigdy o nim nie wspominała, więc

nie zdradziłam naszej tajemnicy nikomu.

— I tak jest najlepiej. Wprawdzie naszyjnik znajduje się teraz w bezpiecznym miejscu, ale dla niektórych ludzi zawsze pozostanie łakomym kąskiem. Rodzina twojej matki przechowuje go nie wiedzieć jak długo i jeśli dobry Bóg pozwoli, na zawsze pozostanie własnością twoją i twoich potomków. Matka mówiła mi, że niektórzy jej przodkowie cierpieli wielki niedostatek, że nie mieli co jeść, a nawet umierali z głodu, ale nawet za cenę życia nie rozstaliby się z naszyjnikiem. Woleli umrzeć niż pozwolić, by dostał się w obce ręce. Zresztą gdyby to nastąpiło, wydarzyłoby się coś strasznego.

— Czy dużo jest warty?

— Maeve, jest wprost bezcenny. Nie dlatego, że jest ze złota, ale dlatego, że stanowi ogniwo łączące nas z celtycką przeszłością, z odległymi czasami, kiedy nie byliśmy jeszcze biernymi naśladowcami Anglii. Jest piękniejszy niż jakikolwiek eksponat w Muzeum Narodowym. Ostatni raz widziałas go, gdy byłaś małą dziewczynką. W dniu twojego ślubu przyniosę naszyjnik z bankowego sejf, gdzie teraz jest przechowywany, i wręcę ci go. Od tej chwili na ciebie spadnie odpowiedzialność zapewnienia mu bezpieczeństwa. Ty i twój brat jesteście ostatnimi potomkami O'Hanlonów, lecz Jim jest człowiekiem zbyt prozaicznym, zbyt trzeźwo podchodzi do życia, by wierzyć, że naszyjnik gwarantuje nam pomyślność. Nigdy bym mu go nie powierzył, jedynie tobie i temu przystojnemu młodzieńcowi, którego kiedyś poślubisz. Zresztą zwierciadło królowej Maeve też zawsze przechodzi z matki na córkę.

— Dziękuję, ojcie — powiedziałam zupełnie szczerze. Wstałam i podeszłam do niego. Objęłam go za szyję i ucałowałam w policzek. Żadnego mężczyzny na świecie nie kochałam bardziej niż jego.

— A teraz pora, byś zaczęła się zachowywać jak przystoi gospodyni domu i przygotowała mi kolację — powiedział z udawaną powagą, ale wiedziałam, że chce się pozbyć mego towarzystwa, bym nie zauważyła łez, które napłynęły mu do oczu. Nie wstydziłam się swojego wzruszenia, ale posłusznie pobiegłam do kuchni i

zaczęłam się krzętać, szykując dla nas kolację.

Kiedy byliśmy razem, nigdy nie dokuczała nam samotność. Podczas posiłku gadaliśmy jak najęci, wpadając sobie nawzajem w słowo.

— Bardzo dobra baranina — zauważył ojciec. — Godziwa zapłata za nastawienie złamanej ręki.

— Wolę drób — powiedziałam. — Następnym razem poprosz o tłustą kure.

Potrząsnął głową, nakładając sobie drugiego kotleta.

— Zawsze im się udaje wcisnąć mi w zamian za moje porady starego, twardego ptaka — odparł. — Choć jak słucham ich opowieści o tym, cóż za wspaniały okaz był z tego biedactwa i jak im go będzie brakowało, przestaję się uskarżać, mimo że podejrzewam, iż umarł śmiercią naturalną z uwagi na podeszły wiek, a bardzo często moje zęby potwierdzają te obawy.

— Jimmy mówi, że nie będzie przyjmował zapłaty w naturze — powiedziałam.

— Twój brat Jimmy to mądry chłopak, Maeve. Obecnie jesteśmy świadkami gwałtownego rozwoju medycyny. Jimmy będzie też pogłębiał swoją wiedzę. Postanowił zostać chirurgiem. To oznacza, że będzie operował, a nie zajmował się jakimiś głupimi, zakatarzonymi nosami czy bolącymi brzuchami. Według słów jego profesorów, jest wyjątkowym studentem. Wierzę, że będzie świetnym specjalistą.

— A ja wiem, że nie wróci do nas — powiedziałam.

— A po co miałby tu wracać? Żeby nastawiać złamane ręce w zamian za starą, twardą kure albo pół szynki? Nie, moja droga, on będzie usuwał guzy, zszywał rany i leczył chorych na raka.

I otrzymywał za to godziwą zapłatę w gotówce. Bardzo godziwą.

— Ty mogłeś zrobić to samo — przypomniałam mu.

— Och, ja zaczynałem swoją karierę ponad ćwierć wieku temu. Wtedy były inne czasy. Mieszkańcy hrabstwa Mayo umierali na skutek braku opieki lekarskiej, a ja nie mogłem stać z boku i się temu przyglądać. Pamiętam z czasów mego dzieciństwa klęskę nieurodzaju ziemniaków, kiedy z głodu umarł milion mężczyzn, kobiet i dzieci. Znikąd nie było pomocy. Wydawało się, jakby wszystkim obojętny był nasz los.

Padaliśmy jak muchy. Właśnie wtedy postanowiłem, że zostanę lekarzem i wrócę tu, by w miarę swych możliwości pomagać ludziom, nie przejmując się, co w zamian otrzymam. Wystarcza mi satysfakcja, jaką czuję na widok dziarsko kroczącego ulicą człowieka, który tydzień wcześniej był umierający, ale którego wyrwałem ze szponów śmierci. W życiu są rzeczy, które znaczą więcej niż pieniądze, choć przyznaję, że od czasu do czasu pieniądze też się przydają.

— Słusznie postąpiłeś — powiedziałam. — Zresztą przecież i tak nie możemy się uskarżać na niedostatek.

— Nie, dzięki Bogu. Stać mnie na pomaganie Jimmy'emu, by cały swój czas mógł poświęcać nauce, a to niezwykle ważne. A wracając do tego twojego młodzieńca. Czy w tej przepowiedni zawarte były jakieś wskazówki, kiedy się pojawi w twoim życiu?

— Nie, ojczu. Z zwierciadło ukazuje jedynie krótkie migawki, do tego przeważnie niewyraźne, choć tym razem obraz był ostry.

— Martwię się tylko, żebyś czekając na jego pojawienie się nie została starą panną.

— Zupełnie niepotrzebnie. W zwierciadle ujrzałam młodzieńca. Gdyby miały upłynąć jeszcze lata, zanim się pojawi w moim życiu, zwierciadło ukazałoby mężczyznę dojrzałego.

— Cóż, chyba masz rację. Może na samym początku powinniśmy go nauczyć, jak się bić, żeby mógł zwycięsko wyjść z pojedynku z Cathalem Dolanem.

— Ojczu, niech no tylko Cathal krzywo na niego spojrzy, a obiecuję, że sama mu przyłożę jak się patrzy — odparłam. — A teraz przygotuj lekarstwo dla pani Mooney, bo inaczej zaraz zastuka w okno. Najpierw żeby się upewnić, czy nie ma cię w domu.

Dostarczyłam pani Mooney buteleczkę z lekarstwem i zamiast podziękowania wysłuchałam, że niezbyt się śpieszyłam, podczas gdy ona cierpiała, poszturchiwana widłami przez zgraję diabłów. Wróciłam do domu i pozmywałam naczynia. Potem posłałam ojcu łóżko i sprzątnęłam gabinet oraz poczekalnię. Ojciec położył się spać o

dziewiątej. O wpół do jedenastej Mike Hennesey niemal rozwalił drzwi frontowe, waląc kołatką jak oszalały.

— Chodzi o moją babcię — wyjaśnił. — Jest bardzo chora. Pomyślałem sobie, że może umiera i ponad dwie godziny zajęło mi sprowadzenie księdza...

— Posłuchaj, Mike'u Hennessy — oświadczyłam. — Na drugi raz najpierw biegnij po doktora. Słyszysz? A teraz wracaj do domu. Ojciec wyjdzie, jak tylko się ubierze. No, zmykaj stąd!

Ojciec trochę gderał, ale ubrał się, a ja w tym czasie zaprzęłam bryczkę. Choć na koszulę nocną zarzuciłam flanelowy płaszcz, dygotałam z zimna. Jednak nie zważając na chłód czekałam na dworze na ojca, uspokajając naszą klacz, która była niezwykle narowista.

— Wracaj do domu — powiedział ojciec zagniewanym tonem. — Jeszcze się rozchorujesz i nie będę mógł spać, zmuszony opiekować się tobą po nocach. A nie zapomnij, że jest mało prawdopodobne, bym od własnej córki uzyskał większą zapłatę niż od tej umierającej babci Mike'a. Czy zdarza się jej to w tym roku szósty czy też siódmy raz? Postaram się wrócić jak najszybciej.

Kiedy odjechał, zamknęłam się w domu i usiadłam przed kominkiem, rozkoszując się bijącym od niego ciepłem. Wiedziałam, że do powrotu ojca nie usnę, więc zaparzyłam w imbryku herbatę i okryłam go pokrowcem w nadziei, że nie ostygnie do czasu pojawienia się ojca.

*

Siedziałam przed kominkiem, popijałam herbatę i myślałam o tym, co ujrzałam w zwierciadle. Obraz był intrygujący, a zarazem wzbudzał lęk. Kiedyś poprosiłam czarodziejskie lustro, by ukazało mi twarz mego przyszłego męża. Tylko środkowa część zwierciadła pozostała na tyle gładka, by cokolwiek odbijać lub ukazywać, i właśnie w tym fragmencie ujrzałam twarz mężczyzny. Widoczna była tylko przez mgnienie oka, ale tak wyraźnie, że na jej widok upuściłam zwierciadło, jakby mnie nagle zaczęło parzyć.

Nie byłam w stanie spokojnie usiedzieć. Wypiłam duszkiem resztę herbaty z

filiżanki, nalałam sobie następną i natychmiast o niej zapomniałam. Wstałam i zaczęłam się przechadzać po pokoju, rozglądając się wkoło i zastanawiając, co znaczyła ta przepowiednia i jak się to wszystko skończy.

Nasz dom w porównaniu z innymi domami w hrabstwie Mayo był prawdziwym pałacem. Moja droga matka wyróżniała się dużym poczuciem smaku. Większość mebli sprowadziła z Dublina i Londynu. Matka pochodziła z rodziny o położeniu materialnym zbliżonym do tego, jaki obecnie osiągnął mój ojciec, to znaczy mogła sobie pozwolić przynajmniej na odrobinę luksusu, z czego skwapliwie korzystała.

I tak w jadalni był piękny, mahoniowy stół, przy którym po rozłożeniu mogło się pomieścić dwanaście osób, mahoniowe krzesła, szafa na zastawę i kredens, w którym trzymaliśmy srebrne sztuce. Wystawiały one na próbę moją cierpliwość, albowiem zbyt często wymagały polerowania.

W salonie stała obita zielonym aksamitem kanapa i cztery przepastne fotele z poduszkami wypchanymi puchem. Było tu również kilka mahoniowych, a jakże, stolików i lampy z abażurami z zielonego szkła. Na ścianach wisiały obrazy olejne, a na podłodze leżał gruby dywan. Był bardzo ciężki i kiedy raz na pół roku wynoszono go do trzepania, musiały to robić dwie osoby.

Moja kuchnia była nie mniej nowoczesna niż kuchnie w Dublinie. Dysponowałam bieżącą wodą, żelaznym zlewem, wystarczającą ilością szafek, piękną porcelaną i srebrami. Szkło pochodziło z Waterford, gdzie pewien przedsiębiorczy człowiek założył fabrykę wytwarzającą wyroby pierwszej jakości, które niebawem miały zająć znaczącą pozycję na światowym rynku.

Na piętrze znajdowały się dwie obszerne sypialnie, ojca z szerokim łóżem, moja z jednoosobowym. Używaliśmy pościeli z irlandzkiego płótna, bo nie ma lepszego na świecie. Odziedziczyłam po matce zmysł estetyczny, więc nasz dom był kolorowy i radosny.

Nawet na schodach leżał dywan, w oknach wisiały story, a w salonie i jadalni — draperie. Och, żyliśmy wygodnie i luksusowo. Jeśli nawet niektórzy nam zazdrościli, nie dokuczali nam, bo ojciec cieszył się powszechnym szacunkiem i uważano, że

zasłużył sobie na to, co miał. Oczywiście gdybyśmy razem z ojcem zadzierali nosa, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale byliśmy częścią społeczności. Utożsamialiśmy się z jej członkami i oni to widzieli.

Zmęczyłam się chodzeniem, więc usiadłam i wzięłam filiżankę z herbatą, która zdążyła przez ten czas wystygnąć. Wylałam ją do zlewu i nalałam sobie z imbryka świeżej. Piłam powoli ciepły napój, rozmyślając, zadręczając się problemami, które jeszcze nie istniały, więc nie można ich było rozwiązać, a jednak próbowałam to robić. Taki już miałam charakter.

Po pierwsze, gdzie i kiedy spotkam owego nieznajomego? I skąd będzie wiedział, że właśnie ja jestem tą dziewczyną, która jest mu przeznaczona i w której ma się zakochać? Jeśli o mnie chodzi, nie miałam żadnych wątpliwości. Byłam pewna, że go pokocham, choć widziałam jego twarz tylko przez ułamek sekundy.

Bardziej istotne było pytanie, czy zgodzi się zostać tu ze mną i z ojcem? Nie zostawię ojca samego za nic w świecie. Był wystarczająco samotny przez te wszystkie lata, które przeżył bez mojej matki. Zajął jej miejsce i będę to robiła do końca jego dni. Nagle przypomniałam sobie wzburzone morze i wstrząsnął mnie dreszcz. Zapragnęłam, by ojciec już wrócił do domu.

Musiałam się czymś zająć i pierwszą rzeczą, która mi przyszła do głowy, było zwierciadło. Odstawiłam filiżankę i udałam się na górę do swojego pokoju. Tam, zagrzebane wśród strojnych drobiazgów, w woreczku z grubego materiału, który uszyłam specjalnie w tym celu, przechowywałam owinięte w jedwab zwierciadło w filcowym pokrowcu.

Było owalne. Kiedyś ojciec z ciekawości zmierzył je i okazało się, że ma dwadzieścia pięć centymetrów wysokości i dwadzieścia szerokości. Zrobiono je z metalu, bo w czasach, kiedy żyła królowa Maeve, nie znano szkła. Było lekko wklęsłe i czas odcisnął na nim swoje piętno, bo teraz tylko w środkowej części zachowało się dość metalicznej powłoki, by można je było wciąż nazywać lustrem. To właśnie na tym fragmencie powierzchni pojawiały się tajemnicze obrazy, kiedy potomkini królowej Maeve zwracała się do niego, prosząc w jej imieniu o pokazanie tego, co ją

interesowało.

Czasami ukazujące się obrazy były tak krótkotrwałe, że trudno było się zorientować, co przedstawiają. Kiedy indziej były wyraźne i widoczne na tyle długo, że można je było dobrze zapamiętać.

Kiedy ojciec po raz pierwszy opowiedział mi o tajemniczych właściwościach zwierciadła i pokazał je, pomyślałam, że jest nieco stuknięty. Bo jak kawałek metalu, liczący sobie kilka setek lat, może cokolwiek ukazać? I jakim cudem można w nim ujrzeć przyszłość? Jednak wkrótce zaczęłam wierzyć w jego cudowne właściwości, kiedy to na moją prośbę zwierciadło ukazało mi kilka faktów z przyszłości, które później rzeczywiście miały miejsce. Zanim ukończyłam piętnaście lat, byłam głęboko przekonana o jego czarodziejskich cechach.

Czasem wzbudzało we mnie lęk, choć na ogół podnosiło mnie na duchu. Działo się tak do dnia, w którym ujrzałam przepowiednię dotyczącą śmierci ojca.

Ale w tej chwili myślałam jedynie o wizerunku mężczyzny, którego miałam kiedyś poślubić. Chciałam jeszcze raz ujrzeć jego twarz, utrwalić sobie ją w pamięci, bym nie miała żadnych wątpliwości, kiedy już go spotkam, że to właśnie on.

Ustawiłam lampy na sekretarzyku żeby lepiej widzieć. Jedwabną tkaniną dokładnie wytarłam powierzchnię lustra z kurzu, uniosłam je na wysokość twarzy i ujrzałam w nim niewyraźne odbicie swych rysów. Potem przycisnęłam zwierciadło do piersi i powiedziałam na głos:

— Dobra królowo Maeve, której imię noszę i której jestem potomkinią nie wiedzieć w którym pokoleniu, pozwól mi jeszcze raz ujrzeć w zwierciadle, które dzięki twemu spojrzeniu posiadało czarodziejską moc, twarz mężczyzny przeznaczonego na mego męża.

Nic nie nastąpiło, ale czasami nie od razu coś się ukazywało. Czekałam, potrafiąc w takich chwilach być niezwykle cierpliwa. Potem w środku zwierciadła zaczął się wyłaniać jakiś obraz. Była to ta sama twarz co poprzednio, jednak tym razem z profilu. Twarz wrażliwego mężczyzny, którego wiek oceniłam na dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Z pewnością nie więcej. Był przystojny, miał

subtelne rysy, dość długi nos, wysokie czoło, ostro zarysowany podbródek. Nachylenie głowy przydawało mu patrycjuszowskiego wyglądu.

Ale lustro pokazywało jeszcze coś. Nie ulegało wątpliwości, że widzę tego samego mężczyznę, co poprzednio, ale za nim widoczny był jeszcze czyjś profil. Również mężczyzny, ale jego twarz częściowo zakrywał profil mego przyszłego męża. Ten drugi nieznajomy był o trzy, cztery lata starszy, nie mniej przystojny, a przy tym silniejszy. Jego obraz w czarodziejskim zwierciadle stopniowo się wyostrzał. Spoglądałam bez ruchu na wizerunki dwóch mężczyzn nie wiedząc, co mają oznaczać. Po jakimś czasie obraz zbladł i zniknął. Uniosłam zwierciadło do ust i pocałowałam je delikatnie, a potem owinęłam w jedwab i odłożyłam na miejsce. Zeszłam na dół i usiadłam przed kominkiem, kompletnie zdezorientowana.

Dwaj mężczyźni! Co to znaczyło? Wiedziałam, że obaj odegrają w moim życiu jakąś rolę. Ten, którego poślubię, pojawił się pierwszy, a więc on będzie ważniejszy. Potem pomyślałam, że jeśli zwierciadło ukazało mi dwóch mężczyzn, to znaczy, że tego drugiego też poślubię, czyli że... że ten pierwszy umrze lub mnie opuści. W jakiś sposób zostaniemy rozdzieleni i wtedy w moje życie wkroczy ten drugi.

— Kimkolwiek jesteś, bodaj by cię diabli wzięli — powiedziałam na głos. — Duszą i sercem pokocham pierwszego, a dla ciebie nie zostanie nic.

Usłyszałam bryczkę ojca i całą siłą woli zmusiłam się do odzyskania panowania nad sobą. Nastawiłam wodę na herbatę i kiedy wszedł do domu, chuchając w ręce, bo bardzo się ochłodziło, nalałam mu wrzącej herbaty. Powiesił kapelusz, zdjął ciężki płaszcz i marynarkę, po czym zajął miejsce w fotelu przed kominkiem.

— Jak się czuje babcia Mike'a? — spytałam.

— Wyrwałam ją ze szponów śmierci za pomocą mego czarodziejskiego lekarstwa. To zdumiewające, co może sprawić kieliszek irlandzkiej whisky. Oczywiście pod warunkiem, że pacjent nie wie, co pije. Niemniej oblizywała sobie usta i humor od razu jej się poprawił. Szczególnie kiedy ją poinformowałam, że niebiosy nie są gotowe na jej przyjęcie i będzie musiała jeszcze trochę pożyć.

— Ojczy, to już szósta taka nocna wizyta w ciągu ostatnich siedmiu czy ośmiu

miesiący — powiedziałam. — Jak tak dłużej potrwa, babcia Mike'a stanie się nałogową alkoholiczką.

— Odrobina whisky od czasu do czasu nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Od powrotu był dziwnie poważny, co mnie zaniepokoiło.

— Ojczy, czy stało się coś złego? — spytałam.

— Może nic złego, ale irytującego. Obawiam się, że wprawi cię to w furję. Cathal Dolan łązi i rozpowiada wszystkim, że wkrótce się pobierzecie. Babcia Mike'a, kiedy mnie tylko ujrzała, powiedziała, że chciałaby dożyć dnia twojego ślubu.

— Niech diabli porwą jego nędzną duszę! — wykrzyknęłam. — Jutro powyrywam mu wszystkie kłaki z jego głupiego łba. Przecież nie dalej jak dziś oświadczyłam mu, że nie będzie żadnego ślubu.

— Wiem, ale Cathal nie należy do ludzi, którzy łatwo akceptują odmowę. Nigdy nie czyniłaś mu żadnych nadziei?

— Nigdy przenigdy! Ojczy, jutro pójde do księdza i poinformuję go, że nie będzie żadnych zapowiedzi bez względu na to, co mu gada Cathal. Och, cóż z niego za człowiek! Cóż za nędzna kreatura!

Ojciec wolno kiwał głową.

— Jest jeszcze coś, moje drogie dziecko.

— A czy może być coś gorszego niż to, co właśnie usłyszałam?

— Nie twierdę, że to coś gorszego. Powiedz mi jeszcze raz o tym mężczyźnie, którego widziałas w zwierciadle. Jak on wygląda?

— Ojczy...

— Jedyne, o co cię proszę, to byś mi powiedziała, jak wygląda — przerwał mi ojciec ostrym tonem.

Z trudem się opanowałam, nie wiedząc o co mu chodzi, ale podejrzewałam, że coś przede mną ukrywa.

— Ma dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, czyli w sam raz dla mnie.

— Aha, więc znam już jego wiek. Czy jest okropnie brzydki?

— Ojczy, jest przystojny. Ma pociągłą twarz, ale bardzo ładną. Sądzę, że ma

jasne włosy, czyli że oczy musi mieć niebieskie lub szare, prawda?

— Chyba tak. Mów dalej.

— Cóż ci jeszcze mogę powiedzieć? Pamiętaj, że widziałam go tylko z profilu.

A czemu mnie w ogóle pytasz?

— Wczoraj do wioski przyjechał człowiek odpowiadający twojemu opisowi. Zatrzymał się u pani Halloran.

Uniosłam obie dłonie do twarzy i chociaż siedziałam na taborecie tuż obok kominka, wstrząsnął mną dreszcz.

— Ojczy, pomóż mi. Jak mam się zachować? Jest tutaj, a ja nie wiem co robić.

Ojciec uśmiechnął się na widok mojego zmieszania.

— Zgodnie z przepowiednią spotkacie się, więc nie pozostaje ci nic innego jak czekać.

— Czy przyjdzie do mnie? Czy też ja mam iść do niego?

— Kto wie? Co ma być, to będzie.

Spojrzałam na niego, nie odrywając jednak rąk od twarzy.

— Boję się.

— Zupełnie niepotrzebnie. Ten młodzieniec jest niczego nieświadomy. Nie wie, że los was połączy ani że się spotkacie.

— Nie usnę tej nocy. Jestem gotowa ubrać się i iść do pani Halloran, żeby zajrzeć ukradkiem przez okno lub pożyczyć szklanekę cukru.

— Moje drogie dziecko, jest druga nad ranem. To nie najlepsza pora, by zaczynać romans. Ten młody człowiek może sobie jeszcze pomyśleć, że jesteś niespełna rozumu. Musisz uzbroić się w cierpliwość. Przecież to może wcale nie być ten twój nieznajomy, którego ujrzałaś w zwierciadle.

Potrząsnęłam głową.

— Przeczucie mi mówi, że to on.

— Ach, znów spoglądałaś w to przeklęte zwierciadło, prawda?

— Tak, podczas twojej nieobecności.

— I ujrzałaś tę samą twarz?

— Tak, i równie wyraźnie jak poprzednio.

— W takim razie bardzo możliwe, że przepowiednia wkrótce się spełni.

— Jest jeszcze coś. Oprócz twarzy tego młodzieńca ukazała się druga. Przedtem jej nie widziałam. Nie wiem, co to ma znaczyć.

— Druga twarz w zwierciadle? Jesteś tego pewna?

— Była równie wyraźna, jak twarz człowieka, którego pokocham. Ten drugi był silniejszy, ale jestem pewna, że to również bardzo dobry człowiek. Ale jaką rolę odegrają w moim życiu ci dwaj mężczyźni? Nie mogę się opędzić od myśli, że ten, którego wkrótce poznam, w jakiś sposób ustąpi miejsca drugiemu.

Ojciec poważnie pokiwał głową. Wierzył w moc zwierciadła. Podejrzywałam, że kiedyś nie ufał mu, ale odkąd tak dokładnie przepowiedziało śmierć mojej matki i moje narodziny, zmienił swoje nastawienie wobec niego.

— Czy to oznacza, że mój ukochany umrze? — wypowiedziałam na głos nurtujące mnie pytanie.

— Niekoniecznie. Wizerunek tego drugiego mężczyzny może oznaczać, że również pojawi się w twoim życiu, a że ujrzałaś go jednocześnie z twoim przyszłym mężem, możliwe, że będzie waszym wspólnym przyjacielem.

— Odniosłam wrażenie, że nie jest złym człowiekiem, i że będzie na mnie czekał. Jeśli jego oczekiwanie ma się zakończyć spełnieniem, to zrozumiałe samo przez się, że mój ukochany umrze lub mnie opuści, a tego nie zniosę, ojcze.

— Widzę, że teraz ty zaczynasz zabawiać się we wróżkę. To tylko jakieś szalone rojenia, którymi nie ma się co przejmować.

— Więc co mam w takim razie robić? — spytałam.

— Już ci powiedziałem: czekać! Nie możesz przyspieszyć biegu wypadków. Przepowiednia spełni się i bez twojej pomocy. Idź teraz do łóżka i spróbuj usnąć. Jeśli masz wkrótce spotkać tego młodzieńca, musisz wyglądać śliczniej niż kiedykolwiek, a nie przypominać jakąś udręczoną nieszczęśnicę z sińcami pod oczami. Marsz do łóżka i daj człowiekowi trochę spokoju.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam go na dobranoc. Choć byłam pewna, że ani na

chwile nie zmrużę oka, w końcu zmorzył mnie sen. Spałam dłużej niż zwykle. Obudziło mnie walenie do drzwi, bo ojciec też zasnął. Przyszedł jakiś pacjent wymagający natychmiastowej pomocy. Posadziłam go w poczekalni, a potem obudziłam ojca. Mechanicznie szykowałam śniadanie, cały czas myśląc o tym, iż niespełna pół kilometra dalej zamieszkał pewien młody człowiek, który nie ma najmniejszego pojęcia, że czarodziejskie zwierciadło ukazało mi jego twarz, że wkrótce mnie spotka i nic ani nikt nie może tego zmienić.

Pomyślałam sobie, że bardzo dobrze być potomkinią królowej Maeve.

R S

Rozdział drugi

Tego dnia nic się nie wydarzyło. Przemierzałam ulice wioski, aż mnie rozboleły nogi, ale nie spotkałam nieznajomego. Nie słyszałam też, by ktokolwiek wspomniał o nim choćby słówkiem, choć każdy, kto się pojawiał w naszej wiosce, stawał się z miejsca tematem rozmów wszystkich mieszkańców. Zaczęłam się obawiać, że ojciec się mylił i że ów młodzieniec albo wcale się tu nie pojawił, albo wyjechał, zanim ktokolwiek dowiedział się o jego obecności. Zazwyczaj rozmawialiśmy i plotkowaliśmy sobie podczas kolacji, ale tego wieczoru ojciec był dziwnie milczący i tylko od czasu do czasu spoglądał na mnie poważnie, jakby coś zaprzętało jego umysł. Poskromiłam ciekawość, bo gdybym zażądała odpowiedzi, usłyszałabym jedynie coś niemiłego. Wiedziałam, że kiedy nadejdzie pora, sam mi wszystko powie.

— Maeve — odezwał się w końcu — zamknij drzwi do poczekalni i wywieś kartkę, że mnie nie ma.

— Udajesz się do kogoś z wizytą? — spytałam.

— Tak, do pani Halloran. Powiadomiła mnie, że jej lokator źle się czuje. Pójdę go zbadać. Uważam, że powinnaś mi towarzyszyć, bo mogę potrzebować twojej pomocy.

Podbiegłam do niego, objęłam go i pocałowałam.

— Cały dzień trzymałeś to w tajemnicy przede mną, ale ci wybaczam, choć nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby diabeł wygarbował ci skórę, ty stary oszuście.

— Moja droga córko, gdybym ci o tym powiedział wcześniej, czy zjadłbym taką wspaniałą, gorącą kolację? A gdzież tam, dostałbym zimną kapustę z zimnymi kartoflami i słabą herbatę. Wrzuciłabyś na talerz cokolwiek, ani przez moment nie myśląc o tym co robisz.

— Przyznaję ci rację, ojcze. Ale pozwól, że naczynia pozmywam, kiedy wrócimy. A teraz chodźmy już, bo ten człowiek może być poważnie chory. Skoro mam go poślubić, lepiej nie zwlekaj — to najważniejszy pacjent w całej twojej karierze.

— Ma katar i lekką gorączkę. Prawdopodobnie się przeziębił. Przyjechał do nas ze Szkocji, zahaczając po drodze o Dublin, gdzie klimat jest żdziebko łagodniejszy. I właśnie zmiana temperatury mogła wywołać u niego ów stan, ale jak dobrze wiesz, bez problemu potrafię go z tego wyleczyć. Możemy iść choćby zaraz.

— Za pół godziny — powiedziałam.

— Wydawało mi się, że okropnie ci się spieszy.

— Zgadza się, jednak nie na tyle, by nie chcieć wyglądać możliwie najpiękniej. Jeśli znudzisz się czekając na mnie, możesz pozmywać naczynia. Nie będę miała nic przeciwko temu.

Rozsiadł się w swoim krześle.

— Nie znudzę się — zapewnił mnie.

Pośpieszyłam do swojego pokoju. Na górze pięć minut drogocennego czasu straciłam zastanawiając się co włożyć: nie chciałam się zbyt wystrój, ale oczywiście pragnęłam wyglądać jak najlepiej. Ostatecznie zdecydowałam się na ciemnoniebieską szeroką spódnicę z falbanami i jasnobłękitną bluzkę, a do tego szeroką, aksamitną szarfę. Cieszyłam się, że jestem szczupła w pasie.

Nogi wcisnęłam w odpowiednie pantofelki, a włosy upięłam wysoko z tyłu głowy, pozostawiając na czole kilka kosmyków. Fryzurę tę skopiowałam z portretu matki, ale uważałam, że jest mi w niej niemal równie dobrze jak jej. Na ręce wciągnęłam rękawiczki, ale po chwili zdjęłam je. Czy kto widział asystentkę lekarza w rękawiczkach? Czubek nosa lekko przypudrowałam. Podniecenie zabarwiło moje policzki rumieńcem i dodało blasku oczom. Przejrzałam się w lustrze. Zadowolona z tego, co ujrzałam, w końcu usłuchałam kategorycznego rozkazu ojca, bym natychmiast zeszła na dół, bo nie zamierza dłużej czekać.

— To biedaczysko nabawi się w końcu zapalenia płuc! — krzyknął. — Kończ wreszcie, Maeve. Ostatecznie nie spodziewa się wizyty królowej.

— Ciiii... — powiedziałam schodząc na dół. — Zachowuj się w jego obecności jak należy i... och, ojczy, spraw, by szybko wyzdrowiał.

— Będę się zachowywał jak dżentelmen, zbadam go gruntownie i na pewno szybko go wyleczę — obiecał. — Ach, kogo chcę oszukać? Oto prowadzę córkę do mężczyzny, który najprawdopodobniej mi ją zabierze. Powinienem płakać, a nie śmiać się.

Zanim dotarliśmy do drzwi, zatrzymałam go i objęłam za szyję.

— Ojczy, może być najprzystojniejszym mężczyzną na całym świecie. Może być najbogatszy i najpotężniejszy i zaoferować mi więcej, niż jest w stanie wyobrazić sobie dziewczyna. Ale jeśli powie, że mam opuścić wioskę i ciebie, nie chcę go znać bez względu na przepowiednię. Czy zrozumiałeś mnie?

Pocałował mnie lekko i spojrzął na mnie z czułością.

— Tak, Maeve. Zobaczymy, jak to się wszystko zakończy, ale wdzięczny ci jestem za twoje słowa.

— Ja wcale nie żartuję, ojczy.

— Wiem, bo cię znam. A teraz dosyć już tych głupstw. Najpierw przekonamy się, czy to w ogóle ten młodzieniec.

— Raz kozie śmierć! Przekonajmy się — powiedziałam głośno — choć w najmniejszym stopniu nie wpłynie to na zmianę mojej decyzji. No, zrobiło mi się lżej, kiedy to zrzuciłam z serca. Następną rzeczą, którą zrobię, będzie poinformowanie owego młodzieńca, kimkolwiek jest, że wkrótce się pobierzemy.

— Poczekaj, aż wyzdrowieje — upomniał mnie łagodnie ojciec. — Czasem chory po usłyszeniu takiej szokującej wiadomości natychmiast gorzej zapada na zdrowiu. Daj mu szansę, i mnie też, wykurowania bez wywoływania dodatkowych komplikacji.

— Ach, czyli to niby ja jestem tą dodatkową komplikacją? — Głos mi się załamał. — Ojczy, bądź tak dobry i weź mnie pod ramię, żebym nie wpadła w jedną z tych dziur na drodze. Czuję okropnego pietra.

— Muszę ci się przyznać, że ja również, niemniej będę uważał na dziury w drodze.

Wzorzystym szalem okrył mi ramiona i ruszyliśmy.

Idąc ulicą odpowiadaliśmy na pozdrowienia mijających nas przechodniów, choć ledwo ich rozpoznawałam. Czułam się nieco jak panna młoda, krocząca główną nawą ze swoim nowo poślubionym mężem, a także troszeczkę tak, jakby mnie prowadzono na szafot. Próbowałam stłumić narastające uczucie paniki. Przecież już w wieku czternastu lat dzielnie pomagałam ojcu podczas amputacji kończyn, mdlejąc tylko za pierwszym razem. Zawsze chlubiłam się tym, że potrafię panować nad uczuciami, ale wówczas z całą pewnością mi się to nie udawało.

Odnosiłam wrażenie, że do chaty Halloranów, jednej z większych i porządniejszych, jest z piętnaście kilometrów. Zastanawiałam się, czemu dobra królowa Maeve nie sprawiła, by ten młodzieniec poprosił o gościnę w domu ojca. Tak byłoby znacznie dogodniej.

— Jak się czujesz, moja droga? — spytał ojciec.

Spojrzałam na niego.

— Masz trochę wystrzępiony krawat. Powinieneś przywiązywać większą wagę do swojego wyglądu. Jesteś przecież lekarzem.

— I idę na spotkanie ze swym zięciem, tak? Krawat jest wystrzępiony od kilku tygodni, ale zauważyłaś to dopiero dzisiaj. Poza tym jest wystrzępiony tylko troszeczkę i wątpię, by zauważył to ktokolwiek, chyba że byłby tak krytycznie nastawiony jak ty w tej chwili.

— Mimo wszystko — powiedziałam — wiesz, że nie...

— Uspokój się — przerwał mi — albo jak tylko ujrzę tego młodzieńca, powiem mu, że pisano mu poślubić ciebie. Czepiasz się mnie, żeby oderwać myśli od własnej osoby. Uspokój się, albo cię odeślę do domu.

Na chwilę zamknęłam oczy i mocniej ścisnęłam jego ramię.

— Ojczy najdroższy, przyrzekam, że będę grzeczna. Będę bardzo grzeczna, a twój krawat prawie wcale nie jest wystrzępiony, chociaż kiedy wrócimy do domu, jeśli to kiedykolwiek nastąpi, spalę go w kominku.

W końcu dotarliśmy do celu naszej wędrówki. Na pukanie ojca otwarto nam drzwi i pani Halloran powitała nas z uszanowaniem, nie ukrywając jednak zdumienia

na mój widok. Natychmiast zaprowadziła nas do sypialni w głębi domu. Wstrzymałam oddech, aż zrobiłam się sina, po czym wolno wypuściłam powietrze z płuc. Spodziewałam się ujrzeć na łóżku bladego, schorowanego młodzieńca. Tymczasem w fotelu siedział młody mężczyzna w kompletnym — a do tego bardzo wytwornym — stroju. Na mój widok uniósł się nieco i po raz pierwszy mogłam się dobrze przyjrzeć swemu przyszłemu mężowi.

Był dość wysoki, choć nie tak jak Cathal, i szczupły, może nawet za bardzo, ale przystojny. Tak jak to sobie wyobrażałam, miał jasne, niemal blond włosy i niebieskie oczy. Bardziej niebieskie niż moje czy ojca. Jego pełne usta wskazywały, że jest człowiekiem o pogodnym usposobieniu, który nie wie co to smutek. Nos miał wąski i długi, ale kształtny.

Kiedy przemówił, serce mi zamarło, bo głos miał głęboki i dźwięczny. Ojciec powitał go, zwracając się do niego po nazwisku, uściśnął mu rękę, a potem przedstawił mnie. Odruchowo wyciągnęłam dłoń. Kiedy ją ujął, pomyślałam, że jest silniejszy, niż na to wygląda, bo uściśnął ją całkiem mocno.

— Bardzo mi miło, panno O'Hanlon — powiedział. — Czy wszyscy irlandzcy lekarze mają takie urocze asystentki?

Gdybym usłyszała podobne zdanie od jakiegoś miejscowego chłopaka, zbeształabym go za takie jawne przypochlebianie się. Tymczasem stałam onieśmielona, mruknąwszy coś pod nosem, sama nie wiedząc dobrze co. Nie cofnęłam również ręki, póki nie zwolnił uścisku.

— Jest pan Amerykaninem, prawda, panie Cameron? — spytał ojciec.

Czyli takie będę nosiła nazwisko. Cameron. Spodobało mi się, mimo że było bardziej szkockie niż irlandzkie, ale ostatecznie jakie to ma znaczenie. Zaakceptowałabym każde nazwisko, nawet eskimoskie.

— Owszem, proszę pana — powiedział Cameron. — Jestem Amerykaninem.

— Co panu dolega? — spytał ojciec fachowym tonem.

Pomyślałam, że mógł jeszcze trochę podtrzymać tę towarzyską wymianę zdań. Wkrótce okazało się, że pan Cameron jedynie mocno się przeziębził na skutek nagłej i

znacznej zmiany klimatu. W przepastnej torbie ojca znajdowały się odpowiednie lekarstwa na tę przypadłość, która była dość powszechną w hrabstwie Mayo.

— Jeśli będzie je pan zażywał zgodnie z zaleceniami, wyzdrowieje pan w mig — zapewnił go ojciec.

— Dziękuję, panie doktorze. Ile jestem panu winien? Chciałbym natychmiast uregulować należność.

— Och, nie biorę pieniędzy od przyjezdnych, którzy zaszczycają naszą wioskę swoją obecnością — oświadczył ojciec. — Czy wolno mi spytać, jaki jest powód pańskiej wizyty w tych stronach?

Znałam powód. Pan Cameron nie wiedział tego, ale ja — owszem. Sprowadziło go tutaj moje zwierciadło.

— Chciałem możliwie dokładnie zwiedzić Irlandię — wyjaśnił pan Cameron. — Kupiłem konia oraz powozik i wyruszyłem w podróż. Jechałem bez wyraźnie sprecyzowanego celu, dbając jedynie o to, by drogi były w miarę przyzwoite, i ku miłemu zaskoczeniu znalazłem się tutaj. Mówiąc szczerze nie planowałem wizyty w Kilcrea, ale bardzo się cieszę, że tu przyjechałem.

Mówiąc to patrzył na mnie i poczułam, jak robię się pąsowa na twarzy. Wiedziałam, że zachowuję się niczym głupia pensjonarka. Nigdy jeszcze nie byłam tak onieśmielona.

— Miło mi słyszeć, że podoba się panu nasza wioska — zauważyłam idiotycznie.

— Mam nadzieję, że to nie tylko zdawkowa uwaga, panno O'Hanlon. Chciałbym, żeby ktoś pokazał mi wioskę i tutejsze wybrzeże. Jestem swego rodzaju ekspertem od tych spraw, bo pochodzę z okolic o najgorszym wybrzeżu na świecie.

— To znaczy skąd? — spytał ojciec, zanim mogłam wtrącić słówko.

— Z Maine. Ze stanu Maine. Tam, gdzie mieszkam, jest najbardziej skaliste wybrzeże, jakie gdziekolwiek widziałem. Tymczasem tutaj to łagodna skarpa, kończąca się piaszczystą plażą. Czy pańska córka mogłaby mi służyć za przewodnika?

— Myślę, że jakoś sobie poradzę bez mojej córki tak długo, póki nie dowie się

pan wszystkiego o naszym wybrzeżu — oświadczył wielkodusznie ojciec. Nasze spojrzenia spotkały się na moment i dostrzegłam porozumiewawcze mrugnięcie. — Jutro będzie się pan czuł już wystarczająco dobrze, by wyjść z domu, ale radzę, by najpierw pokazał się pan w moim gabinecie. Tam spotka się pan z moją córką i razem możecie wyruszyć na pierwszą wyprawę. Zapewniam pana, że dużo się pan od niej dowie.

Pan Cameron znów ujął moją dłoń i przytrzymał ją przez moment. Całe pół minuty. Przyjrzał mi się badawczo, a ja odważyłam się unieść wzrok i spojrzeć na niego równie otwarcie. Uśmiechnęliśmy się oboje i wiedziałam, że wszystko w porządku. Poczułam to w głębi serca i zakręciło mi się w głowie ze szczęścia, choć jednocześnie starałam się niczego nie dać po sobie poznać.

Pani Halloran odprowadziła nas do wyjścia, z szacunkiem odnosząc się do ojca, ale marszcząc brwi z niezadowolenia na widok mojej śmiałości.

— To bardzo przyzwoity młodzieniec, choć wiem o nim jedynie tyle, że zapłacił mi dwa razy więcej za pokój i jedzenie niż prosiłam, a do tego z góry. Miałam nadzieję, że zatrzyma się na dłużej. Łudziłam się, że przez jakiś czas nie pozwoli mu pan podróżować, panie doktorze. Wygląda na dość wątplęgo.

— Pani Halloran — oświadczył ojciec — mam przeczucie, że pani gość zabawi u nas dłużej.

Jej pulchna twarz pokraśniała z zadowolenia.

— Bardzo jestem rada. Ma bardzo drogi sakwojaż. Musi być niezwykle bogaty.

— Bez wątpienia — powiedział ojciec.

Spoważniała i obrzuciła mnie surowym spojrzeniem.

— Słyszałam, Maeve, że wkrótce zostaną ogłoszone zapowiedzi twoje i Cathala Dolana.

— To tylko głupie plotki, pani Halloran — odparłam wielce niezadowolona, bo specjalnie powiedziała to na tyle głośno, by usłyszał ją pan Cameron. — Ja i Cathal nie byliśmy nigdy po słowie i nigdy nie będziemy. Mówi wyłącznie za siebie, a nie za mnie, i chcę, by wszyscy to jasno zrozumieli. Byłabym wdzięczna, gdyby szepnęła

pani o tym komu trzeba, podobnie jak powtarza pani wypowiedzi Cathala. Do widzenia.

Odmaszerowałam, wyprzedzając ojca, który musiał nieźle wydłużyć krok, by mnie dogonić. Kiedy zrównał się ze mną, mruczałam sobie coś pod nosem na temat ucięcia języka wszystkim intrygantom.

— Spodobał mi się — powiedział.

— Ta gadatliwa plotkarka robiła co mogła, by wszystko popsuć.

— Och, Maeve, nie masz powodu do zmartwienia. Cokolwiek się dzieje, zgodne jest z wolą dobrej królowej. Pani Halloran może sobie plotkować ile wlezie, a i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia. Podobnie jak to, co zrobiłby ten nieszczęśnik.

Spojrzałam na niego badawczo.

— A myślisz, że mógłby chcieć?

— Mówiąc szczerze nie. Kiedy wychodziliśmy, spojrzał na ciebie bardzo ciepło. Poza tym od niego wyszła propozycja, żebyś go oprowadziła po okolicy. Interesuje go linia brzegowa, dobre sobie. To ty go interesujesz albo straciłem zarówno instynkt, jak i wzrok. Jednak przypadł mi do gustu.

— Nietrudno będzie go pokochać, ojcie — powiedziałam.

— Przybył tu z dalekich stron. Pewnego dnia zapragnie wrócić do domu — zauważył ojciec nieco złośliwie.

— Nikt mu tego nie zabroni, jeśli lubi samotne wojaże. Chyba że zdecyduje się na interesujące towarzystwo nie tylko swojej żony, ale również teścia.

— A odkąd to nie mogę sam o sobie decydować? — spytał zagniewany.

— Odkąd ja tak postanowiłam. Nie należysz do osób, które potrafią żyć samotnie.

— Mogę się przecież powtórnie ożenić — powiedział z uśmiechem. — Nie jestem jeszcze taki stary ani brzydki, a znam wiele wdów...

Zmarszczyłam nos.

— To mało prawdopodobne.

Skinął głową.

— Masz rację.

Wiedziałam, że pomyślał o matce. Wsunęłam mu rękę pod ramię i uścisnęłam je lekko, spoglądając na niego z miłością i czułością. Spojrzał na mnie równie ciepło, bo dobrze się rozumieliśmy i byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Na chwilę zapomniałam nawet o panu Cameronie.

*

Ale on nie zapomniał. Nazajutrz, znacznie wcześniej niż się spodziewałam, przyszedł do ojca, którego akurat nie było, bo udał się do kogoś z wizytą. Zaprowadziłam gościa do gabinetu ojca. Zająłam miejsce w fotelu za biurkiem, a on usiadł naprzeciwko mnie.

— Panie Cameron — spytałam afektowanie — czy męczyły pana jeszcze napady kaszlu?

— Nie. To lekarstwo czyni cuda. Pani ojciec jest świetnym doktorem.

— Czy bardzo panu dokucza katar?

— Nie, to nic poważnego. Sądzę, że dobrze mi zrobi nieco ruchu na świeżym powietrzu. Jeśli dysponuje pani czasem... I oczywiście ochotą, by oprowadzić nieznanego sobie człowieka po okolicy...

— Zrobię to z największą przyjemnością, panie Cameron.

— Jeśli mamy razem iść na spacer, uważam, że powinniśmy się do siebie zwracać po imieniu. Mam na imię Joel.

— Joel — powtórzyłam wolno. — Muszę powiedzieć, że to niezbyt popularne imię w Irlandii. Jestem Maeve.

Roześmiał się.

— W Maine nawet nie potraktowano by tego jako imienia.

— Naprawdę? — zapytałam cierpkim tonem.

— Panno O'Hanlon, nie chciałem pani urazić — oświadczył pośpiesznie.

— Maeve — przypomniałam mu.

— Maeve, uważam, że to śliczne imię.

— To imię królowej, która kiedyś władała Irlandią.

— I otrzymałaś je po niej? Jestem pewien, że byłoby jej bardzo miło. Ja nie otrzymałem imienia po nikim. Prawdopodobnie matce po prostu podobało się imię Joel.

— Mnie się też podoba. Mój brat ma na imię Jimmy.

— Czy też tutaj mieszka?

— Studiuję chirurgię na uniwersytecie w Edynburgu. Już dwa lata minęły od jego wyjazdu... Czy wolno mi spytać, czym się zajmujesz, Joelu?

Uśmiechnął się nieśmiało.

— Wolałbym, żebyś mnie o to nie spytała. Jestem specjalistą od próżnowania. Jeśli ktokolwiek zainteresowany jest dowiedzeniem się czegoś na temat zbijania bąków, służę wszelkimi informacjami. Śmiertelnie się nudzę, więc podróżuję, ale mimo to nadal śmiertelnie się nudziłem. Póki nie przyjechałem tutaj.

Jego ostatnie zdanie napełniło mnie odrobiną otuchy.

— Masz dom i rodzinę?

— Och, tak. Mam dom i liczną rodzinę. To właśnie przez nią tyle podróżuję. Kiedyś opowiem ci o niej, teraz nie chcę cię zanudzać.

— Joelu, nie interesuje mnie twoja rodzina, jeśli jest ci obojętna. A z twoich słów wywnioskowałam, że tak właśnie jest. Ja prowadzę gospodarstwo i pomagam ojcu. Nie wiem, co to nuda.

— Masz szczęście. Pomożesz mi zapomnieć, że coś takiego istnieje?

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się figlarnie.

— Mogę cię zaprowadzić nad morze i wepchnąć do wody. A woda w zatoce Clew jest zimna. Na pewno nie będziesz się nudził próbując się wydostać na brzeg.

— Zgadza się nawet na to — powiedział. — Chodźmy rzucić okiem na zatokę Clew.

Kiedy szliśmy ulicą, wiedziałam, że jesteśmy pilnie obserwowani zza firanek wiszących w oknach przydrożnych domostw. Żeby sprawić podglądającym większą frajdę, i ponieważ sama w głębi duszy miałam na to ogromną ochotę, wzięłam Joela za rękę i ruszyliśmy przez wieś na poły tanecznym krokiem. Jeszcze przed końcem

dnia na pewno rozejdzie się plotka, że kompletnie straciłam głowę dla jakiegoś obcego przybysza.

Zaprowadziłam go na swoje ulubione wzgórze i wyjaśniłam, że słodki zapach, na który zwrócił uwagę, to woń dzikiego tymianku, porastającego zielone zbocza ciągnące się aż po horyzont. Zeszliśmy ścieżką nad samą wodę.

— Maeve, czemu drzysz? — spytał. — Przecież jest całkiem ciepło.

Skinęłam głową nie podnosząc wzroku.

— To ze względu na morze. Podczas sztormów w zatoce traci życie wielu ludzi. Istnieje przesąd, że od czasu do czasu morze musi pozbawić kogoś życia, by zaspokoić swój głód czy żądzę.

— To zwykła bajka — powiedział Joel. — Na pewno w nią nie wierzysz.

— Joelu, nie wiem nic o twojej ojczyźnie. Ani jak myślą mieszkańcy twoich stron. Ale tutaj, w Mayo, wierzymy w wiele rzeczy, które na pozór są niesamowite, i choć natrzęsamy się z siebie, że w nie wierzymy, zaprzeczamy głośno, byśmy kiedykolwiek dawali im wiarę, w głębi duszy jesteśmy przekonani o ich istnieniu. Trudno to wyjaśnić. Pewnego dnia spróbuję ci wszystko wytłumaczyć, ponieważ... ponieważ jesteś bohaterem jednej z tych tajemniczych historii, ale jeśli poprosisz mnie, bym ci powiedziała teraz coś więcej na ten temat, naprawdę wepchnę cię do morza.

Znaleźliśmy sobie wygodne miejsce porośnięte miękką murawą, w pewnej odległości od plaży i spokojnych wód zatoki. Miał rację. Było ciepło, powietrze pachniało tymiankiem. Ten cudowny nastrój pogłębiał jeszcze dobiegający skądś ptasi śpiew. Od samego początku wiedziałam, że pokocham tego mężczyznę, bo tak chciał los, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jakie to cudowne uczucie być zakochaną. Musiałam wyteńczyć całą siłę woli, by nie powiedzieć mu, co do niego czuję, bo byłoby to wysoce niestosowne. No i mogłabym go tym wyznaniem spłoszyć.

— Czy mogę ci zadać pytanie natury osobistej? — spytał przerywając milczenie.

— Oczywiście — odparłam z poważną miną, ale serce zabiło mi mocniej.

— Co miała na myśli pani Halloran mówiąc coś o zapowiedziach twoich i niejakiego Cathala? — spytał. — Jestem katolikiem jak ty i wiem, co znaczy samo słowo „zapowiedzi”.

— A więc słyszałeś wszystko? Cóż, specjalnie mówiła głośno. Opowiem ci o Cathalu. Razem wzrastaliśmy. Był dobrym kolegą mojego brata i został również moim. Lubiłam go, póki nie dorosłam i nie zdałam sobie sprawy z faktu, że właściwie jest człowiekiem zupełnie pozbawionym ambicji. Och, Cathal nigdy nie był mi przeznaczony. Ubzdurał sobie jednak, że pewnego dnia się pobierzemy, choć nigdy nie dałam mu i nie dam najmniejszego powodu, by mógł sobie coś takiego pomyśleć. Nie dalej jak dwa dni temu poprosiłam go, by przestał rozgłaszać te bzdury, ale jest taki zarozumiały, że nie wierzy mi, iż mówię poważnie.

— Rozumiem.

Przewróciłam się na bok, by spojrzeć na niego. Leżał na wznak, trzymając w zębach długie źdźbło trawy. Oczy miał zamknięte i miałam ogromną ochotę pocałować go w policzek.

— Co rozumiesz, jeśli wolno mi spytać?

— Zastanawiałem się, czy jesteś zaręczona.

— A gdybym była, to co, Joelu Cameronie?

— Jeszcze dziś bym stąd wyjechał.

Usiadłam gwałtownie.

— Wyjechałbyś?

Przekręcił się na bok i unióś powieki.

— Tak, wyjechałbym.

— Sądzę, że jesteś trochę postrzelony — powiedziałam.

— Całkiem możliwe. Wyjechałbym, ponieważ nie wydaje mi się, bym mógł znieść myśl, że masz poślubić kogoś innego.

— A cóż to cię może obchodzić? — Och, odgrywałam niezłą komedię, choć jednocześnie sprawiałam sobie ból i nieco ryzykowałam. Może zbyt zaufałam swemu tajemniczemu zwierciadłu.

— Maeve, ludzie mówią, że kiedy mężczyzna spotyka dziewczynę i zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia, jest to tylko chwilowe zauroczenie. Że taka miłość szybko przemija. Czy wierzysz w to?

— Niewykluczone, że tak, gdybym tylko wiedziała, o czym mówisz — odparłam. Kontynuowanie tej gry stawało się coraz bardziej niebezpieczne.

— No więc... zakochałem się w tobie, kiedy cię tylko ujrzałem. To ponoć głupie. Nawet niemożliwe! Wszyscy mówią, że takie rzeczy się nie zdarzają. Wierzyłem im kiedyś. Ale oto pewnego dnia zawitałem do nie znanej mi wioski w Irlandii, chory, niewyobrażalnie znudzony, obojętny, co się ze mną stanie, spojrzałem w czyjeś oczy... błyszczące, niebieskie... a może lawendowe...

— Niebieskie — powiedziała wstrzymując oddech.

— Zgadza się, niebieskie. Choć chwilami...

— Człowieku, mów dalej — ponagliłam go.

— A cóż tu jest jeszcze do dodania? Teraz możesz się ze mnie śmiać. Albo powiedzieć mi, bym wstał i wyniósł się stąd. Możesz patrzeć na mnie z politowaniem, ale musiałem ci to powiedzieć.

Zaczął się podnosić i był już na kolanach, kiedy również uklękłam przed nim i powiedziałam:

— Przystaniesz się tak kręcić? I na miłość boską, człowieku, pocałuj mnie, zanim złamię wszelkie zasady obowiązujące dobrze wychowane panienki i pocałuję cię pierwsza. Jestem w tobie zakochana już od dawna... od tygodni... od miesięcy... całe życie. Wyglądałaś jak bohaterki bajek wyglądają księcia. Co cię zatrzymało, Joelu Cameronie, że kazałeś mi tak długo na siebie czekać?

Nie poruszył się. Po prostu gapił się na mnie oszołomiony. Pochyliłam się, dotknęłam dłońmi jego policzków i przycisnęłam usta do jego warg. Nagle objął mnie ramionami.

— To nie może być prawda — powiedział. — Przedwczoraj siedziałem sobie w przydrożnej karczmie piętnaście kilometrów stąd i rzucałem monetę, by zdecydować w którą stronę pojechać następnego dnia. Przeklinałem katar, którego nabawiłem się

gdzieś w podróży, ale został chyba zesłany przez niebiosy, bo przywiódł mnie do ciebie. Maeve, czy zdarzył mi się cud? Czy też naprawdę istniejesz? Czy jesteś przy mnie? Czy rzeczywiście trzymałem cię w ramionach i całowałem? Powiedz mi, że nie wymyśliłem sobie tego wszystkiego.

— To wszystko dzieje się naprawdę i już dawno wiedziałam, że się zdarzy.

— Cóż ty wygadujesz za bzdury?

— Cierpliwości — powiedziałam. — To wcale nie bzdury. To przeznaczenie.

Nie pytaj mnie teraz o nic więcej. Wyjaśnię ci wszystko, zanim się pobierzemy. — Zabrakło mi tchu, wyswobodziłam się z jego uścisku i nagle poczułam się zażenowana swoją śmiałością.

Roześmiał się i znów mnie przytulił.

— Maeve O'Hanlon, czy zostaniesz moją żoną?

— Tak, Joelu Cameronie.

— Nawet mimo to, że nic o mnie nie wiesz?

— Czy mogę spytać, co ty wiesz o mnie?

— Jesteś prześliczna. A także śmiała i psotna. Całujesz jak anioł, ale jesteś na tyle kobietą, by przyznać się do miłości. I wiem, że masz dużo do ofiarowania. Stanowisz moje uzupełnienie. Jesteś Maeve O'Hanlon. I to wystarczy.

— A ty jesteś Joelem Cameronem i również mi to wystarczy.

— Co pomyśli sobie twój ojciec?

— Będzie uszczęśliwiony.

— A co z tym Cathalem?

— Przysiągł, że kiedy spotka mężczyznę, który mnie poślubi, sprawi mu manto.

— Czy jest rosły?

— Dwa razy większy od ciebie, mój drogi.

— Cóż, przekonamy się, kto komu sprawi manto.

— Joelu, jeśli tylko podniesie na ciebie rękę, zdzieję go czymś ciężkim w jego głupią głowę.

— Wykluczone. Sam potrafię się bić.

I oto miałam pierwszy powód do martwienia się o mężczyznę, którego kochałam.

*

Leżeliśmy nie wiem jak długo, delektując się ciepłem, poddając się miłemu rozleniwieniu, rozkoszując się cudownym uczuciem, które nami owładnęło. Rozmawialiśmy, ale wypowiedane słowa się nie liczyły. Nie była to pora na roztrząsanie poważnych problemów ani snucie śmiałych planów. Nasza miłość była na to zbyt świeża.

Późnym popołudniem wróciliśmy w milczeniu, nie spiesząc się, do wioski. Joel obejmował mnie w pasie. Szliśmy noga w nogę i co kilka kroków spoglądałam na niego. Jeżeli ktoś nas obserwował — a byłam pewna, że tak — nasza wzajemna miłość nie mogła już stanowić tajemnicy dla nikogo. Albo przestanie nią być w ciągu najbliższej półgodziny.

Ojciec przyjmował ostatniego pacjenta tego popołudnia i wkrótce był wolny. Posadziłam Joela w niewielkim fotelu w naszym salonie. Kiedy ojciec wszedł, zatrzymał się w lekkim rozkroku, ujął się pod boki i pochylił nieznacznie do przodu, spoglądając na tego intruza, który wtargnął w nasze życie.

— A więc przyszedłeś, by mnie poinformować, że chcecie wziąć ślub — powiedział.

Na widok skonsternowanej miny Joela roześmiałam się w głos, po chwili przyłączył się do mnie ojciec, w końcu Joel również zaczął się śmiać, a ojciec ujął jego dłoń i potrzasał nią, jakby to była rączka pompy.

— Widzę, że nie wyjawiono ci jeszcze prawdy — zauważył ojciec. — Ale bez wątplenia już wkrótce dowiesz się wszystkiego i na pewno nie wpłynie to na twoje uczucia. Zresztą nawet jeśli byś chciał, niewiele mógłbyś zdziałać, biedny śmiertelniku. A poważnie mówiąc bardzo się cieszę. Niełatwo mi to przyznać, bo poza tym, że zmierzyłem ci puls i temperaturę, nic o tobie nie wiem, Joelu Cameronie.

— Czyli że obie strony ukrywają jakiś sekret — powiedział Joel.

— Proszę mi wybaczyć, że w tej chwili nie powiem nic o sobie. Możecie jednak

być pewni, że nie ukrywam niczego, czego musiałbym się wstydzić. Zanim zaznajomię was z faktami dotyczącymi mego dotychczasowego ponurego życia, chciałbym poznać reakcję innych.

— Oczywiście twojej rodziny — domyśliłam się.

Skinął głową.

— W najszerszym tego słowa znaczeniu, droga Maeve.

— Czy obawiasz się jakichś przeszkód ze względu na różnicę wyznań? — spytał ojciec.

Wiedziałam, czemu o to pyta. Jeśli myślał, że Joel jest innego wyznania, co uniemożliwiłoby nam ślub kościelny, mogliśmy przecież stąd wyjechać i zamieszkać gdzie indziej, takie było przywiązanie naszych ludzi do wiary.

— Nie — powiedział Joel. — Zostałem wychowany w waszej wierze. Mogę tego dowieść, bo mam przy sobie metrykę chrztu. To dziwne. Opuściłem dom niespodziewanie, jakby coś mnie popychało do wyjazdu. Nie żebym nie chciał jechać, ale nie potrafię podać żadnego sensownego powodu tego pośpiechu ani też czemu zabrałem ze sobą metrykę chrztu. No bo po co miałbym ją brać?

— Ja wiem — powiedziała cicho. — Właściwie wiemy to oboje z ojcem.

Joel pokiwał głową.

— Zagadka goni zagadkę. Ale obojętne mi, czemu to zrobiłem i jak tu trafiłem. Kiedy weźmiemy ślub, Maeve?

— Najpierw będą oczywiście zapowiedzi. Przypuszczam, że za jakiś miesiąc.

— Idealnie. Będę musiał wyjechać na kilka dni do Dublina. To konieczne. Przysięgam, że wrócę, a jako gwarancję powrotu zostawię wszystkie swoje rzeczy.

— Nie ma takiej potrzeby — powiedziała. — Zostawisz swoją miłość, zabierając w zamian moją. To wystarczy. Kiedy wyjeżdżasz?

— Czy nie sprawi ci różnicy, jeśli wyruszę w drogę jutro? Chcę to już mieć za sobą. To, co mnie czeka, nie należy do rzeczy przyjemnych, ale niestety nie da się tego uniknąć.

— Sam wiesz najlepiej, kiedy jechać — powiedziała.

— Czyli ustalone. Po powrocie obiecuję, że powiem ci wszystko: czemu musiałem przedsięwziąć tę podróż i jakie są jej rezultaty. Maeve, dziękuję ci za zaufanie, jakim mnie darzysz.

— A ja za twoje, bo z pewnością wiesz, że to, co ci się przytrafiło, było niezależne od twojej woli.

— Czy to jakieś czary? — spytał z uśmiechem.

— Nie, może coś w tym rodzaju, ale na pewno nie czary. Przynajmniej nie żaden zły urok. Prawda, ojczy?

Ojciec westchnął głęboko.

— Tym razem nie, Maeve. Z całą pewnością tym razem nie.

Wiedziała, że myśli o matce i przepowiedni, dotyczącej jej śmierci, którą ukazało zwierciadło.

Joel szybko zmienił temat, zdając sobie sprawę z tego, że bezwiednie wkroczył na delikatny grunt.

— Maeve, czy w takim razie zajmiesz się zapowiedziami? — spytał.

— Naturalnie.

— Świetnie. Pójdę już, bo pani Halloran czeka na mnie z kolacją, a ponieważ za nią zapłaciłem, będzie nalegała, bym zjadł bez względu na to, czy jestem głodny, czy nie. Jutro skoro świt wyruszę w drogę i wrócę tak szybko, że nawet się nie zorientujesz, że wyjeżdżałem.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział ojciec — ty nie jesteś może głodny, a już z całą pewnością moja córka nie jest w odpowiednim nastroju, by przygotować mi coś do jedzenia, więc pójdę sobie sam coś przyrządzić na kolację. Będę wtedy przynajmniej miał pewność, co jem, bo obawiam się, że Maeve nie wiedziałaby co mi szykuje. Życzę ci miłej podróży, Joelu Cameronie i jeszcze raz pragnę oświadczyć, że jestem bardzo szczęśliwy. Przynajmniej nie będę się już dłużej martwił o przyszłość swojej córki.

Uścisnęli sobie ręce i ojciec wyszedł do kuchni. Wcale nie po to, by przygotować sobie kolację — nie potrafił nawet zaparzyć herbaty — ale żebyśmy

mogli przed wyjazdem Joela побыć trochę sam na sam.

— Wyjątkowy człowiek — powiedział Joel. — Wspaniały lekarz i wyjątkowy człowiek.

— To prawda, Joelu. Martwię się o niego.

— O ojca? Wygląda jak okaz zdrowia.

— Nie chodzi o stan jego zdrowia. Ale wymagałoby to dłuższych wyjaśnień, a teraz nie pora po temu. Kiedy wrócisz, wszystko sobie powiemy, prawda, Joelu?

— Tak jest. I z góry przepraszam za to, co usłyszysz, choć podkreślam, że nie ma w tym mojej winy.

— Nie musisz się zastrzegać, i tak to wiem. A teraz pocałuj mnie raz, przytul na chwilkę i uciekaj, zanim zacznę beczeć, choć przysięgam, że nie jestem płaksą. Och, Joelu, tak cię kocham. Dni bez ciebie będą ponure i nic nie warte. Jedyna pociecha, że z upływem każdego z nich bliżej będzie do twego powrotu.

— Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co mnie spotkało, Maeve, ale błogosławię moce, które to sprawiły.

Odprowadziłam go do drzwi, pocałował mnie jeszcze raz, a potem wyszedł, krocząc zamasyście i nie oglądając się za siebie, jakby się obawiał, że gdyby to zrobił, nie miałby siły wyjechać. A ja stałam i modliłam się do niebios, by się nie obejrzał do tyłu. Przygotowałam kolację, do której zasiedliśmy oboje z ojcem. Jadłam bez apetytu, myślami błędząc gdzieś daleko, póki ojciec nie sprowadził mnie na ziemię.

— Nie powiedziałaś mu o zwierciadle ani o naszyjniku?

— Ani słówka, ojczy. Ale powiem mu, kiedy wróci.

— Myślę, że tak będzie słusznie. To biedaczysko musi nieźle sobie łamać głowę zastanawiając się, jak do tego wszystkiego doszło.

— Wszystko mu powiem, ojczy. Jest jedna rzecz, o którą chciałabym cię prosić. Czy porozmawiałbyś z Cathalem Dolanem i ostrzegłbyś go, że jeśli podniesie rękę na Joela, to będzie tak, jakby uderzył mnie? Jeśli mu na mnie zależy, tak jak twierdzi, usłucha mojej prośby.

— Tak, myślałem, żeby z nim porozmawiać. Cathal jest trochę narwany i łatwo wpada w gniew.

— Wiesz, że Joel nie dorównuje mu siłą ani bezwzględnością, ale gotów jest się z nim zmierzyć, choć wie, iż zostanie pokonany.

— Zrobię, co będę mógł.

— Dziękuję.

— Maeve, w dniu waszego ślubu pokażę Joelowi naszyjnik. Bo od tego dnia będzie należał do was. Pamiętajcie, że przechodzi z pokolenia na pokolenie i że tak będzie zawsze.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ojcze.

— I nie zapominaj, a także ostrzeż Joela, że posiadanie tego skarbu jest sprzeczne z prawem, więc dlatego nie pokazujemy go ani z nikim o nim nie rozmawiamy. Musi być zawsze przechowywany w sejfie bankowym, bez względu na to, gdzie będziecie przebywać

— Zapamiętam to.

— Dobrze. Czyli zakończyliśmy naszą poważną rozmowę i teraz mogę ci powiedzieć, że jadłem już lepszy pasztet, niż przyrządziłaś dzisiaj, a herbata jest tak słaba, że aż wstyd.

— Przepraszam, ojcze — powiedziałam.

— Przebaczam ci. Kiedyś... tak, kiedyś też byłem zakochany. Miłość potrafi wyczyniać różne rzeczy również z mężczyzną i mam nadzieję, że twój Joel trafi do Dublina, a nie do Kilkenny, bo na pewno nie wie, co robi.

— To człowiek wyjątkowo inteligentny — oświadczyłam z mocą. — Ojcze, rano odwiedzę Babcie Keohane.

— A czegoś ty od niej chcesz?

— Sam nazwałeś ją Guślarką.

— Myślisz, że twój ojciec nie potrafi ci udzielić odpowiedzi na pytania, które chcesz jej zadać? — spytał oburzony.

— Ojcze, są sprawy, które kobiety najlepiej wyjaśnia między sobą. Cóż z ciebie

za lekarz, jeśli o tym nie wiesz?

— W takim razie zwróć się do niej. Ale jeśli będziesz miała jakieś wątpliwości co do słuszności jej rad, zapytaj mnie.

— Czy kiedykolwiek robię inaczej?

— Racja — powiedział udobruchany. — Zanieś jej coś w koszyczku.

— Mam dwa rodzaje dżemu, a rano upiekę kurczaka i bochen chleba. Mamy też puszkę herbaty. Jeśli nie pozwolisz mi jej wziąć, to ją ukradnę.

— Weź ją. Nie chcę, byś kradła na mój rachunek. Są jeszcze dwie paczki jej ulubionych herbatników. Droga zapłata za mądre rady, których ci udzieli, a których nie możesz ponoć otrzymać od swego ojca.

*

Spałam dobrze, mimo że dziesiątki tysięcy myśli kotłowały mi się w głowie. Może dlatego, że dotyczyły tylko jednego — Joela Camerona. Tak czy inaczej obudziłam się wypoczęta, wstawiłam kurczaka do piekarnika i upiekłam chleb. Przygotowałam śniadanie dla ojca. Zjadł je w pośpiechu, bo miał iść z wizytą do chorego, mieszkającego spory kawałek drogi za wsią, i nie miał czasu na jedzenie.

Zjadłam śniadanie nie śpiesząc się, myśląc o tym, co powiem Babci Keohane. Była to dziwna kobieta. Mieszkała sama w małej chatce, wygodnie urządzonej przez jej sąsiadów i przyjaciół. Babcia była bardzo stara, niektórzy mówili, że ma prawie sto lat, ale ojciec w to nie wierzył. Dawał jej najwyżej dziewięćdziesiąt. Znałam ją, odkąd tylko nauczyłam się rozpoznawać ludzkie twarze. Kiedy byłam mała, przychodziła i opiekowała się mną. To właśnie ona nauczyła mnie wielu rzeczy, których na ogół nie uczy się młodych dziewcząt. Zanim w wiosce pojawił się ojciec, była jedynym lekarzem w okolicy i całkiem nieźle sobie radziła. Znała właściwości lecznicze roślin i podzieliła się ze mną swoją wiedzą zielarską. Często korzystałam z tych wiadomości pomagając ojcu leczyć jego pacjentów, bo byli wśród nich tacy, którzy odmawiali przyjmowania lekarstw, ale akceptowali zioła. Wtedy do akcji wkraczałam ja.

Babcia nauczyła mnie również szanować moje dziedzictwo, bo tylko ona jedna z całej wsi o nim wiedziała. Tak dobrze znała czasy panowania królowej Maeve, że

czasem zastanawiałam się, czy przypadkiem nie żyła za jej rządów, a potem nie została w cudowny sposób przeniesiona w ostatnie lata dziewiętnastego wieku. Często przepowiadała rzeczy, które miały się dopiero wydarzyć. Raz wysłała ojca do człowieka, który według jej słów za pół godziny miał spaść z dachu stodoły i doznać poważnych obrażeń, ale jeśli ojciec wyruszy w drogę natychmiast, przybędzie w porę, by mu pomóc. Ojciec pojechał, jakby mężczyzna już spadł z dachu. Nieszczęśnik aż zaniemówił na jego widok, ale był bardzo wdzięczny, że ojciec pojawił się tak prędko.

Włożyłam wiktuały do koszyka, ogarnęłam dom i zarzuciłam na głowę szal, bo ranek był nieco mglisty. Zbliżała się jesień i poranki oraz wieczory stawały się chłodne. Szłam ulicą, odpowiadając na pozdrowienia przechodniów i licznych osób, stojących w progach swych domów. Wychodzili jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na chwilę przed moim pojawieniem się. Bardzo pragnęli mnie zatrzymać, bym opowiedziała im o Joelu, ale nie byłam w nastroju, by mówić z nimi o czymś, co było jeszcze zbyt świeże i święte.

Weszłam do chaty Babci Keohane i zastałam ją siedzącą przed kominkiem. Torf wypalił się na biały popiół, dając wiele ciepła, które tak lubiła i które było jej potrzebne.

— Wejdz, najdroższa Maeve — zawołała, jeszcze zanim weszłam do środka. — Spodziewałam się twojej wizyty.

— Naprawdę? — zdziwiłam się. — Przyniosłam ci dzem, kurczaka, chleb i herbatę, a na specjalne życzenie ojca herbatniki, które są bardzo słodkie i okropnie szkodzą na zęby.

Uniosła swą pomarszczoną twarz o zapadniętych policzkach i zachichotała szelmowsko, ukazując bezzębne dziąsła, szczerze ubawiona tym żartem. Wyładowałam koszyk i odstawiłam wiktuały, zostawiając na stole jedynie paczkę herbatników. Zaparzyłam herbatę, przyniosłam imbryk do pokoju i rozlałam napój do dwóch filiżanek — dla niej i dla siebie. Moczyła ciastka w herbacie i zajadała się nimi z takim apetytem, że aż miło było patrzeć.

— Kiedy poślubisz tego młodzieńca? — spytała.

— A kto ci o nim powiedział?

— Maeve, czy da się u nas coś ważnego ukryć?

— Ale skąd ludzie mogą wiedzieć o naszych planach matrymonialnych?

— Nie wiedzą. Sama się domyśliłam. A może wiem już o tym od dawna, podobnie jak o wielu innych sprawach, choć nie potrafię wytłumaczyć skąd. Na przykład czemu przyszedłaś do mnie. Coś cię trapi. Co takiego, moje dziecko?

— Babciu, niepokoi mnie wiele rzeczy, ale trudno mi to wytłumaczyć. Zwierciadło...

— Wiedziałam! Niech będzie błogosławione i przeklęte zarazem. Cokolwiek czy ktokolwiek, kto dał mu moc ujawniania przyszłości, powinien zastrzec, by ukazywało tylko dobre rzeczy, a nigdy złe.

— Po pierwsze, tego młodzieńca, który się pojawił, ujrzałam w lustrze już dawno temu. Wiedziałam, że tu zawita. Wiedziałam, że go pokocham, a on pokocha mnie. To dobre nowiny, Babciu. Och, niech będzie za to błogosławione. Ale znacznie później znów spojrzałam w zwierciadło i choć ponownie ujrzałam jego twarz, w głębi ukazał się profil innego mężczyzny. Nie wiem, co to może znaczyć, ale obawiam się, że coś niedobrego.

— Drugiego mężczyznę w twoim życiu?

— Póki Joel Cameron będzie moim mężem, moim ukochanym, ten drugi może być tylko przyjacielem.

— Racja. To niedobry znak. Ale może ten drugi nieprędko pojawi się w twoim życiu.

— Ten drugi mężczyzna też był młody, Babciu.

— Aha. Nie podoba mi się to, Maeve, jednak musisz się z tym pogodzić. Pierwszy młodzieniec już się pojawił i nie mogłaś nic zrobić, by temu zapobiec. Jeśli będzie cię chciał opuścić, nie zdołasz go przy sobie zatrzymać.

— Wiem. Martwię się i zastanawiam, w jaki sposób nastąpi to rozstanie. Poza tym jest jeszcze sprawa ojca.

— Również pojawił się w zwierciadle?

— Nie. Ale kiedy poprosiłam zwierciadło, by mi ukazało, co go czeka w przyszłości, zobaczyłam wodę... morze, wzburzone i rozszalałe, jakby podczas wielkiego sztormu.

Odwróciła wzrok.

— Maeve, pociesz się tym, że twój ojciec nie przepada za wodą. Nie ma statku ani nawet kuragu. Nigdy nie słyszałam, by wypłynął na otwarte morze, a ty?

— Też nie — powiedziałam, gorączkowo szukając w pamięci. — Jednak to rozszalałe morze w zwierciadle...

Poklepała mnie po ręku i zapytała:

— Czy wolno mi spytać, co o twoim małżeństwie mówi Cathal Dolan?

— Nie wiem. Zagroził, że sprawi manto każdemu mężczyźnie, z którym się pokaże, i obawiam się, że nie była to czcza pogrożka.

— Rozumiem. Powinnaś iść do księdza i poprosić, by porozmawiał z Cathalem. Twój ojciec też powinien się z nim spotkać. Jest jeszcze ktoś, kto może mieć na niego wpływ. Idź do bankiera Finna. Cathal jest mu sporo winien pod zastaw swego gospodarstwa.

— Udam się do niego natychmiast.

— I nie dopuściłabym, by dowiedział się o tym twój ukochany. Jest dumny i poczuje się dotknięty na wieść o tym, że przedsięwzięłaś jakieś kroki, by go ustrzec przed porywcznością Cathala. A ze strony tego wielkiego, głupiego wielkoluda naprawdę grozi mu niebezpieczeństwo.

— Porozmawiam również z Cathalem — powiedziałam.

— Maeve, Cathal ma niewielki rozumek, ale jest bardzo przebiegły. Strzeż się tego człowieka. Mam przeczucie, że pewnego dnia zrobi ci coś złego, więc bądź na to przygotowana.

— Zapamiętam to sobie, Babciu. I dziękuję ci za przestrozę.

— Maeve, traktuję cię jak córkę. Czekają cię w życiu wielkie rzeczy. Ale wielkie rzeczy nadchodzą wolno i często towarzyszy im smutek i cierpienie. Musisz być na to przygotowana. Jesteś silna i mądra...

— Dzięki tobie, Babciu — przerwałam jej.

— Przyznaję, że się do tego przyczyniłam. I bardzo się z tego cieszę. Nie zapominaj również, że pochodzisz z królewskiego rodu. Drugich takich władców jak oni nie było i co gorsze już nie będzie. A teraz opowiedz mi najświeższe plotki, krążące po wsi i okolicach.

Rozsiadła się wygodnie, by słuchać moich opowieści o ostatnich wydarzeniach, w większości błahych. Od czasu do czasu zdradzałam jej niewinne tajemnice, zasłyszane w gabinecie lekarskim wiedząc, że to, co powiem, nie zostanie nikomu powtórzone. Babcia ubóstwiała ploteczki. Chrupała maczane w herbacie ciasteczka i słuchała chichocząc, a czasem wzdychając głęboko.

*

Miejscowy kościół z polnych kamieni był skromnym budynkiem wzniesionym przez mieszkańców wioski. Był to pomnik ich wiary i umiejętności, bo mimo obfitych opadów przez dach nie przedostawała się ani kropla deszczu. Wnętrze wyposażone było po spartańsku, stały tu tylko ławki i kłęczniki. Ale po obu bokach ołtarza umieszczono posągi, a człowiek, który umarł jeszcze przed moimi narodzinami, wyrzeźbił w drewnie stacje krzyżowe.

Wiedziałam, że o tej porze ojciec Burke pielęgnował swój mały ogródek znajdujący się na tyłach kościoła. Musiał usłyszeć, jak wchodziłam, bo nie odwracając głowy powitał mnie, zwracając się do mnie po imieniu.

— Proszę księdza, muszę z księdzem porozmawiać — oświadczyłam.

— Musisz czy chcesz?

— Jedno i drugie. Czy mógłby mi ksiądz poświęcić nieco uwagi?

— Naturalnie. — Otrzeptał ręce z brudu, wytarł je lekko o trawę, by usunąć resztki ziemi i podniósł się.

Był przystojnym mężczyzną, wysokim i mocno zbudowanym. Miał siwe włosy, wyraziste rysy twarzy i przenikliwe niebieskie oczy, głęboko osadzone pod kruczoczarnymi brwiami. Cieszył się powszechnym szacunkiem, niektórzy odczuwali przed nim lęk, ale był dobrym człowiekiem, czującym prawdziwe powołanie.

Okazywał również daleko posuniętą tolerancję, zdając sobie sprawę z ułomności natury ludzkiej. Wiedział, że życie w tych stronach nie jest lekkie i wymaga od mieszkańców wiele zachodu, by mogli zapewnić rodzinie utrzymanie.

— A więc słucham, Maeve, co mi masz do powiedzenia, jakbym o wszystkim już nie wiedział — odezwał się.

— A skąd mógłby ksiądz wiedzieć?

— Nie rób takiej zdumionej miny. Odkąd to w naszej wiosce można coś utrzymać w tajemnicy? A nawet jeśli tak by się zdarzyło, wszystko masz wypisane na twarzy. Nie sądzę, by dotyczyło to Cathala.

— Jeśli ksiądz wie, o co chodzi, to powinien ksiądz również wiedzieć, że sprawa dotyczy właśnie Cathala — odparłam.

Przyjrzał mi się uważnie.

— Przyszłaś dać na zapowiedzi twojego ślubu.

— Tak, ale nie z Cathalem — powiedziałam cicho.

Skinął głową.

— Z tym nieznanym.

— Dla mnie nie jest nieznanym. Nazywa się Joel Cameron.

— Czy ma to być ślub kościelny? Wiesz, co mam na myśli.

— Pyta ksiądz, czy jest naszej wiary?

Ojciec Burke skinął wolno głową.

— Tak. Ma ze sobą metrykę chrztu.

— W takim razie w czym problem, moje dziecko?

— Chodzi o Cathala Dolana, proszę księdza.

— Tak? To znaczy o co konkretnie?

— Chciałabym, żeby ksiądz z nim porozmawiał. Przysiągł, że nie dostanie mnie żaden inny mężczyzna. Nie kocham Cathala. Boję się go.

— Ty? Z twoją odwagą? — Ojciec Burke uśmiechnął się.

— Nie o siebie, tylko o mojego Joela.

— A więc to już „twój Joel”, tak?

— Owszem, i to na zawsze. Porozmawia ksiądz z Cathalem? Zagroził, że spierze każdego, kogo poślubię.

— Porozmawiam. Chociaż nie zawsze się mnie słucha. A teraz powiedz mi o Joelu Cameronie.

— Udzieli nam ksiądz ślubu, prawda? — spytałam niespokojnym głosem.

— Bardziej ze względu na Joela niż na ciebie. Wydaje się rozsądniejszy.

— Jak to?

— Rozmawiałem z nim. Nie widzę żadnych przeszkód.

Ogarnęło mnie uczucie ulgi.

— Nie wiedziałam, że spotkał się z księdzem.

— Kocha cię. Omówił wszystko z twoim ojcem. A może na odwrót. W każdym bądź razie widziałem się z nim i wyraziłem zgodę. Porozmawiam z Cathalem. To uparciuch, ale postaram się zrobić, co tylko będę mógł.

— Niech Bóg księdza pobłogosławi.

— Niech Bóg pobłogosławi ciebie, Maeve. I twojego Joela. Ogłoszę zapowiedzi o waszym ślubie w najbliższą niedzielę. Wstąp do mnie przed wyjazdem.

— Dobrze, proszę księdza. Dziękuję.

— No, a teraz zmykaj. Nie widzisz, że muszę się zająć swoim ogródkiem?

Poszłam do kościoła i spędziłam tam dłuższą chwilę, bo miałam do zmówienia kilka dziękczynnych modlitw. Pomodliłam się nawet za to, by Cathal zapomniał o urazie, którą mógł żywić do Joela.

Bankier Finn, sympatyczny korpulentny jegomość, zaprowadził mnie do swojego gabinetu, usadził obok biurka, a sam zajął miejsce w głębokim skórzanym fotelu. Nie tracąc czasu poinformowałam go o przyczynie mojej wizyty.

— Nie wątpię, że słyszał pan o Joelu Cameronie — powiedziałam.

Finn skinął głową.

— Podbił twoje serce, Maeve.

— To prawda. I zamierzamy się pobrać.

— Wyglądasz raczej na zmartwioną niż uszczęśliwioną.

— Racja, i mam po temu ważny powód. Chodzi o Cathalą Dolaną. — Wyjaśniłam mu pokrótce wszystko, kończąc swój wywód słowami: — Potrzebna mi pańska pomoc. Jeśli Cathal zrobi Joelowi krzywdę, Cathalą aresztują i wsadzą do więzienia. Na pewno też zostanie skazany na zapłacenie wysokiej grzywny, co skończy się odebraniem mu gospodarstwa. O ile wiem, bank udzielił mu pożyczki pod zastaw ziemi i byłoby panu bardzo nie na rękę, gdyby Dolanowi przytrafiło się coś takiego.

— Wezwę do siebie Cathalę i powiem mu, że jeśli tknie palcem tego człowieka, nie ma co liczyć na prolongatę spłaty — oświadczył z mocą Finn. — Dziękuję ci, że mnie ostrzegłaś. Nie żeby bank nie poradził sobie w takiej sytuacji, ale nie chciałbym, by temu młodzieńcowi stało się cokolwiek złego. Mam nadzieję, że otworzy u nas rachunek.

— Również mam taką nadzieję — powiedziałam. — Dziękuję i życzę panu miłego dnia.

Wróciłam do domu, bo była już pora obiadowa i przyrządziłam gotowane ziemniaki z kawałkiem delikatnej szynki. Z rana jeszcze pozostało trochę świeżego chleba. Podczas posiłku zdałam ojcu relację z tego, czego dokonałam w ciągu dnia.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Ja też z nim porozmawiam.

— Ja również, i to jeszcze dziś. Pojadę do niego, kiedy będziesz przyjmował pacjentów. Musi wiedzieć, że ma się wobec Joela odpowiednio zachowywać.

Zatrzymałam bryczkę na skraju pola należącego do Cathalę, przytknęłam ręce do ust i zawołałam go. Przybiegł susami, spocony i brudny. Nie usiadł koło mnie, a ja nie wysiadłam z bryczki.

— A więc przyjechałaś, by mnie poinformować, że poślubisz innego — oświadczył gorzko.

— Słyszałaś już o tym?

— Owszem. Był u mnie ojciec Burke i bankier. W każdej chwili spodziewam się pozostałych mieszkańców wioski.

— Bardzo dobrze, Cathalu. Czyli że wiesz, o co cię chcę prosić. Mężczyzna,

którego zamierzam poślubić, jest wyjątkowy, choć pod względem tężyzny fizycznej nie może się z tobą równać. Niemniej wiem, że gdybyś go wyzwiał na pojedynek, zmierzyłby się z tobą. Zatem nie wolno ci tego zrobić. Byliśmy wiele lat przyjaciółmi. Mam nadzieję, że ty i mój mąż również zaprzyjaźnicie się, bo wrogością niewiele można zyskać.

— A ja twierdzę, że niewiele można zyskać na przyjaźni, Maeve. — Szeroka twarz Cathala pociemniała z gniewu. — Związałaś mi ręce, więc nie mogę go zaatakować, jak to sobie przysięgałem, ale jeśli są inne sposoby, znajdę je. Jeszcze o mnie usłyszysz, Maeve O'Hanlon. Ty i twój wyjątkowy mąż. Ani ty, ani on nie musicie się obawiać moich pięści, ale jak powiedziałem... znajdę inny sposób... tak, inny sposób...

Odwrócił się na pięcie i odszedł, a ja dałam upust swej złości na głupotę tego mężczyzny, niepotrzebnie mocno ściągając cugle Bogu ducha winnej szkapinie.

Rozdział trzeci

Minęło dziesięć długich dni, nim wreszcie Joel wrócił. Nie miałam od niego żadnych wiadomości i zaczynałam się niepokoić, choć ojciec starał się podtrzymać mnie na duchu twierdząc, że wszystkim mężczyznom pisanie listów przychodzi z trudem. Nie rozproszył tym moich obaw. Bez przerwy prześladowała mnie twarz nieznanego mężczyzny, wyłaniająca się w zwierciadle zza profilu Joela.

Więc kiedy usłyszałam turkot prędko jadącej bryczki, która po chwili zatrzymała się gwałtownie, wybiegłam z domu tak szybko, że mało się nie przewróciłam, stąpawszy na obluzowany kamień. Wydałam okrzyk pełen przerażenia, który po chwili zastąpił radosny śmiech, gdy Joel podskoczył i mnie przytrzymał. Pocałował mnie w czoło, w oba policzki, w podbródek, a potem jego usta dotknęły moich warg. Objęłam go mocno za szyję. Nawet jeśli nas podglądano, nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy ani się tym nie przejmowaliśmy. Widać było, że tęsknił nie mniej niż ja, bo kiedy zwolnił uścisk, przycisnął mnie do swej piersi, szepcząc raz za razem moje imię głosem pełnym tęsknoty i pożądania.

— Wejdźmy do środka. Mam coś dla ciebie — powiedział.

Objął mnie w pasie, po czym właściwie wbiegliśmy do domu i zamknęliśmy za sobą drzwi. Sięgnął ręką do kieszeni płaszcza i wyciągnął aksamitne pudełeczko z wieczkiem na zawiasach. Uniósł je, a ja aż jęknęłam z zachwytem na widok ślicznego brylantu oprawionego w złoto. Obok leżała szeroka obrączka ślubna.

Wyjął pierścionek zaręczynowy i poprosił, bym podała mu rękę. Pierścionek z łatwością dał się wsunąć na palec. Był w sam raz!

— Skąd wiedziałeś, jaki rozmiar będzie potrzebny? — spytałam głosem drżącym z podniecenia. Uniósł moją dłoń i przycisnął ją do policzka.

— Chętnie skłamałbym, że dzięki intuicji. Ojciec odrysował na papierze jeden z tych pierścionków, które ci podarował. Jubiler oparł się na tej wskazówce. Mam nadzieję, że ci się podoba.

Oswobodziłam się z jego uścisku i wyciągnęłam rękę przed siebie tak, by

promienie słoneczne, wpadające przez okno, musnęły powierzchnię brylantu, rzucając na ściany i sufit migotliwe refleksy.

— Jest prześliczny — wyszeptalam.

Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś równie pięknego. Z trzaskiem zamknął pudełeczko.

— Obrączkę zatrzymam do dnia, kiedy będę ci ją mógł wsunąć na palec. Co, mam nadzieję, nastąpi już wkrótce.

Lekko dotknęłam jego policzka pięknym brylantem.

— Nie myślałam, że wyjedziesz aż na tak długo.

— Przepraszam. Miałem jak zwykle kłopoty z rodziną. Wymieniliśmy ze sobą kilka długich depeesz.

— Czy niektóre z nich dotyczyły mnie?

— Owszem. Poinformowałem rodziców, że biorę z tobą ślub. Nie mieli w tej sprawie nic do gadania. A zresztą to nieważne. Nigdy się tu nie pojawiają, a ja nigdy nie zawiozę cię do nich, bo postanowiłem już tam nie wracać.

— Czy dlatego, że się mnie wstydzisz? — spytałam. — Czy też się ich boisz?

— Najdroższa, jak można się ciebie wstydzić! Prawda jest taka, że nie toleruję rodziców oraz ich sposobu postępowania. Później ci powiem, czemu. Jednego możesz być pewna: nie boję się ich. Ale podczas pobytu w Dublinie, z dala od ciebie, kiedy tak krążyły depeesze między mną a moją rodziną, znów poczułem się samotny. To była ta sama okropna samotność, która mi dokuczała, zanim cię poznałem. Ta sama samotność, która gnała mnie po świecie w poszukiwaniu czegoś, co znalazłem tutaj, w Kilcrea. Teraz, kiedy trzymam cię w ramionach, znów wszystko jest w porządku, a moja dawna samotność zniknęła.

— Cieszę się — powiedziałam. — Ja też czuję się dobrze, kiedy mogę unieść wzrok i spojrzeć w twoje oczy. Mnie również dokuczała samotność.

Otoczył mnie mocniej ramionami.

— Najdroższa Maeve, już nigdy nie będziemy musieli się obawiać samotności.

Pragnęłam być tego równie pewna jak on, ale przypomniła mi się twarz

drugiego mężczyzny, widziana w zwierciadle. Musiałam odpędzić te nieprzyjemne myśli, więc oswobodziłam się z jego uścisku i ujęłam go pod ramię.

— Po takiej długiej podróży musisz umierać z głodu. Zanieś swoje rzeczy do pani Halloran, wyprzęgnij konia i natychmiast tu wracaj. Ja przez ten czas przygotowuję coś do jedzenia.

— Postaram się uwinąć jak najszybciej — obiecał.

Zajął mu to wszystko godzinę. Najwięcej czasu musiał poświęcić pani Halloran, która zasypała go gradem pytań. Uzyskanymi odpowiedziami chciała się podzielić z pozostałymi mieszkańcami wsi, umacniając swoją pozycję osoby wyjątkowo dobrze poinformowanej. Ojciec udał się z wizytami do chorych, więc obiad zjedliśmy tylko we dwoje z Joelem. Wypytywałam go o podróż do Dublina. Okazało się, że Joel przywiózł mi również dwie śliczne jedwabne chusty i oprawiony w białą skórę modlitewnik — specjalnie na ceremonię ślubną.

— Jest śliczny — powiedziałam. — Musiał kosztować majątek.

Spojrzał na mnie przez stół.

— Maeve, nie przechwalałam się mówiąc, że niczego ci nie będzie w życiu brakowało.

— Joelu, ja nic nie potrzebuję. Wystarczy mi, że jestem z tobą.

Pocałował mnie żarliwie, aż zakręciło mi się w głowie, a całe ciało ogarnęła fala gorąca, wyczuwalnego nawet przez gruby materiał sukni. Ale póki nie weźmiemy ślubu... Wyrwałam się z jego objęć.

— Czy zastanawiałeś się nad tym, gdzie zamieszkamy? — spytałam, chcąc skierować naszą rozmowę na inne tory.

Moje pytanie wprawiło go w zdumienie.

— Cóż, jeśli chcesz, mogę ci wybudować domek, a nawet pałac. Ale zawsze wyobrażałam sobie, że zamieszkamy tutaj, razem z twoim ojcem. Jesteś mi potrzebna, a może ja też będę się mógł na coś przydać.

— Mogłabym wymienić tysiące przyczyn, dla których się w tobie zakochałam — oświadczyłam — ale to, co przed chwilą powiedziałeś, wystarczyłoby za

wszystkie. Niech Bóg cię błogosławi za twoją dobroć.

— Pozostaje jeszcze sprawa człowieka, który zagroził, że stłucze każdego, kto ośmieli się ciebie poślubić — zauważył Joel poważnym tonem. — Jeśli zamieszkamy z twoim ojcem, będzie mi mógł w razie czego udzielić pierwszej pomocy. — Roześmiał się, a ja razem z nim.

— Cathal jest wielki i silny, potrafi też być złośliwy — powiedziałam. — Ale obiecał mi, że nic ci nie zrobi.

Joel znów objął mnie w pasie.

— W takim razie kiedy ślub? — spytał.

— W sobotę za dwa tygodnie, jeśli ci to odpowiada.

— Nie odpowiada mi — oświadczył natychmiast.

— Ależ, Joelu... takie są przepisy...

— Wiem o tym, ale nie podoba mi się to.

— Joelu, musisz się do nich dostosować. Stanowczo się tego domagam.

— Jak sobie życzysz — odparł z uśmiechem.

— Czyli ustalone — powiedziałam. — Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. A muszę ci to wyznać pod nieobecność ojca, bo to o nim chcę mówić i o jego przyszłości. Najlepiej będzie, jak przejdziemy do salonu, byśmy widzieli, kiedy wróci i mogli w porę przerwać naszą rozmowę.

— Maeve, powiedziałaś to bardzo poważnym tonem.

— I mam po temu powód. Nasza rozmowa będzie dotyczyła bardzo poważnych spraw, między innymi wyjaśnię ci, jak doszło do tego, że tu przyjechałeś i postanowiłeś się ze mną ożenić.

Sprawiał wrażenie rozbawionego.

— Maeve, cóż to ma znaczyć? Chyba nie zastawiłaś na mnie pułapki?

— I owszem, choć o niczym nie wiedziałeś. Zresztą nawet gdybyś chciał, i tak nic nie mógłbyś na to poradzić.

— Czyżbyś była czarownicą i rzuciła na mnie jakiś urok?

— Nie, najdroższy. To nie czary, a pułapka pomyślana była dla nas obojga. A

wszystko stało się za sprawą pewnej kobiety, wielkiej królowej, która umarła dwa tysiące lat temu.

— Przyznaję, że mnie zaintrygowałaś — powiedział — ale jest mi obojętne, czemu doszło do naszego spotkania. Cieszę się, że stało się tak, jak się stało. Nawet jeśli sprawiła to królowa... powiedziałaś, że umarła dwa tysiące lat temu?

— Tak. Muszę coś przynieść z góry. Zaraz wracam.

Zamknęłam za sobą drzwi do sypialni i wysunęłam szufladę sekretarzyka, by wyjąć zwierciadło. Odwinęłam je i podeszłam z nim do okna, żeby mieć więcej światła. Przycisnęłam je do piersi i zwróciłam się do dobrej królowej Maeve, by pozwoliła mi jeszcze raz ujrzeć wizerunek mężczyzny, który stał się częścią mego życia.

Uniosłam zwierciadło na wysokość oczu, nachyliłam je nieco i dostrzegłam profil Joela, ale bardzo niewyraźny. Rozpoznałam jego rysy, choć nie były takie ostre jak przedtem.

Gdy się w nie wpatrywałam, ukazała się druga twarz, znacznie ciemniejsza i wyraźniejsza. Straciłam na chwilę oddech i w pierwszym odruchu chciałam rzucić zwierciadło. Ale obraz zniknął i ujrzałam jedynie niewyraźne odbicie swej udręczonej twarzy.

Joel nie stanowi już części przepowiedni, wytłumaczyłam sobie. Przybył tutaj, by mnie poślubić. Przepowiednia się spełniła. Co oznaczał wizerunek drugiego mężczyzny, nie wiedziałam i było mi to obojętne. Zrobiłam kilka głębokich wdechów, ponownie owinęłam zwierciadło i zesłałam z nim na dół.

— Usiądź obok mnie — poprosiłam Joela wskazując kanapę. Kiedy usadowiliśmy się, rozpoczęłam opowieść o królowej Maeve i wielkich władcach. Zwierciadło trzymałam na kolanach.

— Najdroższy, dwa tysiące lat temu Irlandia przeżywała okres swej największej świetności. W hrabstwie Meath, w pobliżu Navan, znajdowało się wzgórze Tara, które od szóstego wieku było siedzibą irlandzkich władców. To tam koronowano ich na *Lia Fail*, kamieniu koronacyjnym. Wokół znajdowało się sześć *raths* — wzgórz-fortec

otoczonych szańcami, służącymi za schronienie w razie niebezpieczeństwa. W owych czasach żyli dzielni rycerze. Nie wiedzieli, co to strach, a najmężniejszy z nich zostawał królem.

— A ty jesteś potomkinią królowej, która była żoną jednego z owych władców?
— spytał Joel.

— Nie, nie, nie uzurpujemy sobie tego, choć prawie każdy Irlandczyk przechwala się, że jest potomkiem dawnych królów. Ale wracając do mojej opowieści muszę ci powiedzieć, że najważniejszą ze wszystkich królowych była Maeve z Connacht, która rządziła razem ze swym małżonkiem Ailillem. Władziała mądrze i była wyjątkową kobietą, a jej dobroć odziedziczyły jej potomkinie.

— To na jej cześć otrzymałaś na imię Maeve?

— Tak, a w moich żyłach płynie jej krew. Przynajmniej tak mi powiedziano i wierzę, że to prawda.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości — oświadczył lojalnie Joel.

— Czuję, że znalazłam w tobie bratnią duszę — powiedziała z uśmiechem. — Pewnego razu Ailill stoczył walkę na śmierć i życie z rycerzem imieniem Cuchullain. Trwała kilka dni. Nieszczęsny Ailill został pokonany. Umarł z bronią w ręku, a woda w rzece, nad którą toczyli pojedynek, zabarwiła się od ich krwi na czerwono. Cuchullain zajął miejsce Aililla i to jemu królowa Maeve dała naszyjnik.

— Naszyjnik? — spytał Joel.

— To sztywne, metalowe obręcz, noszona jako oznaka godności wojownika. Ojciec przechowuje ten naszyjnik na dowód, że pochodzimy w prostej linii od owego prastarego rodu. Od wieków przekazywany jest z pokolenia na pokolenie.

— Naprawdę? Musi mieć wyjątkową wartość.

— Ojciec twierdzi, że jest bezcenny. Joelu, mówię ci to w największym zaufaniu, zresztą wkrótce i tak staniesz się członkiem naszej rodziny. Musisz wiedzieć wszystko o naszyjniku — i innych sprawach. Na przykład, że przechowując naszyjnik postępujemy niezgodnie z prawem, bo wszystkie przedmioty tego typu przeszły na wyłączną własność państwa i straciliśmy do niego wszelkie prawa. Jednak ojciec nie

odda go nikomu, a ja również nie. Jeśli chodzi o jego wartość, trudno byłoby ją wyrazić w funtach czy w waszych dolarach. A więc poznałeś jeden z sekretów naszej rodziny. Oprócz naszej trójki o istnieniu naszyjnika nie wie nikt. Ojciec mówi, że zapewnia on naszej rodzinie pomyślność i zdrowie. Trudno mi w to uwierzyć, chociaż być może powinnam, bo odziedziczyliśmy po królowej Maeve jeszcze coś. Choć jest jeszcze bardziej tajemnicze od naszyjnika, wierzę w jego czarodziejską moc.

— Czy chodzi o przedmiot owinięty w ten materiał? — spytał Joel i popatrzył na leżące na moich kolanach zwierciadło.

— Tak. Pokażę ci, co to jest.

Jak zwykle z największą ostrożnością odwinęłam je z materiału. Na widok metalowego zwierciadła, nieco wklęsłego i matowego po bokach, Joel spojrzął na mnie pytająco.

— A cóż to takiego? — spytał.

— Jak ci wiadomo, na długo przed wynalezieniem szkła do uzyskania odbicia twarzy kobiecej używano wypolerowanego kawałka metalu. To jest lustro, Joelu. Pierwotnie należało do królowej Maeve. Z pokolenia na pokolenie przekazywane jest najstarszej córce w rodzinie i stanowi jej własność, póki nie otrzyma go przedstawicielka następnej generacji.

Sięgnął po nie, ale szybko odsunęłam je na bezpieczną odległość.

— Przepraszam, Joelu, ale jest zbyt cenne, by mógł je dotykać ktokolwiek poza mną.

— Przecież nawet nie można się w nim przejrzeć. Jest zupełnie matowe. Niczego już nie odbija.

— Mylisz się. Środkowy fragment zachował swój pierwotny blask. Kiedy je uniosę i zwrócę do dobrej królowej z prośbą o ukazanie mi tego, co chciałabym wiedzieć, widzę w zwierciadle różne obrazy.

— Och, Maeve, naprawdę w to wierzysz? — zapytał Joel wyraźnie zaniepokojony.

— Wierzę. Jakiś czas temu zwierciadło ukazało mi twoją twarz. Kiedy cię

ujrzałam u pani Halloran, natychmiast cię rozpoznałam. Opisałam twój wygląd ojcu i on również cię rozpoznał.

— Czy on też widzi te obrazy?

— Nie, są niewidoczne dla mężczyzn. Dar ich oglądania posiadają tylko kobiety.

— I ujrzałaś mnie... w tym...? — Spojrzał na metalowy przedmiot i potrząsnął głową.

— Nie wierzysz mi i nawet nie mogę mieć o to do ciebie pretensji, ale gdybym kłamała, jak mogłabym tak dobrze opisać cię ojcu na długo przedtem, zanim cię spotkałam?

— Nie potrafię tego wyjaśnić — przyznał.

— Joelu Cameronie, jeśli uważasz, że to jedynie jakaś dziecinna fantazja, pozwól, że zwrócę ci uwagę na coś innego.

— Może gdybym był Irlandczykiem, łatwiej by mi przyszło w to uwierzyć — przyznał Joel.

— Niewykluczone. Mój sceptyku, rozważ, proszę, następujące fakty. Przyjechałeś do Irlandii bez żadnego powodu, kierowany jedynie chęcią ucieczki. Czemu nie udałeś się do Hiszpanii, do Włoch, do Francji albo chociażby do Anglii? Czemu wybrałeś Irlandię?

— Bo... bo wybrałem i już.

— I przybyłeś do mojej wioski przez czysty przypadek? Czy też „przybyłeś i już”?

— Jakoś tu dotarłem. Czy koniecznie musi istnieć jakiś powód?

— Sam mówiłeś, że rzuciłeś monetę, zdając się na ślepy traf. Los sprowadził cię tutaj. Czy wykluczasz istnienie jakiejś nieznannej siły, która spowodowała, że moneta upadła właśnie tak, byś przyjechał tutaj? Gdzie czekałam na ciebie ja?

Otoczył mnie ramieniem.

— Najdroższa Maeve, obojętne mi, jak tu trafiłem. Jeśli sprawiła to twoja królowa Maeve, niech jej będą dzięki. Jestem tu, kocham cię. Właściwie jeśli się nad

tym głębiej zastanowić, oboje zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia, prawda?

— No, widzę, że zaczynasz rozumować jak ktoś gotów uwierzyć w moc zwierciadła — zauważyłam.

Wolno skinął głową.

— Być może. Czasem zdarzają się dziwne rzeczy. Trudno do wszystkiego podchodzić racjonalnie.

— Szczególnie w Irlandii — powiedziałam.

— Właśnie, szczególnie w Irlandii.

— Joelu, zwierciadło ukazało mi jeszcze coś, co napawa mnie głębokim niepokojem.

— Czy to również dotyczy przyszłości? Jakaś przepowiednia?

— Tak. — Postanowiłam nie wspominać nic o jego blednym wizerunku i coraz wyraźniejszym obrazie nieznanego, bo sama nie rozumiałam, co to oznacza.

— Zapowiedź jakiegoś nieszczęścia?

— Z ciekawości poprosiłam zwierciadło o ukazanie mi losów ojca. Ale jedynie, co ujrzałam, to wzburzone morze. Wielki sztorm.

— Myślisz, że ojca czeka śmierć w morskich falach?

— Tak.

— Czy często wypływał w morze?

— Nigdy tego nie robi. Nienawidzi wody. Ale te przepowiednie zawsze się sprawdzają, mój najdroższy. Zwierciadło nie kłamie. Oczywiście nie powiedziałam o tym ojcu i nigdy nie zamierzam tego zrobić. Uważam, że człowiek nie powinien wiedzieć, jaką zginie śmiercią.

— A czy próbowałaś dowiedzieć się czegoś o mojej przyszłości? — spytał Joel.

— Tak, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Może najpierw musimy wziąć ślub. Nie wiem. Może powinnam schować zwierciadło gdzieś w bezpiecznym miejscu i nigdy już na niego nie patrzeć. Boję się go.

— Przywiodło mnie do ciebie — powiedział.

— Wiem, dlatego nigdy nie mogłabym go zniszczyć, nawet gdybym chciała. Zresztą wcale nie chcę. Teraz wiesz, co to była za pułapka. Nie mogłeś jej uniknąć. Los chciał, byśmy się spotkali i pokochali.

— Nie mam nic przeciwko temu. Nie mam do niego pretensji. Jestem gotów umieścić zwierciadło na ołtarzu i codziennie bić mu pokłony za to, co dla mnie uczyniło.

— Dziękuję, najdroższy Joelu. — Wstałam, trzymając zawinięte zwierciadło. — W nagrodę możesz obrać ziemniaki. Schowam zwierciadło i zaraz przyjdę do kuchni. Czas brać się za kolację.

— Jeszcze nie jesteśmy małżeństwem — sprzeciwił się z udawaną wyższością i niezadowoleniem.

— Nie szkodzi, przyda ci się nieco treningu. Ziemniaki obiera się ostrą krawędzią noża.

Wrócił ojciec i przyjął dwóch pacjentów czekających na niego przed gabinetem. Potem wspólnie zjedliśmy kolację, która — trzeba przyznać — była wyjątkowo smaczna. Stara Babcia, zanim się zupełnie zestarzała, nauczyła mnie, jak przyrządzać pieczeń jagnięcą z miętą. Mięso miało wspaniałą, kruchą skórkę; do niego podałam ziemniaki i pory. Na deser było pyszne ciasto ponczowe.

— Powiedziałam Joelowi o zwierciadle i naszyjniku — poinformowałam ojca, kiedy zasiedliśmy do kolacji. — I o tym, że ujrzałam w zwierciadle jego twarz. Nie wydaje mi się, by mi uwierzył, ale z czasem zmieni zdanie.

— Opisała cię dokładnie — oświadczył ojciec Joelowi. — To musiało być jakieś sześć, siedem tygodni temu. Rozumiem, że trudno ci w to uwierzyć. Sam miałem kiedyś podobne wątpliwości. Kiedy poślubiłem matkę Maeve, również musiała mnie długo przekonywać. Początkowo nie przywiązywałem do niego zbyt wielkiej wagi, traktowałem jako pamiątkę z przeszłości, z którą związana jest dziwna legenda. Ale zanim jeszcze Maeve została poczęta, zwierciadło ukazało mojej żonie, jak będzie wyglądało dziecko, a nawet jakie imię otrzyma na chrzcie. Przepowiedziało również śmierć mojej żony. Żałuję tylko, że ukazuje przyszłość jedynie kobietom, a nigdy

mężczyznom. Może jest po temu jakiś powód. Jeśli tak, nigdy nie będę mógł go zrozumieć.

— Kilka razy przewidziało również rozmaite wypadki. Ich ofiary były później pacjentami ojca — powiedziałam. — Dwa razy przepowiedziało powrót do zdrowia osobom, których śmierci byliśmy stuprocentowo pewni.

— A czy naszyjnik też odznacza się jakimiś tajemniczymi właściwościami? — spytał Joel.

— Nie, nie — odparł ojciec. — Służy nam jako memento, byśmy nie zapomnieli, z jakiego rodu się wywodzimy.

— Czuję, że powinienem wam teraz powiedzieć coś o swojej rodzinie — stwierdził Joel z westchnieniem. — Myślę, że wygodniej nam będzie w pokoju. Moja opowieść trochę potrwa.

— Maeve, przynieś jeszcze kawy na tacy. Ja pójdę po fajkę. Joelu, mam nieużywane fajki i kilka rodzajów cygar...

— Dziękuję. Wolę nie palić. Oczywiście nie mam nic przeciwko paleniu. Kiedy byłem młodszy, nie pozwolono mi zapalić po raz pierwszy, a wydaje mi się, że zacząć palić teraz byłoby dość nierozsądnie.

— Nie jest to dobre przyzwyczajenie — stwierdził ojciec, z czym się gorąco zgadzałam.

W końcu usadowiliśmy się wygodnie w pokoju. Na stoliku przed nami stały filiżanki z kawą, a także karafka doskonałej brandy i kieliszki, które wypolerowałam tak, że aż lśniły. Joel rozpoczął swoją opowieść.

— Po pierwsze pozwólcie mi powiedzieć o moim ojcu Gabrielu. To człowiek o surowych zasadach, który bardzo lubi bogactwo i choć nie jest sknerą, nie należy do osób trwoniących pieniądze. Moja matka ma na imię Evelyn. Od czasu do czasu nakłada brylantową kolbę i diadem, a codziennie ozdabia palce pierścionkami, ręce bransoletkami, a pierś naszyjnikami i wisiorami. Ojciec spełnia wszystkie jej zachcianki. Często wydaje wystawne przyjęcia, oboje przyjmowani są w najwyższych sferach towarzyskich, gdzie stykają się z ludźmi, robiącymi interesy z ojcem. To

główna przyczyna, dla której ojciec bierze w nich udział. Mój starszy brat Abner spędza czas na łowieniu ryb i polowaniach, a poza tym nie robi nic.

Słuchałam w milczeniu. Joel przerwał, by napić się brandy i kawy. Ojciec odchylił się na oparcie, pykając fajkę. Joel powrócił do przerwane opowiadania. Wyczuwaliśmy, że całą siłą woli zmusza się do kontynuowania swej opowieści.

— Mam starszą siostrę. Na imię ma Helen, od czasu do czasu nosi biżuterię matki i obraca się w tym samym towarzystwie co ona. Poślubiła Ashleya Easterly'ego, członka kierownictwa fabryki należącej do ojca. Razem z nami mieszka też siostra matki, Marcy Tabor. W jej własnym mniemaniu jest podporą kościoła i gardzi mną, ponieważ nie akceptuję ich stylu bycia.

— Czy mogę spytać co rozumiesz pod pojęciem „ich styl bycia”? — spytałam.

— Nie chcę poświęcić życia na zdobywanie większej ilości pieniędzy, niż potrafiłbym wydać. Szczególnie gdy odbywa się to kosztem ludzi zmuszanych dzień w dzień do wielogodzinnej pracy. Niewolnictwo zniesiono trzydzieści lat temu, ale moja rodzina nie przyjmuje tego faktu do wiadomości. Wyjaśnię to bliżej. Są właścicielami olbrzymiej fabryki włókienniczej, produkującej wyroby bawełniane. Trzeba przyznać, że to bardzo dobre wyroby. Zatrudniają w niej ponad trzystu mężczyzn, wiele kobiet, a do lżejszych prac także pewną liczbę dzieci. Wszystkim im płacą możliwie jak najmniej, wymagając maksymalnie dużo.

— W takim razie czemu ci ludzie zgadzają się u nich pracować? — spytał ojciec.

— Bo nie mają dokąd pójść. Praca jest wysoce wyspecjalizowana i nie potrafią robić nic innego. W zakładach pracuje już ich drugie pokolenie. Poza fabryką do ojca należą też prawie wszystkie domy w okolicy. Wynajmuje je zatrudnionym u siebie ludziom. Jest właścicielem sklepów, barów, stajni. Należy do niego wszystko. Robotnicy są wiecznie u niego zadłużeni i całe życie pracują po to, by spłacić swe długi. Zresztą fabryka ojca nie stanowi pod tym względem wyjątku. Podobnie dzieje się w całych Stanach. Nie ma to bynajmniej wpływu na mój stosunek do panującej sytuacji. Kiedy kazali mi pracować w biurze i nadzorować ludzi, odmówiłem. Ojciec

nie posiadał się z gniewu. Groził mi różnymi okropnymi konsekwencjami, ale okazałem się niewrażliwy na wszelkie próby zastraszenia. Mój dziadek zostawił testament, zgodnie z którym jedną trzecią fabryki i całego majątku odziedziczył ojciec, jedną trzecią moja siostra i jedną trzecią — ja. Ten zapis nigdy nie może ulec zmianie. Więc co miesiąc otrzymuję pokaźną sumkę pieniędzy. Podczas mojego pobytu w Irlandii pieniądze są przekazywane do Dublina. Kiedy podróżuję, zawsze przesyłane są do jakiegoś dużego miasta, w pobliżu którego akurat się znajduję.

— Twój starszy brat nie otrzymał swojej części? — spytał bez ogródek ojciec.

— Dziadek niezbyt lubił mego brata. Jeszcze zanim Abner skończył szesnaście lat, dziadek stwierdził, że mój brat jest beznadziejnie leniwy.

— Czyli to twój ojciec kieruje fabryką? — spytałam.

— Formalnie tak — powiedział Joel. — Ale osobą, która załatwia większość spraw, jest jego brat. Mój stryj, Loran Cameron. Dziadek nie był święty, nie wzdragał się przed wykorzystywaniem wieśniaków czy robotników, ale nawet on nie mógł się pogodzić ze sposobem, w jaki załatwiał sprawy jego najstarszy syn. Nie zapisał Loranowi ani centa i w swoim testamencie podał powody jego wydziedziczenia.

— To musiało być dla niego straszne — powiedziałam.

— Normalny człowiek byłby wstrząśnięty i upokorzony, ale Loran tylko się roześmiał. Uważał to za bardzo zabawne. Wiedział, że mój ojciec nie poradzi sobie z prowadzeniem interesów bez niego i jego metod, więc czuł się absolutnie bezpiecznie. Ojciec też o tym wiedział.

— Nie bardzo rozumiem — powiedział ojciec marszcząc brwi.

— Bo niełatwo to zrozumieć, proszę pana. Mój ojciec jest, jaki jest, ale zachował jeszcze resztkę przyzwoitości. Wprawdzie niewiele, trudno ją dostrzec pod warstwą chciwości i skąpstwa, ale jednak trochę jej ma. Na przykład nigdy nie poleciłby zwolnić jakiegoś robotnika lub wstrzymać mu wypłatę wynagrodzenia z uwagi na zadłużenie w firmie, a następnie kazał go wyrzucić z mieszkania zakładowego wiedząc, że ten człowiek nie ma dokąd pójść. Natomiast stryj Loran nie tylko wydaje takie decyzje, ale wręcz sprawiają mu one radość i często osobiście

uczestniczy w eksmisji. Czasem sobie myślę, że karmi się łzami kobiet i przekleństwami mężczyzn.

— W takim razie nie wracaj do nich — powiedziałam impulsywnie.

— Odmówiłem powrotu. Właśnie dlatego tak długo zabawiłem w Dublinie. Porozumiałem się ze swoją rodziną telegraficznie. Poinformowałem o naszym ślubie, któremu się kategorycznie sprzeciwili. Mówiąc szczerze, polecili mi natychmiast wrócić do domu, ale odmówiłem. Zaczęli mi grozić, więc ich wyśmiałem, jeśli można to zrobić korzystając z telegrafu. W tej sytuacji wyparli się mnie czy też raczej ja wyparłem się ich. Tak czy inaczej nie ma to wpływu na moją pozycję jako dziedzica. Wciąż zachowuję prawo do jednej trzeciej wszystkich zysków i jeśli zechcę, mogę skorzystać z jednej trzeciej przysługujących mi głosów we wszystkich sprawach dotyczących firmy.

Podeszłam do Joela, pochyliłam się nad nim i przytuliłam do niego.

— Najdroższy Joelu, nie chciałabym, by ktokolwiek mi zarzucał, że stanęłam między tobą a twoją rodziną, ale w tej sytuacji nie żałuję, iż tak się stało. Oczywiście, jeśli i ty podobnie uważasz.

— Żal? — Wybuchnął potężnym śmiechem. — Przez ostatnie dwa, trzy lata próbowałem znaleźć powód, by z nimi zerwać na dobre. Teraz nareszcie mam pretekst.

— Tak czy inaczej uważam, że to przykre — wtrącił ojciec. — Myślę, że u nas istnieją silniejsze więzy rodzinne. Cóż, stało się i powinienesz dobrze na tym wyjść. Nie mogą ci szkodzić?

— Nie. Testament dziadka jest precyzyjny i nie do podważenia. Próbowali już wcześniej, ale ich prawnicy oświadczyli, że rzecz jest nie do załatwienia. Proponuję, byśmy więcej o tym nie mówili. Chcę o nich zapomnieć, a przynajmniej jak najmniej myśleć, by z każdym mijającym dniem wszystko to stawało się dla mnie coraz mniej ważne.

— Zgadza się — powiedziałam.

— Ja również — dodał ojciec.

— Jeszcze jedno, zanim porzucimy ten temat. Mam w Nowym Jorku prawnika, który mnie reprezentuje. Zajmuje się moimi sprawami. Nazywa się Paul Arnold. Jest dobrze znanym i bardzo zdolnym adwokatem.

— Moja suknia ślubna już się szyje — powiedziałam udając, że nie usłyszałam jego ostatnich słów.

Wyraz twarzy Joela uległ zmianie. Mój narzeczony wybuchnął nagłym śmiechem, podszedł do mnie i objął mnie.

— To się nazywa zmienić temat — powiedział rozbawiony. — Będiesz najpiękniejszą panną młodą w historii Irlandii.

— Jedną z najpiękniejszych — zauważył ojciec. — Nie pretendujemy do pierwszego miejsca. Będzie równie piękna jak jej matka. Ale tracąc ją nie uronię ani jednej łzy. Potrafi być nieznośna i przysporzy ci wiele trosk, tak jak przysporzyła ich mnie.

— Bardzo ładnie — odrzekłam. — Cała przyjemność po mojej stronie, bo będą się o mnie troszczyli dwaj mężczyźni. Ojczy, wiesz bardzo dobrze, że w naszym życiu niewiele się zmieni. Mówiąc szczerze, zyskasz pomocnika, który będzie cię zawoził na wizyty do chorych i może nawet trzymał lampę, kiedy będziesz udzielał pomocy jakiejś rodzącej kobiecie lub oglądał czyjeś zaczerwienione gardło.

— Zastanawiałem się — powiedział Joel — czy po przepracowaniu u pana roku czy dwóch lat nie powinienem podjąć studiów medycznych. Mam przecież dopiero dwadzieścia trzy lata.

— Wspaniale! — wykrzyknął ojciec. — Przejmiesz moją praktykę i wioska nie będzie pozbawiona w przyszłości pomocy lekarskiej. Uważam, że to świetny pomysł.

— Nie podzielam twego zdania — oświadczyłam. — Studia oznaczałyby naszą rozłąkę, Joelu. Albo, gdybym wyjechała z tobą, oderwałyby mnie od ojca, a oboje bardzo dobrze wiemy, że prawdopodobnie nie poradziłby sobie beze mnie. W ciągu tygodnia zagłodziłby się na śmierć, biedaczysko.

— To wszystko jedynie niezobowiązujące plany na przyszłość — powiedział Joel. — Dość czasu zmarnowałem podróżując, szukając swego przeznaczenia.

Znalazłem je tutaj. Chcę służyć ludziom, robić coś pożytecznego.

— Na razie — powiedziałam — myśl jedynie o najbliższych dwóch tygodniach i naszym ślubie. Będzie to wielka uroczystość. Już ojciec się o to postara.

— Chciałbym pokryć wszelkie wydatki — oświadczył Joel.

— Wykluczone — odparł ojciec. — Zgodnie z tradycją ponosi je ojciec panny młodej. Spodziewałem się jednak takiej propozycji i trochę o niej myślałem. Niezbyt dużo, bo nie wiedziałem, jaka jest twoja sytuacja finansowa. Teraz, kiedy już ją znamy, mam pewną propozycję. Oczywiście nie musisz się na nią zgodzić — decyzja należy wyłącznie do ciebie. Chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że jesteś tu obcy, a mieszkańcy wioski tworzą dobrze zżytą społeczność. Od tej pory zamieszkasz wśród nas i nie powinieneś być traktowany jak intruz. Tak się akurat składa, że nasz kościół wymaga remontu i nowego wystroju. Chętnych do pomocy nie brakuje — każdy mieszkaniec wioski gotów jest poświęcić na ten cel swój czas i siły — ale farby i inne materiały są bardzo drogie. Jeśli uważasz za właściwe...

— Z największą przyjemnością zapłacę za wszystko, co tylko będzie potrzebne do remontu kościoła — powiedział Joel. — Jutro porozmawiam z księdzem i poczynię odpowiednie przygotowania. Prace muszą być jednak ukończone w ciągu dwóch tygodni, by mojej narzeczonej udzielono ślubu w oprawie, która będzie jej godna.

Rozmawialiśmy do późna w nocy, zwierając się sobie nawzajem, poznając swoje upodobania i awersje, sprzecząc się nieco o drobnostki. Ojciec nie miał tego wieczoru więcej pacjentów i wcześniej położył się do łóżka. Było dość późno, gdy Joel udał się do swej kwatery u pani Halloran, a ja poszłam do swojego pokoju.

Zanim zgasiałam lampę, stanęłam przed sekretarzykiem i poczułam pokusę, by odwinąć zwierciadło i jeszcze raz w nie spojrzeć. By się przekonać, że się mylę, by sprawdzić, czy coś się nie zmieniło i czy przypadkiem obraz Joela znów będzie wyraźny i ostry, jak profil tego drugiego mężczyzny. Jednak powstrzymał mnie jakiś dziwny lęk. Po raz drugi od czasu, gdy ujrzałam przepowiednię, dotyczącą przyszłości ojca, bałam się spojrzeć w zwierciadło.

Ranek rozwiął wszelkie moje obawy. Razem z Joelem poszłam do kościoła, by zobaczyć, co należy w nim zrobić. Patrząc na budynek świątyni oczami obcego, byłam przerażona jego stanem. Joel nie zważał na ewentualne koszty. Obejrzeliśmy kościół z ojcem Burke'em, słuchając jego rad, a po otrzymaniu jego aprobaty udaliśmy się do pobliskiego miasta i zamówiliśmy farby, drewno i nową linę do zawieszenia dzwonu. Przez czysty przypadek dowiedzieliśmy się o innym zrujnowanym kościele, znajdującym się zaledwie dzień drogi od miasta. Nazajutrz Joel pojechał tam sam, bo wyprawa ta oznaczała konieczność spędzenia nocy poza domem. Po powrocie odmówił wszelkich informacji o tym, co robił. Wiedziałam, że przystąpiono do prac remontowych, a pierwsze efekty ujrzałam podczas niedzielnej mszy. Jednak Joel nadal odmawiał podzielenia się ze mną choćby częścią swych planów.

Dni upływały nam na długich rozmowach, snuciu planów na przyszłość, dopuszczaniu do głosu naszych nadziei i ambicji. Czasem udawaliśmy się nad morze i odnosiłam wrażenie, że Joel stara się zabierać mnie tam jak najczęściej, bym pozbyła się lęku, który czułam od chwili, gdy ujrzałam w zwierciadle ów niepokojący obraz wzburzonego morza.

Było za zimno, by pływać, nawet łódką, ale brodziliśmy po płytkiej wodzie, uciekając z krzykiem przed biegnącą falą, udając, że boimy się zmoczyć ubrania. Poza tym lubiliśmy spacerować, ciesząc się ciepłem popołudniowego słońca, leżeć na piasku lub trawiastym zboczu. Dwa razy wzięłam na te wyprawy prowiant w koszyku i z kobiałką pełną łakoci dwa razy odwiedziliśmy Babcię Keohane, bo chciałam, by poznała Joela.

Czuli się w swoim towarzystwie doskonale. Joel był z natury człowiekiem serdecznym i kochającym, posiadał wiele uroku, którym oczarował staruszkę. Natychmiast poczuła się przy nim swobodnie. Później dowiedziałam się, że Joel kilkakrotnie złożył jej wizytę beze mnie. Opowiadał jej o życiu w Ameryce, przynosił drobne upominki i z uwagą wysłuchiwał jej mądrych rad.

Pewnego popołudnia, kiedy Joel zajęty był przy remoncie kościoła, a ja

sprzątałam swój pokój, poczułam nagle, że muszę się natychmiast zobaczyć z Babcią. Przebrałam się, włożyłam do kobiałki nieco wiktuałów i spiesznym krokiem udałam się do jej chaty.

— Usiądź obok mnie, Maeve — powiedziała. — Czemu kazałaś mi na siebie tak długo czekać?

— Nie rozumiem, Babciu, twoich pretensji. Jeśli wysłałaś do mnie jakiegoś posłańca, nie pojawił się.

— A odkąd to potrzebuję posłańców? — spytała.

— Ach, więc to tak! W jakiś sposób dałaś mi do zrozumienia, że chcesz się ze mną zobaczyć.

— Potrafię komunikować się na odległość z tymi, którzy mnie kochają, na przykład z tobą. Chciałam porozmawiać o tym młodzieńcu.

— Wiem, że go lubisz, Babciu.

— To prawda. I to bardzo. Wisi nad nim chmura. Jeszcze nie czarna, ale wystarczająco ciemna, by domyślać się groźących mu kłopotów. Kłopotów i niebezpieczeństw. Niektórzy nienawidzą go za to, że się przeciwko nim zbuntował.

— Posiadasz jakiś dodatkowy zmysł — powiedziałam, myśląc o tym, co nam Joel opowiedział o swojej rodzinie.

— Nie weźmie sobie do serca ostrzeżenia takiej staruchy jak ja. Ale ciebie posłucha, bo szczerze cię kocha. Powiedz mu, by miał się na baczności. Że nie może nikomu ufać, szczególnie swym najbliższym krewnym. Nadciąga jakieś niebezpieczeństwo. Ostrzeż go, Maeve. Sama też uważaj. Ze względu na niego i jego miłość do ciebie.

Wstrząsnął mną zimny dreszcz niepokoju.

— Dobrze, Babciu. Czy znasz ostateczny wynik tego starcia?

— Nie, nawet jego drobnej części. Ale coś mi mówi, że jeśli uniknie niebezpieczeństwa, które mu zagraża w najbliższej przyszłości, już zawsze może być spokojny. Takie mam przeczucie.

— Babciu, czy chodzi o Cathala Dolana?

— Nie wiem. Wiem jedynie, że niebezpieczeństwo jest blisko.

— Dziękuję, Babciu. Pójdę teraz i odszukam Joela. Chcę z nim możliwie jak najwięcej przebywać. Po ślubie nie będę go odstępowała ani na krok, póki się od ciebie nie dowiem, że niebezpieczeństwo minęło.

— Poproś swego czcigodnego ojca, by przyjechał po mnie i zabrał mnie na twój ślub. Ostatnio rzadko opuszczam swoją chatę, ale nie ominę takiej okazji.

Pocałowałam ją w pomarszczony policzek.

— Będiesz siedziała w pierwszym rzędzie, jako najbardziej honorowy gość po moim mężu i ojcu.

Opuściłam ją i udałam się prosto do kościoła, gdzie kilka osób pracowało przy naprawie dachu i wieży. Jeszcze zanim doszłam na miejsce, Joel wyszedł, by mnie powitać. Obrócił mnie przy tym tyłem do budynku kościoła.

— Zobaczysz rezultat w dniu ślubu — powiedział. — To jeden ze sposobów, byś się nie rozmyśliła. Cóż za piękne popołudnie! Chodźmy nad morze.

Jego beztroski nastrój udzielił mi się do tego stopnia, że zapomniałam o ostrzeżeniu Babci i swoim postanowieniu, by do dnia ślubu trzymać Joela w zamknięciu. Był śliczny dzień, nad morzem nie mogło mu się stać nic złego, a mnie potrzebne było coś, co podniosłoby mnie po rozmowie z Babcią na duchu. Trzymając się za ręce ruszyliśmy zwawym krokiem w stronę ścieżki, która zaprowadziła nas na wzgórze, a potem zeszliśmy w dół zbocza na piaszczystą plażę. W pobliżu nie było nikogo. Bezpieczniejszego czy spokojniejszego miejsca nie mogłabym sobie wymarzyć. Tutaj nikt nie mógłby się do nas niepostrzeżenie zbliżyć.

— Kiedy cię ujrzałem, sprawiałaś wrażenie podenerwowanej — powiedział. — Czy coś cię trapi, Maeve?

— Tylko to, że nie pozwalasz mi zajrzeć do kościoła. Skąd wiesz, że pochwałę to, co zostanie zrobione? I zatrudniłeś przy pracach remontowych prawie wszystkich mieszkańców wioski.

— Przypomniało mi się coś. Po ślubie urządzimy największe i najwspanialsze przyjęcie, jakie tu kiedykolwiek wyprawiono. Chcę, żeby podano rozmaite pieczone,

warzywa, owoce, puddingi, wszystko co najlepsze. Jeśli będziesz miała kłopoty ze zdobyciem jakichś produktów, zostaw to mnie, podobnie jak zadbanie o napoje. Niewykluczone, że następnego ranka mieszkańcy wioski nie będą nas wspominali miło ani dobrze, ale zapamiętają sobie nas na zawsze. A przynajmniej póki im nie przejdzie kac.

Zdjęłam buty oraz pończochy i niosłam je w rękę, idąc po piasku na bosaka. Odważyłam się wejść do wody, ale tylko raz. Była tak lodowata, że aż się wzdrygnęłam. Szybko z niej wybiegłam na wysuszony promieniami słońca piasek i ujęłam Joela pod ramię. Szliśmy w milczeniu, pogrążeni każde we własnych myślach.

Jednocześnie i bez żadnego ostrzeżenia wydarzyły się dwie rzeczy. Usłyszeliśmy odgłos wystrzału i ujrzeliśmy pół metra przed nami fontannę piasku. Joel złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą. Zaczęliśmy biec zygzakami przez plażę w stronę zarośli na wzgórzu. Kiedy tam dotarliśmy, czołgaliśmy się kilka metrów, nim wreszcie zatrzymaliśmy się, z trudem łapiąc powietrze.

— Ktoś do nas strzelał — wysapał w końcu Joel. — Nie zamierzał spudłować i mało brakowało, a strzał byłby celny.

Wtuliłam się w jego ramiona, drżąc na całym ciele, tym razem nie z zimna, lecz ze strachu.

— Ten, kto strzelał, musiał stać dość wysoko na wzgórzu i ukrywać się w krzakach — powiedział Joel. — Strzelał z karabinu, bo rewolwer nie ma takiego dużego zasięgu. Czy ten Cathal ma broń?

— Wszyscy mężczyźni w wiosce mają karabiny — wyszeptałam. — Niewiele o tym wiem, ale dużo polują. Niektórzy cały czas. Joelu, czy to możliwe, by ten ktoś celował w jakieś zwierzę i tylko przypadkowo kula znalazła się tak blisko nas?

— Łudzisz się taką nadzieją i nie mam o to do ciebie pretensji. Ale rozejrzyj się tylko, Maeve. Całe zbocze jest gołe, z wyjątkiem tych kilku krzaków. Dzika zwierzyna na ogół nie przebywa na otwartym terenie, w dodatku tak blisko wioski. Jeśli się na nią poluje, trzyma się z daleka od ludzi oraz ich siedzib i woli raczej gęste zarośla i lasy niż takie gołe zbocza jak to. Wątpię, by to był wypadek, choć podobnie

jak ty mam taką nadzieję. Jeśli to rzeczywiście był wypadek, ten, kto strzelał, powinien się pokazać i do wszystkiego przyznać. Tylko wtedy uwierzyłbym, że nie było to zamierzone.

— Joelu, czemu ktoś chciałby nas zabić?

— Cathal mógłby mieć powód. Słyszałem o jego nieopanowanym temperamencie i ograniczonym umyśle, co mogło go uczynić nieobliczalnym. Chcę, byś tu została. Nie wychylaj się. Jeśli usłyszysz jeszcze jakieś strzały, nie ruszaj się. Obiecujesz, Maeve?

— Nie wyjdę tak długo, póki tobie nie będzie nic groziło.

— Nawet wtedy zostań w ukryciu. Nie sądzę, by człowiek z karabinem odważył się pozostać gdzieś w pobliżu. Ktoś w wiosce mógł usłyszeć odgłos wystrzału. Pamiętaj, nie ruszaj się z tego miejsca.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, Joel wyczołgał się zza krzaków, stanął i odwrócił się w stronę wzgórza, uważnie lustrując zbocze. Nic się nie wydarzyło. Spojrzał w moją stronę i skinął głową, dając mi znak, że wszystko w porządku, ale że nie powinnam jeszcze opuszczać swojej kryjówki. Potem zszedł zakosami na plażę. Odwróciłam się ostrożnie, by móc go obserwować. Dotarł na miejsce, gdzie byliśmy w chwili, gdy do nas strzelano. Widziałam wgłębienie w wilgotnym piasku tam, gdzie odwróciliśmy się gwałtownie i rzuciliśmy do ucieczki. Wydawało mi się, że Joel zrobił w tym miejscu głęboki ślad obcasem. Następnie pochylił się, wypatrując czegoś w piasku. Ruszył wolno, zatrzymując się co chwilę, nabierał w dłoń piasek i przesiewał go między palcami.

Jednocześnie uważnie obserwował wzgórze, ale było oczywiste, że osoba z karabinem po oddaniu strzału uciekła. Złamałam polecenie, bo nie mogłam dłużej siedzieć beczynn timer. Poza tym podobnie jak Joel wierzyłam, że niebezpieczeństwo minęło.

Kiedy wyłoniłam się z zarośli, uniósł rękę dając mi znak, że mogę bezpiecznie do niego dołączyć, więc ruszyłam biegiem w jego stronę. Sucha trawa i kamienie raniły moje stopy i nagle uświadomiłam sobie, że wciąż jestem na bosaka, a buty i

pończochy zostawiłam w zaroślach, w których się skryliśmy.

Joel znalazł to, czego szukał. W dłoni trzymał kulę. Nie była zdeformowana, bo nie trafiła w nic twardego, a samo uderzenie o piasek nie odkształciło jej.

— Została prawdopodobnie wystrzelona z winchestera — zauważył Joel. — Znam się na broni i mogę powiedzieć, że korzystano z nowoczesnego karabinu. Pocisk został wystrzelony wysoko ze zbocza wzgórza i zanim uderzył w piasek, stracił impet, więc nie został spłaszczony ani zbytnio uszkodzony.

— Czy mógł nam wyrządzić jakąś krzywdę?

— Tak. Mógł zabić jedno z nas. Gdzie mieszka Cathal?

— W chacie w pobliżu swego pola.

— Chcę, byś mnie tam zaprowadziła. I to zaraz. Jeśli to on do nas strzelał, odszukamy broń i będę mógł stwierdzić, czy ktoś jej ostatnio używał. Nie będziemy tu stali i snuli domysłów, kto próbował nas zabić, ale nie tracąc na próżno czasu postaramy się zrobić wszystko, by się czegoś dowiedzieć.

— Moje buty i pończochy... — powiedziałam. — Muszę po nie iść...

— Dobrze. Tylko się pośpiesz, bo każda chwila jest cenna. Jeśli to sprawka Cathala, chcę to wiedzieć na pewno, by móc przedsięwziąć odpowiednie kroki, żeby coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło. Jeśli nie on strzelał, przynajmniej będziemy pewni, że chodzi o kogoś spoza mieszkańców wioski, a to też już coś.

Wróciłam biegiem do naszej kryjówki i zanim Joel do niej dotarł, zdążyłam już nałożyć pończochy i pantofle. Pośpiesznie skierowaliśmy się ku ścieżce i doszliśmy nią do polnej drogi, prowadzącej do gospodarstwa Cathala.

— Sieje głównie jęczmień — wyjaśniłam. — Hoduje też kilka owiec. Nie mogę powiedzieć, by nie pracował ciężko, ale jego pragnienia ograniczają się do posiadania kilku akrów ziemi.

Dotarliśmy do szczytu wzniesienia, u stóp którego ciągnęło się pole Cathala. Zaraz obok stała jego chata. Dostrzegliśmy Cathala daleko w polu. Tam, gdzie orał ziemię pod oziminę, wznosił się tuman kurzu.

Podeszliśmy do chaty i Joel pchnął drzwi, by wejść do środka. Ja pozostałam na

zewnątrz, obserwując, czy Cathal nas nie zauważył. Ale on spokojnie sobie orał, nieświadom tego, że jest obserwowany ani że do jego domu zawitali nieproszeni goście.

Joel pojawił się na progu z karabinem w ręku. Była to potężna strzelba. Obejrzał ją uważnie.

— To jedyna broń w domu i nie z niej wystrzelono kulę, którą mam w kieszeni. Strzelba jest stara i ten pocisk by do niej nie pasował. Jeśli Cathal nie ma gdzieś ukrytej innej broni, możemy być całkiem pewni, że to nie on do nas strzelał.

— Czy zawołamy go, by z nim porozmawiać, Joelu?

— Lepiej nie. Jeśli ma drugą strzelbę, zaprzeczy. W ten sposób tylko go ostrzeżemy, że coś podejrzewamy. Chodźmy do domu. Zauważyłaś, że mówię o twoim domu tak, jakby już był moim?

— Bo jest, najdroższy. Jest nim, odkąd się spotkaliśmy po raz pierwszy. Och, Joelu, tak pragnę spokoju. Teraz będę się o ciebie martwiła.

— Zupełnie niepotrzebnie. Zostałem ostrzeżony i będę się miał na baczności. Wypytaj, czy w wiosce nie pojawili się przypadkiem jacyś obcy, choćby na krótko. Ja postaram się dowiedzieć, czy ktoś inny widział Cathala w polu. Jeśli to możliwe, chciałbym go wyeliminować z grona podejrzanych, bo jest najbardziej niebezpieczny, gdyż może działać otwarcie. Obcy, nie znający dobrze tych stron, napotka na większe problemy.

W wiosce rozdzieliliśmy się. Odwiedziłam kilka znajomych osób i zatrzymałam się na rynku, wpytując o obcych, ale nikt nie widział żadnych nieznanym. Pomyślałam, że gdyby pojawił się w naszych stronach jakiś obcy, prawdopodobnie nie pokazałby się nikomu, tylko okrążyłby wioskę i zniknął przez nikogo nie zauważony.

Joel nie dowiedział się niczego poza tym, że bardzo wątpliwe, by Cathal miał jakiś inny karabin poza tą starą strzelbą, którą zostawił mu ojciec. Jeśli wierzyć ludziom, w wiosce nikt nie miał nowego winchestera. Była to bardzo droga broń i nikt we wsi nie mógł pozwolić sobie na taki wydatek.

Dowód niewinności Cathala zdobyliśmy później, po powrocie ojca z wizyty u chorego, mieszkającego za wioską. Nie kryjąc zdumienia i przerażenia wysłuchał naszej relacji, ale oczyścił Cathala z podejrzeń.

— Przejeżdżałem koło jego pola dwukrotnie w odstępie mniej więcej pół godziny. Za każdym razem widziałem go zajętego orką. Z waszego opowiadania wynika, że gdyby to on strzelał, nie mógłby pracować w polu w tym czasie, kiedy tamtędy przejeżdżałem. Poza tym on nie ma takiej broni. A nawet gdyby miał, nie potrafiłby się nią posługiwać. Jest jeszcze coś.

— Co mianowicie? — spytałam. — Wystarczy już to, co usłyszeliśmy.

— Chodzi o tę starą strzelbę, którą oglądałeś, Joelu. Należy do rodziny Cathala od wielu lat. Gdyby celował z niej do ciebie, już byś nie żył. Cathal nigdy nie pudłuje z tej broni. Twierdzę, że jest niewinny, ale nie mam pojęcia, kto i czemu do was strzelał.

— Czyli że był to wypadek? — powiedziałam. — Może jakiś myśliwy z pobliskiego miasteczka. Zobaczył, co zrobił i uciekł. Tak się zdarzyło, że nikt go nie widział, a nie chciał się przyznać, że zachował się jak wariat, który nie patrzy, do czego czy do kogo strzela.

— Myślę, że masz rację — przyznał Joel. — Musiało być właśnie tak. Więc nie mówmy o tym więcej i nie martwmy się. Mamy teraz inne sprawy na głowie. Jak na przykład nasz ślub pojutrze.

— W takim razie bądź taki dobry i nie odwiedzaj mnie ani jutro, ani w dniu ślubu. Będę zajęta przy szyciu sukni i welonu, a przyjdą mi pomóc najlepsze szwaczki ze wsi. Mężczyzna nie powinien widzieć swej przyszłej żony w sukni ślubnej wcześniej niż w kościele w dniu ślubu. Ale, najdroższy Joelu, bądź ostrożny. Jestem skłonna przymknąć oczy na zasady i pozwolić ci spotkać się ze mną przed ślubem. Po tym, co się stało...

— Zgodziliśmy się, że to był wypadek — powiedział Joel. — Zgodziliśmy się o nim zapomnieć i powinniśmy wymazać go z pamięci. Nie ujrysz mnie aż w kościele przed ołtarzem. A teraz pocałuj mnie po raz ostatni jako panna. Musi ci ten pocałunek

wystarczyć do dnia ślubu.

Objął mnie, a ja przytuliłam się do niego, nie chcąc się z nim rozstawać. Po chwili uściskał ojcu rękę i ruszył w stronę domu pani Halloran, gdzie miał spędzić jeszcze dwie noce, zanim sprowadzi się do nas.

— Powiedz mi, Maeve — spytał ojciec — czy uważasz, że to był wypadek?

— Nie, ojczu. Ale nie mam pojęcia, kto mógł to zrobić ani dlaczego.

Rozdział czwarty

Nie mogłam odpędzić od siebie przerażającej myśli, że Joelowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Dopiero kiedy przyszły szwaczki, zapanowała tak gorączkowa atmosfera, że zapomniałam o swoich obawach. Beztroska paplanina kobiet wpłynęła na mnie uspokajająco i skoncentrowałam się wyłącznie na sprawach związanych z moim ślubem.

Suknia ślubna należała do mojej matki i wymagała jedynie drobnych poprawek. Musiałyśmy jednak uszyć nowy welon, bo . stary zżółkł i widoczne były na nim skutki upływu czasu. Zresztą kobiety już taką mają naturę, że przejmują się każdym, nawet najdrobniejszym szczegółem i dopiero na jakąś godzinę przed ślubem są mniej więcej zadowolone ze swego dzieła.

Ojciec, ujrawszy mnie po raz pierwszy w sukni, która wywoływała w nim tyle serdecznych wspomnień, biorąc mnie w ramiona z trudem powstrzymywał łzy.

— Wyglądasz niemal równie ślicznie jak matka. Patrząc na ciebie znów poczułem się młody. Joel ma pełne prawo być dumny i szczęśliwy.

— Widziałeś go? Nic mu się nie stało? — spytałam.

— Jest w świetnej formie. Kawalerowie urządzili mu wczoraj wieczorem przyjęcie. Zachował umiar i rozsądek, więc dziś rano nie chwiał się na nogach, czego nie można niestety powiedzieć o innych. W drodze losowania ustalono drużbę, bo Joel przebywa wśród nas zbyt krótko i nie zdążył się jeszcze z nikim bliżej zaprzyjaźnić. Szczęście uśmiechnęło się do Mike'a Cullane'a, który oświadczył, że nie jest pewny,

czy ten zaszczyt wart jest poświęceń, jakich od niego zażądano, bo nie pozwolono mu wczoraj pić, żeby dziś i on był w formie. Oczywiście nie mówił tego serio: chodzi dumny jak paw. Ale o ile się orientuję, ty też nie wybrałaś sobie jeszcze drużny, moja droga.

— Wybrałam ją sobie już dawno, ojciec, choć nawet ona jeszcze o niczym nie wie. Przywieź, proszę, do kościoła Babcie, bo chcę, żeby właśnie ona stała u mego boku. Czy potrafisz wyobrazić sobie kogoś odpowiedniejszego do tej roli?

— Cóż, Babcia nie będzie się wprost posiadała ze szczęścia. Tak, to wspaniały pomysł. Jestem za.

Ojciec zaprzęgił konia do pięknego powozu, którym pokonaliśmy krótką odległość dzielącą nas od kościoła. W drzwiach świątyni stanęłam zdumiona. To był niemal inny kościół. Wszystko wyglądało jak nowe, tak gruntownie został odmalowany i oryginalnie ozdobiony. W okna nad ołtarzem i po obu jego bokach wstawiono witraże. Wprawdzie były używane, ale dla nas nowe, a poza tym naprawdę bardzo ładne. Na moją cześć po raz pierwszy zabrzmiały dźwięki nowych organów, bo poprzednie ostatecznie odstawiono do kąta. Żeby zobaczyć wszystkie zmiany, których dokonano, potrzebna była nie jedna, a kilka wizyt w kościele. Ale nawet te zmiany, które zauważyłam, z pewnością dodały splendoru naszej ceremonii ślubnej.

Podszedł do mnie Joel, szczupły, wysoki, urodziwy. Powitaliśmy się i ucałowaliśmy z całego serca. Moje szczęście macił jedynie widok łez w oczach ojca, ale ostatecznie wszyscy Irlandczycy są sentymentalni. Poza tym były to łzy szczęścia.

Reszta dnia upłynęła bez jakiegoś ściśle określonego planu. Gratulacjom nie było końca, wszyscy się świetnie bawili i tańczyli. W końcu udało nam się jakoś wymknąć. Powóz już czekał, by zawieźć nas do Galway.

Galway leży spory kawałek drogi od Kilcrea i nie można tam dotrzeć nie zatrzymując się gdzieś na nocleg. Joel, nic mi nie mówiąc, zarezerwował dla nas pokój w pięknym zajeździe.

Podczas gdy sam zajął się koniem, hoża, wesola dziewczyna, która prowadziła gospodę, pokazała mi nasz pokój. Kiedy Joel wrócił, stół był już nakryty i

przyniesiono proste, wiejskie potrawy, byśmy mogli zjeść kolację tylko we dwoje.

Oboje nie mieliśmy specjalnie apetytu. Po posiłku Joel wystawił stół na korytarz. Kiedy wrócił do pokoju, wziął mnie w ramiona i przez chwile przyglądaliśmy się sobie z pewnego rodzaju lekkiem, a potem pocałowaliśmy się.

— Wciąż nie mogę w to uwierzyć — oświadczył. — Nigdy nawet nie myślałem o małżeństwie, a oto mam najpiękniejszą, najcudowniejszą żonę na całym świecie.

— A co ja mam powiedzieć? — spytałam, wciąż obejmując go za szyję. — Dostałam męża, którego będę kochała aż do śmierci, i choć nigdy nie wierzyłam w to, co mówili starsi — że jestem dzieckiem szczęścia — teraz zaczynam w to wierzyć.

— Maeve, mam ci tak mało do zaoferowania. Jestem zgorzkniałym człowiekiem, do niedawna bardzo samotnym, bo moja rodzina wzbudzała we mnie jedynie odrazę swoją chciwością i bezmyślnością. Wędrowałem po świecie w poszukiwaniu czegoś, czego nie potrafiłem opisać. Niespodziewanie spotkałem ciebie i moje życie się odmieniło.

— Moje też, najdroższy — powiedziałam cicho.

— Nie mam konkretnego zawodu ani żadnego wykształcenia.

— I co z tego? Znajdziesz sobie jakieś zajęcie.

Przytulił mnie mocniej.

— Znalazłem ciebie, Maeve. Od tej pory rozpocząłem nowe życie. Chcę pozostać tu z tobą do końca swoich dni. Coś sobie znajdę do roboty.

— Wiesz co, najdroższy? — powiedziałam z filuternym uśmiechem. — Czy musimy się teraz zastanawiać nad przyszłością, kiedy teraźniejszość jest tak słodka i czarowna?

— Próbowałem ci jedynie wytłumaczyć...

— Jestem żoną mężczyzny, którego ubóstwiam i nie ma tu co wyjaśniać. W tej chwili mamy siebie nawzajem i czy istnieje coś ważniejszego, mój najdroższy Joelu?

— Będiesz szczęśliwa — oświadczył. — Już się o to postaram.

— Już jestem szczęśliwa. To najpiękniejszy dzień w moim życiu.

— Nigdy nie przestanę cię kochać — powiedział. — Ale będziesz mnie musiała

wiele nauczyć, Maeve, bo wychowałem się w domu pozbawionym miłości.

Musnęłam jego usta.

— Od tej chwili w twoim domu zapanuje miłość — przyrzekłam uroczyście. —
W twoim nowym domu.

Objął mnie i pocałował żarliwie. Był delikatny i czuły, tak jak się tego spodziewałam. Całą noc leżałam w jego ramionach i wiedziałam, że niczego mi już w życiu nie brakuje.

Nazajutrz dotarliśmy do Galway i spędziliśmy tam cztery cudowne dni. Galway to dość duże miasto i na tyle bogate, że można w nim znaleźć kilka dobrych sklepów. Odkryłam, jak przyjemnie jest wydawać pieniądze i kupować co tylko dusza zapagnie. Na wyraźne życzenie Joela wybrałam prezenty dla ojca, Babci i księdza Burke'a. Mimo całego podniecenia, towarzyszącego naszemu pobytowi w Galway, byłam zadowolona, kiedy wyruszyliśmy z powrotem do domu. Tęskniłam za wioską i swoimi starymi przyjaciółmi, a najbardziej tęskniłam za ojcem.

Zauważyliśmy, że dokonał pewnych zmian w domu. Oddał nam dużą sypialnię, którą kiedyś dzielił z matką, a sam przeniósł się do mojego pokoju. Z wdzięcznością przystaliśmy na tę zamianę, bo nie pozostawało nam nic innego.

I w ten oto sposób rozpoczęło się nasze wspólne życie z Joelem. Oboje mieliśmy nadzieję, że będzie ono długie i szczęśliwe. Pierwszego wieczoru, który spędziliśmy w domu, ojciec pokazał Joelowi celtycki naszyjnik.

— Przechowuję go w sejfie bankowym — wyjaśnił — bo jest zbyt drogocenny, by trzymać go w domu. Od tej pory należy do Maeve, a potem stanie się własnością jej dzieci.

Joel obejrzał ciężką obręcz ze złota, obracając ją w dłoniach.

— Obiecuję, że bez względu na okoliczności — oświadczył uroczyście — otoczę ten naszyjnik równie troskliwą opieką, jaką otaczany był przez pana i wszystkich pańskich przodków.

— To mi absolutnie wystarczy. — Ojciec z namaszczeniem schował naszyjnik do pudełka. — Jutro odwiozę go do banku. Już poczyniłem odpowiednie kroki, byście

razem z Maeve mieli dostęp do sejfu. A jakie są wasze plany na przyszłość?

— Pomyślałem, że poasystuję panu podczas wizyt u chorych, by się przekonać, czy odpowiada mi praca lekarza — powiedział Joel. — W ten sposób mógłbym się dużo nauczyć, jeszcze zanim podjąłbym studia, gdybym się na nie zdecydował.

— A ty, Maeve, zgadzasz się na to? — spytał ojciec.

— Tak — powiedziałam. — To wspaniały pomysł.

— A więc załatwione — oświadczył ojciec. — Będę bardzo dumny, gdy kiedyś praktykę po mnie przejmie mój zięć. Muszę też dodać, że w wiosce z wdzięcznością mówi się o wspaniałym przyjęciu, które wydałeś w dniu swego ślubu, i o hojności, którą okazałeś przy remoncie kościoła. Myślę, że nie będziesz miał kłopotów ze zdobyciem przychylności mieszkańców wioski.

— Miło mi to słyszeć — powiedział Joel. — Chociaż nie miałem wcale zamiaru kupować sobie ich przychylności.

— A co ty zamierzasz robić, Maeve? — spytał ojciec.

— Co ja zamierzam robić? Mając dwóch mężczyzn w domu! I własną rodzinę! Co zamierzam robić? Będę wielką panią. Będę wydawała przyjęcia w ogrodzie i podwieczorki, od czasu do czasu, kiedy będę w odpowiednim nastroju, będę zapraszała członków rodziny królewskiej. Może zajmę się hodowlą koni wyścigowych, by brać udział w dorocznych zawodach. Och, znajdę sobie dosyć zajęć. Co zamierzam robić? Też mi pytanie!

Ale mijały tygodnie i nic nie zapowiadało powiększenia naszej rodziny. Zauważyłam, że ojciec zaczynał się tym nieco trapić. Często widziano ich razem z Joelem, jak jeździli do chorych. Mój mąż poważnie zajął się zgłębianiem tajników medycyny. Planował, że jeszcze jeden rok będzie praktykował u boku ojca, by gruntownie poznać podstawy medycyny, a potem wstąpi do szkoły medycznej, może w Edynburgu, gdzie Jimmy studiował tak pilnie, że nawet nie przyjechał na nasz ślub. Rozłąka z Joelem nie będzie dla mnie łatwa, ale rozumiałam go. Mężczyzna nie może spędzić życia beczynnie.

Tamta zima była cudowna. Dobrze zabezpieczyliśmy się przed chłódami.

Czasami zapraszaliśmy na kolację znajomych, kilka razy odwiedziła nas Babcia, a ja też zaglądałam do niej co trzy, cztery dni. Była coraz słabsza, ale ojciec wierzył, że staruszka dożyje setki, a ja się z nim zgadzałam.

Większość wieczorów Joel spędzał nad książkami medycznymi. W pogodne dni chodziliśmy nad morze, walcząc z porywistym wiatrem i dokazując tak, jak to czyniliśmy przed ślubem.

Przez cały ten czas ani razu nie spojrzałam w zwierciadło. Joel nigdy o nim nie wspominał. Pomyślałam sobie, że choć go intrygowało, nie potrafił uwierzyć w jego czarodziejską moc i najprawdopodobniej przestał się nim interesować. A ja starałam się mu o zwierciadle nie przypominać.

Joel stał się niezłym specjalistą od nastawiania połamanych kości oraz zdejmowania i nakładania łupków, więc ojciec pozwalał mu przejąć niektóre swoje bardziej rutynowe obowiązki. Pewnego razu, wczesnym rankiem ojca wezwano do małego chłopca z objawami zapalenia wyrostka, co oznaczało konieczność natychmiastowego przeprowadzenia operacji. Niemal jednocześnie przyszedł ktoś od starego Mike'a Shanahana informując, że złamana noga Mike'a, unieruchomiona kilka dni temu, zaczęła go bardzo boleć, co wskazywało na wywiązanie się zakażenia. Znając Mike'a nie było to takie dziwne, bo nie zważając na złamanie kuśtykał o lasce, doglądając obejścia, a w takich warunkach o zakażenie nie trudno.

— Joelu, weź z sobą Maeve — powiedział ojciec wkładając do swojej torby narzędzia chirurgiczne. — Mój pacjent nie może czekać, a obawiam się, że zejdzie mi u niego nieco czasu. Stary Mike też nie może czekać, szczególnie jeśli to zakażenie. Maeve wie, jak oczyścić ranę, a ty potrafisz unieruchomić kończynę. Ruszajcie więc. Spotkamy się w domu. Cieszę się teraz, Joelu, że postanowiłeś studiować medycynę i że nauczyłem Maeve, jak opatrywać rany i postępować w przypadku zakażeń.

Oprócz bryczki mieliśmy teraz i powóz. Pojechaliśmy nim do mieszkającego ponad sześć kilometrów za wsią Mike'a. Był w kiepskim stanie. Noga mu spuchła i była zaczerwieniona, a łupki zbyt uciskały obrzękniętą od zakażenia kończynę. Joel usunął łupki, by obnażyć ranę powstałą w wyniku złamania.

Przemyłam ranę płynem antyseptycznym i usunęłam martwe tkanki, nie zwracając uwagi na wyjącego z bólu Mike'a. Kiedy uznałam, że rana została gruntownie oczyszczona, zabandażowałam ją, ale zdecydowaliśmy, że nogi nie należy wkładać w łupki, póki nie zdobędziemy pewności, że Mike'owi nie grozi ponowne zakażenie.

— Przyjedziemy za dwa dni — powiedział Joel do Mike'a. — Do tego czasu nie wstawaj.

— I nie wychodź z domu — poleciłam. — Michaelu Shanahanie, mogłeś z powodu tego zakażenia umrzeć. Jeśli noga znów spuchnie i zrobi się czerwona, nic już nie będzie można zrobić.

— No dobrze, a kto się zajmie gospodarstwem? Idźcie i powiedzcie moim krowom, że nie mogę ich doić, a kurczakom, że nie będę ich karmić.

— Ostatnio przy dojeniu krów widziałam twoją żonę — zauważyłam cierpkim tonem. — I o ile sobie dobrze przypominam, wszystkie te prace, które wymieniłeś, i tak wykonuje ona. Jeśli będziemy musieli przyjść wcześniej niż za dwa dni, policzymy ci za wizytę podwójnie.

Opuściliśmy chałupę Mike'a i wsiedliśmy do powozu. Zerwał się wicher i niebo pociemniało. Byliśmy zbyt daleko od brzegu, by słyszeć szum morza, ale wiedziałam, że fale są wysokie.

— Dzięki temu, że go postraszyliśmy, iż podwójnie mu policzymy za wizytę, zastosuje się do naszych poleceń — powiedziałam.

Joel roześmiał się cicho.

— Maeve, ile to jest podwójnie, jeśli normalnie nie płaci nic? Ale myślę, że nie będzie wstawał. Nie sądzisz, że powinniśmy pojechać do tego chłopaka z zapaleniem wyrostka?

— Ojca i tak już tam nie zastaniemy, nawet jeśli robił mu operację — powiedziałam. — U Mike'a zabawiliśmy dłużej, niż ci się wydaje. To było okropne zakażenie. Biedaczysko. Ale teraz poczuje się lepiej. Myślę, że powinniśmy jechać prosto do domu.

Do domu dotarliśmy wczesnym popołudniem. Tuż przed wioską droga skręcała na wzgórze wznoszące się nad morzem. Ujrzelśmy w oddali spienioną wodę.

— To sztorm zimowy — wyjaśniłam. — Zawsze uważałam je za najgorsze ze wszystkich. Mam nadzieję, że nikt nie wypłynął. Takie fale mogą zatopić wszystko.

— Rzeczywiście są wysokie — przyznał Joel. — Na wybrzeżu Maine też bywają sztormy, ale zazwyczaj nie takie groźne jak ten.

Nic nie odpowiedziałam. Przez dłuższą chwilę nie odzywałam się. Przypomniałam sobie zwierciadło i wzburzone morze, które w nim ujrzałam, kiedy spytałam o przyszłość ojca. Kiedy dojechaliśmy do domu, wyskoczyłam z powozu, jeszcze zanim się zupełnie zatrzymał, i wbiegłam do domu, od samego progu nawołując ojca.

Nikt mi nie odpowiedział. Popędziłam na górę, ale tam też go nie było. Zajrzałam do gabinetu, lecz nigdzie nie dostrzegłam torby ojca z narzędziami lekarskimi. Wziął ją ze sobą wyjeżdżając dziś rano do chorego, ale do tego czasu powinien był już wrócić.

Usłyszałam odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Pobiełam do sieni, ale to był tylko Joel.

— Ojca jeszcze nie ma — powiedziałam.

— Maeve, niepotrzebnie się martwisz. Jeśli operował tego chłopca, mogły wyniknąć jakieś komplikacje i...

— Jedźmy tam!

— Maeve, co ci się stało? Setki razy wracaliśmy do domu i nie zastawaliśmy ojca.

— To przez ten sztorm... i zwierciadło. Nie pamiętasz? Szybko, Joelu! Och, proszę cię! Zawieź mnie do domu chłopca. Pokażę ci, jak tam trafić.

— No to chodźmy — powiedział Joel i pobiegliśmy z powrotem do powozu.

Poganiał konia batem, czego nigdy nie robił, i dotarliśmy na miejsce po kwadransie. Podbiegłam do drzwi i zaczęłam się do nich dobijać. Otworzyła mi kobieta o zmęczonej twarzy.

— Ach, to ty, Maeve. Jeśli przysłał cię ojciec, to powiedz mu, że mój syn czuje się dobrze. Śpi teraz jak aniołek, a mąż siedzi przy jego łóżku i czuwa nad nim, jak mu kazano. Ojciec zoperował małego i dzięki Bogu teraz już wszystko w porządku.

— Kiedy ojciec odjechał? — spytałam. — Jak dawno temu?

— Och, wkrótce po skończeniu operacji. Nie chciał jeszcze odjeżdżać, ale przyszli ludzie i powiedzieli, że w zatoce jest statek z ciężko rannym człowiekiem...

— Czy zamierzali odtransportować rannego na brzeg?

— Był w tak poważnym stanie, że nie mogli go przewieźć łodzią w ten okropny sztorm, więc ojciec popłynął łódką na statek.

Zamknęłam oczy i odwróciłam się.

— Chcesz spojrzeć na chłopca, Maeve?

— Och, tak. Tak, oczywiście — powiedziałam.

Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, weszłam do środka. Chłopiec spał spokojnie. W domu unosił się zapach eteru i środków antyseptycznych. Mały oddychał równo, puls miał miarowy i wyraźny, a czoło — chłodne.

— Nic mu nie będzie — poinformowałam rodziców dziecka.

— Tylko dzięki twemu ojcu, panienko.

— Proszę od niego nie odchodzić ani na krok — powiedziałam. — Jeśli zauważycie, że czoło ma rozpalone i wilgotne, przyślijcie kogoś po mnie. I przynajmniej przez trzy dni nie pozwalajcie mu wstawać. Dawajcie mu tylko płynne pokarmy i to w niewielkich ilościach.

— Twój ojciec też nam to mówił. Wypłynął w morze, choć już godzinę temu było wzburzone, a później sztorm jeszcze bardziej się rozszalał. Będziemy się modlili, by wrócił cały i zdrowy.

— Dziękuję — powiedziałam.

Pośpieszyłam do powozu i czekającego na mnie Joela. Zająłam miejsce obok niego i przytuliłam twarz do jego ramienia.

— Wypłynął w morze. Jakiś marynarz doznał obrażeń. Nie można go było przewieźć na brzeg, więc poproszono ojca, by zgodził się popłynąć na statek. Zabrali

go najprawdopodobniej kuragiem, który podczas takiego sztormu podskakuje na falach jak korek. Och, Joelu, serce mi się ścisnęło trwogą. Jeśli zwierciadło mnie nie oszukało — a nigdy tego nie czyni — nie ujrzymy już ojca wśród żywych. Tak mówi mi przeczucie.

— Maeve, musimy wierzyć, że twojemu ojcu nic się nie stało. Jeśli wypłynął w morze, to przecież z ludźmi obeznanymi z wodą.

— Sam się przekonasz. Sam się wkrótce przekonasz. Jedź na wzgórze w pobliżu przystani. Usiądziemy tam i będziemy czekali. Wiem na co. Wiem, co się stanie. Wiedziałam o tym już od miesięcy i bałam się tego. Teraz, kiedy przepowiednia zaczęła się spełniać, czuję obezwładniający strach. Gdy będziemy czekać, przytul mnie mocno, ale nie próbuj mnie pocieszać, że nic się nie stanie. Już na to za późno. Za późno, Joelu. Zwierciadło nigdy nie kłamie. Nadszedł kres życia ojca.

— Czy znał to proroctwo? — spytał Joel. — Czy ostrzegłaś go?

— Nie miałam odwagi mu powiedzieć. Czy chciałbyś usłyszeć przepowiednię własnej śmierci?

— Może by wtedy nie wypłynął...

— Wypłynąłby, kpiąc sobie z proroctwa, bo wiedział, że jest potrzebny na statku. Wypłynąłby, nawet gdyby na własne oczy ujrzał w lustrze, jaki go czeka koniec.

Dotarliśmy na wzgórze w pobliżu przystani i Joel zatrzymał powóz. Fale uderzały o brzeg, zalewając piaszczystą plażę, na której tak lubiliśmy bawić się i spacerować. Woda sięgała niemal do porośniętego trawą zbocza góry. Ryk i grzmot morza był ogłuszający i uniemożliwiał rozmowę.

Minęła cała godzina. Przemarzałam do szpiku kości, mimo że Joel okrył mnie swym własnym płaszczem i mocno do siebie przytulił. Ani na chwilę nie spuszczałam oczu z przystani. Kiedy będą wracali, właśnie tam skierują swój kurag. Wypłynięcie taką łupiną w podobny sztorm było niezwykle ryzykowne, jednak kiedy chodziło o ratowanie czyjegoś życia, ani ojciec, ani żaden mieszkaniec wioski nie wahał się nawet przez chwilę.

Zapadł już zmrok, burza nadal huczała triumfująco, kiedy dostrześliśmy małą łódkę, unoszącą się i opadającą na falach. Woda podrzucała ją niby łupinę, ale mimo to z uporem zbliżała się do brzegu.

Wyskoczyłam z powozu i pobiegłam w stronę przystani. W końcu łódź dobiła do nabrzeża i wyskoczył z niej jakiś mężczyzna. Zauważył mnie i skierował się w moją stronę. Ujął mnie pod ramię, siłą odwracając mnie tyłem do morza. Akurat wtedy pojawił się obok nas Joel, który dobiegł później, bo musiał najpierw przywiązać konia.

— Moja droga Maeve — odezwał się człowiek z łódki — lepiej, żebyś nie patrzyła, jak będą go wynosili na brzeg. Joelu, zabierz Maeve do domu. Nie obawiajcie się, przyniesiemy ciało ojca.

— Czyli nie żyje? — spytałam.

— Nie żyje. Uratował życie marynarzowi, ale w drodze powrotnej fala zmyła go z pokładu łodzi. Próbowaliśmy go ratować, lecz wszystko stało się tak szybko, że nie udało nam się go wyłowić i zakryły go fale... Zniknął nam z oczu, a kiedy go znów ujrzeliśmy... było już za późno na cokolwiek. Wciągnęliśmy go do łodzi. Niebu przybyła jedna dusza, a na ziemi zabrakło jednego istnienia.

Joel ujął mnie mocno pod ramię.

— Chodź, Maeve. Pozwólmy im zrobić to, co do nich należy.

— Zaczekam w powozie, póki nie miną nas niosący ciało ojca — powiedziałam.
— Nie ruszę się stąd wcześniej, Joelu.

— Jak sobie życzysz...

Zaprowadził mnie do powozu i pomógł mi wsiąść. Skuliłam się i drżąc na całym ciele łkałam cicho, póki nie powiedział mi zachrypniętym głosem, że zbliżają się.

Posłano po ludzi ze wsi i zjawiono się ponad dwudziestu mężczyzn. Jeden z nich znalazł szeroką deskę, na której, zgodnie ze zwyczajem, położono ciało ojca. Unieśli te prowizoryczne mary i umieściwszy je sobie na ramionach ruszyli wolnym krokiem w kierunku domu.

Pojawiało się coraz więcej wieśniaków. Kobiety płakały i ich lament krwawił mi

serce. Kiedy mijała nas procesja z ciałem ojca, wysiadłam z powozu i stanęłam obok Joela. Nikt nie spojrział w moją stronę.

— *Beidh a cuid fein ag an fharraig* — powiedziałam głośno i wyraźnie.

— Co to znaczy? — spytał Joel.

— W języku celtyckim — odparłam — „Morze upomniało się o swoje”. Słowa te wypowiedane są od setek lat, bo od stuleci ludzie giną w odmętach mórz. Zabierz mnie teraz do domu.

Zanieśli ojca do domu i położyli na łóżku. W nocy poczyniono odpowiednie przygotowania, a Joel posłał po trumnę. Następnego ranka zaczęli się gromadzić żałobnicy. Dom był pełen ludzi, lament klęczących kobiet stał się nie do wytrzymania. W końcu Joel zmusił mnie do odpoczynku. Nie wiem, jak udało mi się usnąć.

Podczas mszy żałobnej kościół wypełniony był do ostatniego miejsca. Wzdłuż obu stron ulicy stali ludzie, którzy nie zmieścili się w środku. Po nabożeństwie zaniesiono trumnę na cmentarz, gdzie nie wątpię, że powitał go duch mej matki. Ciało ojca złożono obok jej mogiły. Stojąc nad świeżo wykopanym grobem spojrzałam w stronę morza, które się wreszcie uspokoiło.

*

Wróciliśmy z Joelem do domu. Dom, w którym się urodziłam, w którym zaznałam tyle szczęścia, wydawał się pusty i smutny. Ktoś napalił w kominku, więc w pokoju panowało przyjemne ciepło. Zdjęłam płaszcz, kapelusz i welon. Joel zostawił mnie na chwilę samą i poszedł zaparzyć herbatę.

Siedzieliśmy w milczeniu przed kominkiem i popijaliśmy gorący napój. Myślałam o ojcu i o tych wszystkich radosnych, wspólnie przeżytych latach. W końcu westchnęłam głęboko i odwróciłam się w stronę Joela.

— Najdroższy, musimy coś przedsięwziąć. Po pierwsze, trzeba znaleźć lekarza na miejsce ojca. Mieszkańcy wioski pilnie go potrzebują.

— Wiem, ale nie będzie to łatwe — powiedział Joel. — Lekarze niechętnie pracują bez wynagrodzenia. Jeśli uda mi się skłonić kogoś do przyjazdu tutaj, obiecuję

mu pewną sumkę, ale nawet wtedy... nie będzie łatwo kogoś znaleźć.

— Póki nie przyjedzie nowy lekarz, my będziemy w miarę naszych możliwości służyć mieszkańcom pomocą.

— Oczywiście. A co zrobimy potem? Kiedy znajdzie się nowy lekarz? Czy chcesz tu zostać?

— To mój dom — powiedziałam, zdumiona jego pytaniem.

— Zgadza się, ale kiedy wstąpię do szkoły medycznej pojedziesz razem ze mną do miasta?

— Tak, Joelu, bo pewnego dnia wrócimy tu i wtedy obowiązki ojca przejmie odpowiednia osoba, a on będzie mógł wreszcie spoczywać w spokoju. Naturalnie, że pojedę z tobą.

— Podczas mojej najbliższej wizyty w Dublinie spróbuję znaleźć nowego lekarza.

— Nie pojedę z tobą — powiedziałam. — Nigdy mnie o to nie prosiłeś, a poza tym wiem, że masz tam do załatwienia swoje prywatne sprawy. Nie chcę ci przeszkadzać.

— Och, polega to na wysłaniu kilku telegramów i czekaniu na odpowiedź. Potem idę do banku, czasem kwestionuję kilka punktów, które mi się nie podobają. Nie pozwolę, żeby mnie oszukiwano, a mój stryj gotów jest posunąć się nawet do oszustwa.

— Przyjedzie do Dublina?

— O nie. Myślę, że byłoby mu szkoda pieniędzy. Wysyła depezę, a kiedy pojawia się w hotelu, zawsze czeka już na mnie plik listów, z których się dowiaduję, jaki ze mnie głupiec. Nigdy nie odpowiedziałem na żaden z nich.

— Będziemy musieli wszystkim wytłumaczyć, że nie jesteśmy lekarzami i że jedynie będziemy się starali pomagać im w miarę swoich możliwości. Poważniej chorzy będą musieli się zwracać do kogoś innego. Najbliższy lekarz mieszka ponad sześćdziesiąt kilometrów stąd. Nie podoba mi się to, Joelu Chorzy mogą nie wytrzymać trudów takiej podróży.

— Zrobię co się tylko da, by znaleźć nowego lekarza — obiecał Joel. — Za cztery dni wyjeżdżam do Dublina. Umieszczę ogłoszenia we wszystkich gazetach i czasopismach medycznych. Może zanim wrócę, ktoś się zgłosi.

— To byłby prawdziwy cud — powiedziałam. — Ale musisz spróbować. Joelu, czy mógłbyś zadbać o to, by wszystkie rzeczy ojca oddano tym, którzy są w potrzebie? Ja przygotuję trochę prowiantu w koszyku i pójdę do Babci. Na pewno okropnie rozpacza.

Znów ogarnęło mnie dziwne uczucie, że muszę natychmiast się do niej udać, zupełnie jakbym otrzymała polecenie, którego należy usłuchać. Wypełniłam wiktuałami duży kosz i kiedy wychodziłam, słyszałam, jak Joel opróżniał szafę w sypialni ojca. Bałam się tej pracy.

Ruszyłam szybkim krokiem. Na głowę zarzuciłam szal, by osłonić twarz przed zimnym wiatrem. Kosz ciążył mi niemiłosiernie.

Babcia wydała mi się chudsza i starsza niż kiedykolwiek. Siedziała skulona przed kominkiem i sprawiała wrażenie, jakby nie mogła się ogrzać. Zsunęła czarny szal z przeredzonych włosów i kiwała się lekko na boki.

— A więc spełniła się ta okropna przepowiednia — powiedziała. — Najdroższa Maeve, czy spoglądałaś ostatnio w to przeklęte zwierciadło?

— Nie miałam odwagi, Babciu.

Zabrałam się za odgrzewanie krupniku. Pomyślałam sobie, że ta biedaczka dawno już nie miała w ustach niczego gotowanego.

— W takim razie spójrz w nie, moje dziecko, bo mam złe przeczucie, że to jeszcze nie koniec twoich strapień.

Uniosłam głowę znad garnka z zupą.

— Babciu, czy przeczuwasz, że stracę również Joela?

— Wydaje mi się, że będą jakieś kłopoty. Nie potrafię opisać jakie konkretnie, ale może zwierciadło dopowie ci resztę.

Potrząsnęłam głową.

— Nie spojrzę w nie, Babciu. Będę natomiast chronić Joela jak coś

najdroższego, co mam w życiu, bo rzeczywiście jest mi najdroższy.

— Tak, to prawda. — Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w płomienie. — Kiedyś potrafiłam przewidywać przyszłość. Widziałam wszystko jasno i wyraźnie, ale ostatnio obrazy stały się zamazane. Zostało mi już niewiele czasu.

— Ojciec twierdził, że dożyjesz stu lat, Babciu — powiedziałam.

Nalałam zupę do dużej miski i postawiłam przed nią.

— Gdyby żył, może by się i tak stało, ale teraz, kiedy nas opuścił, niech dusza jego spoczywa w pokoju, myślę, że na mnie też już pora. Dlatego wezwałam cię do siebie.

Usiadłam obok niej obserwując, jak je.

— Co takiego chcesz mi powiedzieć, Babciu? Może i jesteś stara, ale wraz z upływem lat twoje rady stają się coraz cenniejsze. I nie chcę słuchać tego głupiego gadania, że zostało ci już niewiele czasu.

— Czeka cię życie pełne zgryzot, pełne cierpienia. Wiedziałam o tym, kiedy jeszcze byłaś małym dzieckiem. Musisz być silna, by móc stawić im czoła. Kiedy będzie ci się wydawało, że nie dasz rady więcej znieść, przypomnij sobie to, co ci teraz powiem. Nie zrażaj się przeciwnościami. Rzuć wyzwanie tym, którzy będą próbowali cię zniszczyć i okazuj cierpliwość wobec tych, którzy cię kochają i którzy cię powinni kochać, a tego nie robią. Bo zgryzoty, cierpienia i troski w końcu miną, ponieważ miłość jest od nich wszystkich silniejsza. Nie będziesz w to wierzyła. Nieraz zwątpisz, ale w końcu przekonasz się, że to prawda.

— Zapamiętam sobie twoje słowa, Babciu — powiedziałam. — Nigdy nie należałam do osób słabych i teraz też starczy mi sił. Stawię czoła wszystkiemu, co los dla mnie szykuje, i będę walczyła z tymi, którzy mi się przeciwstawiają. Na pewno nie poddam się bez walki. Nie domyślasz się, kóż to taki będzie mnie próbował zniszczyć?

— Moje zdolności przewidywania są coraz mniejsze. To, o czym ci powiedziałam, wiedziałam od dawna. Teraz pozostało mi już niewiele z moich umiejętności i nie mogę ci pomóc. Pora, żebyś wracała. Nalej mi resztę zupy i idź do

domu.

Napełniłam miskę zupą.

— Jutro przyniosę ci więcej, Babciu.

— Dobrze — powiedziała.

Wyciągnęła swoje chude ramiona i uścisnęła mnie, a ja pocałowałam ją w policzek. Chyba obejmowała mnie dłużej niż zwykle, chociaż wówczas nie zwróciłam na to uwagi.

Poprawiłam ogień na kominku i przyniosłam wiadro torfu, by miała czym palić, gdy zostanie sama. Kiedy wyruszyłam w drogę powrotną do domu, pod wpływem nagłego impulsu zboczyłam na wzgórze, na którym spoczywał ojciec.

Kłęczałam nad jego grobem modląc się, aż poczułam dziwny spokój. Wstałam i wolno opuściłam cmentarz. Czekał na mnie Joel, mój ukochany Joel. Przyspieszyłam kroku.

*

Razem z Joelem przystąpiliśmy do organizowania naszego życia bez ojca. Mieszkańcy wioski i okolic nadal przychodzili po lekarstwa i porady, jakby ojciec wciąż żył. Byliśmy im potrzebni i robiliśmy dla nich co tylko było w naszej mocy, ale w końcu Joel doszedł do wniosku, że koniecznie trzeba coś przedsięwziąć. Umieścił ogłoszenia w gazetach Dublina i Galway, ale nie otrzymał ani jednej odpowiedzi. Nadeszła pora odbycia kolejnej podróży do Dublina i Joel poprosił, bym mu towarzyszyła.

Nie lubiłam Dublina. Wydawał mi się zbyt angielski. Hotel był za wytworny, a sklepy tak duże, że trudno mi się było zdecydować, co wybrać, choć Joel nalegał, bym kupowała, nie licząc się z pieniędzmi.

Większość czasu Joela pochłaniały interesy. Kiedy się pojawiliśmy w hotelu, wręczono mu plik listów i telegramów. Gdy na nie odpowiedział, nadeszła nowa porcja. Zdaje się, że wyniknęły jakieś problemy natury prawnej, wymagające rozstrzygnięcia. Joel oponował przeciwko kilku punktom, które dla mnie były zupełnie niezrozumiałe, choć próbował mi wytłumaczyć, co znaczą.

Jadaliśmy w luksusowych restauracjach. Ubrana w swoje najlepsze stroje przyciągałam wzrok mężczyzn i obdarzana byłam nieprzyjawnymi spojrzeniami kobiet, co wprawiało Joela w zachwyt, a mnie, kiedy już do tego przywykłam, również sprawiało zadowolenie. Dobrze wiedziałam, że w sukniach, które nosiłam w domu, nie wpuszczono by mnie do tych wytwornych lokali.

W naszym dwupokojowym apartamencie hotelowym Joel zaznajamiał mnie z niektórymi problemami fabryki należącej do niego w jednej trzeciej.

— W Stanach przeprowadzono wybory — poinformował mnie — i prezydentem został Grover Cleveland. Mój ojciec i stryj uważają go za przeciwnika wielkiego kapitału i boją się, że może podjąć pewne kroki, mające na celu podniesienie zarobków robotników. Ta perspektywa śmiertelnie przeraziła ojca. Chce utworzyć lobby, by wpłynąć na Kongres...

— Nie nadążam za tokiem twoich słów, najdroższy — przerwałam mu. — Nie rozumiem systemu waszych rządów. Czemu uczciwie pracujący człowiek nie może otrzymać godziwej zapłaty?

— Chciałbym zobaczyć reakcję mojej rodziny, gdybyś jej to powiedziała. — Joel uśmiechnął się cynicznie. — Natychmiast by się ciebie wyparli.

— Odnoszę wrażenie, że już to zrobili. Z okazji naszego ślubu nie otrzymaliśmy od nich żadnego listu ani nawet kartki pocztowej z życzeniami, nie mówiąc już choćby o najdrobniejszym upominku.

— Przepraszam cię za nich, Maeve. Tacy już są. Na szczęście wśród naszych przodków był widocznie ktoś o dobrym sercu, które ja odziedziczyłem. Zajmę się teraz redagowaniem długiej i bardzo drogiej depechy, którą wyślę na koszt fabryki. Sprzeciwię się wszelkim próbom rodziny, która będzie dążyć do wywarcia nacisku na naszych ustawodawców. Potem zaczniemy się pakować i z samego rana, zanim jeszcze przyjdzie odpowiedź, wyjedziemy do domu. Nie chcę jej czytać.

— Och — powiedziałem z zamkniętymi oczami — oto błogosławione słowa, na które z niecierpliwością czekałam. Nigdy więcej nie pojedę z tobą do Dublina. Chyba że moja obecność będzie absolutnie niezbędna.

— Cóż, przynajmniej widziałaś, jak to wszystko wygląda i czym się tu zajmuję. Zawiadywanie interesami za pomocą listów i depe sz oraz składanie wizyt w bankach to okropnie nudne zajęcie. Nie lubię Dublina tak samo jak ty.

Nie ma piękniejszego widoku niż Kilcrea rozciągające się wzdłuż brzegu morza. Kiedy ujrze liśmy naszą małą wioskę, nawet Joel wydał gło sne westchnienie ulgi.

— Jak tylko wniesiemy bagaże do domu, pójdę odwiedzić ojca — powiedzia łem. — A potem zani osę Babci upominki.

— Tylko nie zabaw u niej za dłu go, moja droga — oświadczył z udawaną powagą. — Po takiej podróży człowiek jest gło dny jak wilk. Marzą mi się ziemniaki z kapustą i szynką. Mayo nie jest biednym hrabstwem, skoro można tu zjeść takie dobre rzeczy.

Poszłam na cmentarz nie przebierając się, wciąż więc miałam na sobie ciepły i praktyczny strój podró żny: gładką, szytą na miarę spó dnicę i bluzkę z białego perkalu.

Kiedy zbliża łem się do grobu, ujrza łem klęczącego przy nim mężczyznę. Ogarnął mnie niewytłumaczalny lęk. Był to jakiś nieznajomy. Świadczył o tym chociażby krój jego ubrania. Mężczyzna widocznie mnie usłyszał, bo szybko podniósł się z kolan i odwrócił się. Był postawny, wysoki i barczysty, miał gęstą rudą czuprynę i takąż brodę. Wolno wyciągnął ręce w moją stronę.

— Jimmy! — krzyknę łem. — Och, Jimmy, czy to naprawdę ty?

Podbiegłam do niego, a on uściskał mnie tak mocno, że aż zabrakło mi tchu. Nie zwraca łem na to uwagi, taka by łem szczęśliwa. Poza Joelem był jedyną bliską mi osobą.

— Przyjecha łem dziś rano — powiedział. — Ponieważ nie zasta łem nikogo w domu, wybra łem się na spacer po okolicy. Zamierza łem zatrzymać się we wsi na noc bez względu na to, czy wrócić z Joelem, czy nie.

— Właśnie przyjecha liśmy z Dublina — wyjaśni łem. — Joel musiał tam załatwić jakieś swoje sprawy.

— Dublin to dla mnie odrażające miasto. Przepraszam, że nie mog łem przyjechać na pogrzeb ojca. Ale został pochowany, zanim otrzyma łem wiadomość o

jego śmierci. Powiedziałaś, że dopiero co wróciliście. Nie rozmawiałaś jeszcze z nikim z wioski?

— Nie, jeszcze nie, Jimmy. Czemu tak spoważniałaś?

— Na lewo od ciebie, za tym wielkim drzewem, znajduje się świeża mogiła. Pochowano w niej Babcię.

Rozpłakałam się. Obejmowałam swego brata i opłakiwałam staruszkę, którą kochałam całym sercem. Poszliśmy na jej grób, uklękłam i pomodliłam się, wyrzucając sobie, że wyjechałam akurat wtedy, kiedy mnie najbardziej potrzebowała.

— Biedaczka zmarła we śnie — wyjaśnił Jimmy. — To chyba była dla niej najlepsza śmierć. Nie powinnaś jej długo opłakiwać. O ile ją dobrze pamiętam, nie życzyłaby sobie tego.

— Och, Jim, chyba masz rację. Ale tak nieoczekiwanie to na mnie spadło. Za chwilę się uspokoję. Chodź, przedstawię cię Joelowi, memu najdroższemu mężowi i wspaniałemu człowiekowi. Nie wiem, co bym teraz bez niego zrobiła.

— Dobrze się złożyło, że tu przyjechał, Maeve. Ojciec pisał mi, że jest Amerykaninem, i do tego bardzo bogatym.

— To prawda. Mamy tak dużo pieniędzy, że nie wiemy co z nimi robić, ale Joel gospodaruje nimi dobrze i mądrze. Będzie studiował medycynę, tak jak ty. Ale po studiach, w przeciwieństwie do ciebie, pragnie wrócić na wieś i zająć miejsce ojca.

— Nie jestem zdolny do takiego poświęcenia — wyznał Jimmy. — Zostanę chirurgiem i będę równie bogaty, jak twój Joel. Postaram się nie gorzej od niego obracać pieniędzmi, chociaż może nie aż tak rozważnie jak on.

Wkrótce doszło do spotkania tych dwóch mężczyzn mojego życia, tak od siebie różnych. Mój brat był muskularny i potężny, miał bujną czuprynę i brodę. Jasnowłose Joel o drobnej budowie ciała wyglądał przy nim niemal jak chłopiec. Ale ledwo uścisnęli sobie ręce, stali się dobrymi przyjaciółmi.

— No tak — zwrócił się Jimmy do mnie — jest taki, jak go opisałaś, a może jeszcze lepszy. Rozumiem teraz, czemu ojciec wyraził zgodę na twój ślub. Witam cię, Joelu Cameronie, w naszej rodzinie.

— Dziękuję, Jimmy. — Joel spojrzał na mnie. — Słyszałem o Babci. Bardzo mi przykro.

— Jimmy powiedział, że nie cierpiała i że chyba niebiosy zesłały jej taką spokojną śmierć — powiedziałam. — Żałuję jedynie, że mnie tu wtedy nie było.

— Jeśli macie ochotę na dobrą, irlandzką whisky i nie odkryliście jeszcze piwniczki ojca, pokażę wam, gdzie przechowywał zapasy trunków. Joelu, mój chłopcze, myślę, że pora, byśmy się razem napili. A przez ten czas moja siostra przygotowuje kolację. Jestem taki głodny, że zjadłbym konia z kopytami.

Przyjazd Jimmy'ego sprawił, że byłam zbyt zajęta, by opłakiwać stratę Babci tak, jak bym tego chciała. Apetyt dopisywał mu jak zwykle. Po kolacji omówiliśmy kwestię spadku po ojcu. Niepotrzebny był nam jego testament. To, co zostawił, powinno zostać podzielone między nas, ale Joel nalegał, by wszystko wziął Jimmy, który przecież będzie potrzebował środków, by móc ukończyć studia i kupić sobie praktykę.

— Mam więcej pieniędzy, niż nam z Maeve potrzeba — wyjaśnił Joel.

— Ja zatrzymam tylko dom — powiedziałam.

— Oczywiście — zgodził się Jimmy. — I tak zagarnąłem wystarczająco dużo. Bardzo wam dziękuję. Joelu, jeśli będziesz kiedyś potrzebował pomocy chirurga, udzielę ci jej za pół darmo. Moja siostra będzie musiała oczywiście zapłacić normalnie. A teraz nalej mi jeszcze trochę tej whisky.

— Jimmy, zabierz ją z sobą do Edynburga — zaproponowałam. — Jest jej tyle, że wystarczyłoby dla pułku wojska. Pijąc pamiętaj, że to część wynagrodzenia ojca za wizyty u pacjentów. Przyznaj jednak uczciwie, że masz do czynienia z dobrą whisky.

Siedzieliśmy pół nocy, bo mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Kiedy w końcu poszłam na górę, byłam taka zmęczona, że nawet nie miałam siły pomyśleć, jak mi brak Babci i zmówiłam jedynie wspólną modlitwę za nią i za ojca. Jimmy i Joel zostali jeszcze w salonie. Siedzieli przed kominkiem, rozmawiając i popijając whisky.

Było mi smutno, kiedy Jimmy wyjechał do Szkocji, ale nic nie można było na to poradzić. Podczas tych dwóch tygodni, które spędził z nami, mieszkańcy wioski mieli wspaniałą opiekę lekarską, bo Jimmy już teraz, przed ukończeniem studiów, był świetnym specjalistą. To on uratował nogę staremu Mike'owi, który podczas mojej i Joela nieobecności dostał kolejnego zakażenia. Przy okazji Jimmy nieźle mu zmył głowę, choć stary Mike chciał zrzucić całą winę za ponowną infekcję na mnie i Joela.

— Wstawaleś z łóżka, choć ci zabronili — natarł na niego Jim. — Wychodziłeś w pole, kręciłeś się po obejściu i dlatego ponownie zainfekowałeś ranę. Mike, jeśli zdarzy się to po raz trzeci, Joel i Maeve będą ci musieli uciąć nogę. Nie będzie innego sposobu, żeby uratować ci życie. Jeśli więc nie chcesz mieć drewnianej nogi, rób to, co ci każe, jasne?

— Muszę doglądać inwentarza — upierał się Mike.

— Bardzo proszę, doglądaj go, ale uprzedzam cię, że stracisz nogę — powiedział Jimmy, a jego ruda broda aż się nastroszyła ze złości. — Zwracam ci tylko uwagę, że ani Joel, ani Maeve nie są lekarzami i nie podadzą ci eteru, by cię uspić, kiedy będą ci ucinali nogę. Jedyne co będą mogli zrobić, to walnąć cię mocno w głowę, żeby twoje wrzaski nie zakłócały spokoju mieszkańcom Killarney. Rób, jak chcesz.

Później dowiedzieliśmy się, że Mike nie opuszczał łóżka prawie przez cały miesiąc, ale nigdy już nie miał żadnych kłopotów z nogą.

A więc wyprawiliśmy Jimmy'ego w drogę i znów zaczęliśmy wieść zwyczajne życie. Wkrótce Joela czekała kolejna wyprawa do Dublina, ale tym razem postanowiłam zostać w domu. Jak dotąd nie otrzymaliśmy odpowiedzi na nasze ogłoszenia. Nikt nie chciał zająć miejsca ojca, więc razem z Joelem staraliśmy się, jak mogliśmy, pomagać mieszkańcom wioski. Wszystko było dobrze, dopóki nikt poważnie nie zachorował. Oboje z Joelem baliśmy się dnia, kiedy wydarzy się jakiś poważny wypadek.

W maju Joel wyjechał do Dublina z mocnym postanowieniem, żeby tym razem

wymóc na swoich krewnych zgodę na to, by wszelkie interesy załatwiali z nim nie kładąc mu jeździć tak daleko od domu. Miał dosyć wypraw do Dublina. Znacznie bardziej odpowiadało mu leżące o wiele bliżej Galway. Uparł się, że dopnie swego.

Pierwsze dni jego nieobecności były trudne do wytrzymania. Po śmierci ojca Joel starał się możliwie jak najwięcej ze mną przebywać. Rzadko się rozstawaliśmy, a jeśli już — to na godzinę, dwie. Upłynęły więc całe cztery dni, zanim przywykłam do tego dużego, pustego domu. Nie miałam nawet Babci, żeby ją odwiedzać. Jej chata stała zamknięta i opuszczona.

Szóstego dnia otrzymałam list od Joela, który mnie niezwykle ucieszył, chociaż był utrzymany w bardzo poważnym tonie. Joel informował, że sprawy nie toczą się po jego myśli. Mimo to obiecał, że wróci do domu tak, jak planował, czyli już za czterdzieści osiem godzin, z niecierpliwością czekałam więc na jego przyjazd.

Szykując się na jego powrót, wybrałam się na zakupy do wiejskiego sklepiku, żeby uzupełnić zapasy warzyw, mąki i mięsa. W drodze do domu ujrzałam idącego ulicą Cathala. Miałam ochotę udać, że go nie widzę, ale pomyślałam, że byłaby to dziecinada. Cathal pozostawał nadal moim starym znajomym, nawet jeśli mój ślub trochę go rozgniewał. Do tej pory złość powinna mu jednak już przejść.

— Dzień dobry, Cathalu — powiedziałam.

— Żaden dzień nie jest dla mnie dobry, ani wieczór, ani noc, i dobrze o tym wiesz, Maeve. — Spojrzał na mnie ponuro.

— Och, Cathalu, daj spokój. Mógłbyś życzyć mi szczęścia. Już dosyć długo jestem mężatką.

— Pragnę ci przypomnieć, że ja wciąż jestem kawalerem. Nigdy ci nie wybaczę, Maeve O'Hanlon. Należę do osób upartych i połowę swego życia łudziłem się, że się pobierzemy. Zdradziłaś miłość, którą ciebie darzyłem, i pewnego dnia jeszcze mi za to zapłacisz. Ty i ten twój delikatny mąż, który nie skrzywdziłby nawet muchy.

— Do widzenia, Cathalu Dolanie — powiedziałam. — A nawet żegnaj. Nie chcę znać takich ludzi jak ty.

Odmaszerowałam nie oglądając się za siebie. Rozgniewały mnie jego głupota i

upór. Poszłam do domu, położyłam zakupy na miejsce, ale jakoś nie miałam serca do prania i sprzątania, które na mnie czekało.

Pod wpływem na nowo rozbudzonego niepokoju przypominałam sobie o zwierciadle. Uplęły miesiące od dnia, kiedy ostatni raz miałam je w ręku, i choć bałam się tego, co mogłoby mi ukazać, pomyślałam, że powinnam się go poradzić. Jeśli pokaże, że Joelowi wciąż grozi jakieś niebezpieczeństwo, można będzie z dużym prawdopodobieństwem założyć, że grozi mu ono ze strony Cathala i jakoś się przed jego gniewem zabezpieczyć.

Poszłam na górę i wyciągnęłam zwierciadło. Podeszłam z nim do okna i usiadłam. Wolno odwinęłam lustro i położyłam je sobie na kolanach. Byłam rozdarta między pragnieniem spojrzenia w nie a chęcią ponownego schowania go do szuflady. Przypominałam sobie, jak ostatnim razem ujrzałam w nim zamazany profil Joela, poprzednio tak wyraźny.

Uniosłam zwierciadło na wysokość oczu i powiedziałam na głos:

— Przepowiednia śmierci mojego ojca spełniła się, jak wszystkie przepowiednie zwierciadła. Pytam teraz, przez pamięć na królową Maeve, której jestem potomkinią, co szykuje los memu ukochanemu mężowi?

Nachyliłam zwierciadło w kierunku światła. W pierwszej chwili nic się nie ukazało. Ale nieraz już zdarzało się, że obraz migał mi na tak krótką chwilę, że nie byłam pewna, czy cokolwiek widzę. Musiałam więc być gotowa, by w jednej chwili zapamiętać, to, co ujrzę.

Ukazał się wyraźny profil mężczyzny, którego kiedyś ujrzałam za podobizną Joela. Ale nigdzie nie było widać twarzy Joela. Tak jakby dla zwierciadła mój mąż przestał istnieć.

Odłożyłam lustro i zawinęłam je w jedwab, zła na siebie, że je w ogóle wyciągnęłam, zaniepokojona tym, co ujrzałam, głównie dlatego, że nie rozumiałam, co mogło oznaczać. Obraz Joela zniknął.

Schowałam zwierciadło głęboko do szuflady sekretarzyka i wróciłam na krzesło stojące pod oknem. To oczywiste, czemu Joel nie ukazał mi się w zwierciadle. Pojawił

się już w moim życiu i przepowiednia związana z jego osobą spełniła się: dlatego zwierciadło nie pokazuje go więcej. Było to jedyne logiczne i prawdopodobne wytłumaczenie. Poczułam się trochę lepiej. Mój niepokój częściowo zniknął.

*

Jednak ani tej nocy, ani następnej nie spałam dobrze. W dniu powrotu Joela dosiadłam naszego konia i wyjechałam na spotkanie swego męża. Stojąc na drodze i czekając na Joela znów poczułam niepokój. Nagle ujrzałam nasz powozik. Pośpiesznie wskoczyłam na konia i ruszyłam, by powitać Joela.

— Będiesz miał eskortę do samego domu — krzyknęłam, kiedy znalazłam się obok bryczki.

— Dziękuję — odpowiedział mi. — Nie jestem przyzwyczajony do tego, by piękne dziewczyny wyjeżdżały mi na spotkanie.

— I lepiej, by żadna nie próbowała tego robić — ostrzegłam go. — Jak się czujesz?

— Jestem zmęczony — powiedział. — Wszystko ci wyjaśnię, kiedy znajdziemy się w domu. Cieszę się, że cię widzę.

Skinęłam głową, pomachałam mu i pogalopowałam przodem, by dotrzeć do domu przed nim i zdążyć mu nalać na powitanie nieco dobrej whisky. Wiedziałam, że przynajmniej teraz jest bezpieczny.

Kiedy pojawił się w domu, uściskał mnie i pocałował namiętnie. Na chwilę zabrakło mi tchu, ale ucieszyłam się, że się aż tak za mną stęsknił.

Za każdym razem, kiedy wracał, wychylaliśmy na powitanie po kieliszku whisky. Teraz też unieśliśmy kieliszki w górę.

— *Slainte* — powiedziałam.

— Czyli po angielsku: „Jak dobrze być znów w domu” — wypowiedział swój własny toast.

Wypiliśmy, po czym Joel wyprzągnął konia i zaprowadził go do stajni. Pół godziny później znów był przy mnie, zdążywszy przez ten czas rozpakować bagaż, napoić i nakarmić konia oraz go obrządzić. Na fajerkach stały już garnki z kolacją.

Przyjrzałam mu się uważnie.

— Jesteś trochę blady, Joelu.

— Nic dziwnego. Nie było mi lekko. Te ich argumenty i wyrachowanie... W pewnej chwili miałem ogromną ochotę machnąć ręką na wszystko i zrezygnować ze swoich pieniędzy, ale sprawiłbym im tylko ogromną satysfakcję.

Nie powiedział mi nic bliższego o swych kłopotach, a ja nie pytałam go, bo cała sprawa i tak była dla mnie zbyt skomplikowana, bym mogła ją w pełni pojąć. Na twarzy Joela widać było zmęczenie, więc nalegałam, by położył się wcześniej spać. Po obfitym posiłku, przyrządzonym przeze mnie, ogarnęła go senność i chętnie zgodził się iść do łóżka.

Kilka godzin później, kiedy się kładłam, Joel mocno spał. Obudziło mnie światło dnia i odgłosy, które sprawiły, że się mocno zaniepokoiłam. Joel gwałtownie wymiotował. Kiedy minął mu atak torsji, wrócił do łóżka. Był blady jak płótno.

— Co ci jest, Joelu? — spytałam. — Boli cię coś?

— To przez to okropne jedzenie, które podali mi w Dublinie. Leżało mi w żołądku przez całą drogę powrotną. Nic mi nie będzie. Muszę tylko wypocząć.

Czoło miał ciepłe, ale nie na tyle, by się poważniej zaniepokoić. Zapewnił mnie, że czuje się lepiej, więc zostałam przy nim, póki nie usnął, a potem na paluszkach wyszłam z pokoju i zeszłam na dół, by nastawić wodę i zrobić sobie grzanekę. Postanowiłam, że pozwolę mu spać tak długo, jak będzie chciał.

Dwie godziny później znów do niego zajrzałam, chyba z dziesiąty raz. Wciąż spał, ale tym razem całą twarz pokrywały mu kropelki potu. Miał bardzo wysoką gorączkę. Poszłam po lekarstwo, bo wiedziałam, co ojciec stosował w przypadku zatrucia pokarmowego.

Joel zażył lekarstwo, ale nie chciał się położyć, tylko usiadł, opierając się na poduszkach. Przysunęłam krzesło do łóżka. Ujął moją dłoń. Rękę miał zimną jak lód, chociaż na czole i górnej wardze wciąż błyszczały mu kropelki potu.

— Nie martw się — powiedział. — To tylko chwilowa niedyspozycja, nic poza tym. Ale uzmysłowiłam sobie, że gdyby coś mi się stało, nawet nie wiedziałybyś co

robić.

— Najdroższy, powiesz mi to kiedy indziej, jak się lepiej poczujesz — oświadczyłam.

— Nie, Maeve, muszę ci to powiedzieć teraz. W przeciwnym razie znów nigdy nie będzie okazji, a to bardzo istotne. Chcę, byś uważnie wysłuchała tego, co ci powiem, i dobrze sobie wszystko zapamiętała.

— Zgoda, mój kochany. Obiecuję.

— Moja własna rodzina uważa mnie za wroga. Wiem, że brzmi to dziwnie. Ale taka jest prawda. A odkąd ty zostałam moją żoną, również stałam się ich wrogiem. I być może pewnego dnia zmuszona będziesz z nimi walczyć. Może kiedyś oboje postanowimy podjąć wyzwanie. Mówiąc między nami, jesteśmy w stanie ich pokonać, choć graniczyłoby to z cudem.

— Mówiąc między nami — powiedziałam wesoło, choć wcale mi nie było do śmiechu — możemy zwyciężyć każdego.

— Nie znasz ich, moja kochana. Ale nie o tym chciałem teraz mówić. Pamiętaj, że nie jestem obdarzony wyjątkowymi zdolnościami. Mogę się jedynie kierować zdrowym rozsądkiem. Człowiek żonaty musi w miarę swoich możliwości przewidywać przyszłość. Nie wszyscy dysponują magicznymi zwierciadłami.

— Kpisz sobie z niego — zbeształam go.

— Nie, naprawdę nie. Moja droga żono, kiedy byłem w Dublinie, przemyślałem kilka rzeczy, po czym udałem się do adwokata, by spisać testament. Zgodnie z moją ostatnią wolą jesteś moją jedyną spadkobierczynią. Testament jest niepodważalny. Musi taki być, bo jeśli kiedykolwiek będziesz musiała wykorzystać ten dokument, moi krewni rozpoczną batalię, w której nie powstrzymają się przed niczym.

— Zanim to nastąpi — powiedziałam — wszyscy twoi krewni już dawno umrą ze starości. A teraz połóż się i odpocznij.

— Jeszcze nie, Maeve. Chcę ci powiedzieć wszystko, żebyś się dobrze orientowała w sytuacji. Kopię testamentu wysłałem do naszego adwokata w Nowym Jorku. Nazywa się — zdaje się, że już ci to mówiłem — Paul Arnold. To człowiek,

któremu możesz zaufać. W pierwszej kolejności zwróć się do niego.

— Mam opuścić swój dom i jechać do Stanów Zjednoczonych? — spytałam. — Joelu, chyba od tej gorączki postradałeś rozum. Powiedz mi, jak wygląda ten Paul Arnold. Czy jest młody? Czy mógłby zainteresować się wdową?

— Teraz ty zaczynasz sobie kpić — zwrócił mi delikatnie uwagę.

Mylił się. Przemknęło mi przez myśl, że to Paul Arnold może być owym nieznanym, którego ujrzałam w zwierciadle.

— Przepraszam, najdroższy — powiedziałam. — Nie powinnam się z tobą drażnić. Ale muszę to wiedzieć.

— Sądzę, że Paul zbliża się do sześćdziesiątki. Nie jest zbyt przystojny, ma grzywę siwych włosów, ale wszelkie braki urody nadrabia zaletami umysłu. Jak ci powiedziałem, zwróć się do niego i ufaj mu.

— Świetnie — odparłam, chcąc zakończyć tę rozmowę. — A teraz zostawię cię samego, żebyś mógł odpocząć.

— Nie odchodź jeszcze przez kilka minut — nalegał. — Niewykluczone, że będziesz musiała udać się do Stanów Zjednoczonych, by załatwić wszystkie kwestie prawne. Jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie, nie pozwól, by moja rodzina zyskała nad tobą przewagę. Ani na moment. Jeśli zdobędą choćby odrobinę, jesteś zgubiona. Nie ustępuj im ani na krok. To ich własna metoda postępowania, której odkrycie zajęło mi większą część dorosłego życia. Będiesz bogata; będziesz miała dużo do powiedzenia w sprawach dotyczących prowadzenia fabryki i rządzenia całym miastem.

— Jak mogłabym coś takiego robić? — spytałam. — Całe życie spędziłam tutaj, z ludźmi, którzy są moimi przyjaciółmi. Potrafię prowadzić gospodarstwo domowe i nic poza tym. Zresztą nie będzie takiej potrzeby. Sam poradysz sobie z prowadzeniem interesów.

— No dobrze — odparł ustępując w obliczu mojej wyraźnej niechęci do tego tematu. — Pozwól mi tylko powiedzieć sobie parę słów o samym mieście. Jeśli kiedykolwiek byś się w nim znalazła, łatwiej ci będzie zrozumieć niektóre rzeczy. Pamiętaj, że panują tam nieco inne stosunki niż w większości ośrodków przemy-

słowych. Ludzie zmuszani są do wielogodzinnej harówki i w zamian otrzymują nędzne grosze. Nawet dzieci zapędza się do pracy, by przyniosły kilka dodatkowych centów. Jest to okrutne i niesprawiedliwe, ale przecież żyją w wolnym kraju i jak im się nie podoba, mogą odejść. Oczywiście, żeby to zrobić, muszą mieć trochę pieniędzy i w tym cały szkopuł. Przy pensjach, jakie dostają, niemożliwością jest odłożyć nawet na kupno biletu kolejowego do najbliższego miasta.

— Ależ, Joelu — powiedziałam — czy nie mogą sobie wzajemnie pomagać? U nas w Mayo też mieszkają biedni ludzie. Nikomu nie jest lekko, ale nikt też nie jest w skrajnej nędzy. Sami o to dbamy.

— Wiem. Tam panują inne stosunki. Jesteś teraz żoną obywatela Stanów Zjednoczonych. Dzięki temu masz pierwszeństwo przed innymi imigrantami. W razie potrzeby możesz liczyć na pomoc Paula Arnolda.

— Jeśli się natychmiast nie położysz, już wkrótce osobiście zadzwonię do pana Arnolda. Joelu Cameronie, nie zamierzam ani chwili dłużej znosić tego gadania i by go nie słuchać, gotowa jestem nawet wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Czy położysz się wreszcie?

— Tak — powiedział z uśmiechem. — Musiałem to zrzucić z serca. Od razu poczułem się lepiej. Za parę dni będę zdrow jak ryba. Nie pozwól mi wylegiwać się cały dzień.

Opatuliłam go, pocałowałam czule i wyszłam z pokoju. Kiedy zamknęłam za sobą drzwi sypialni, szybko zbiegłam na dół, by nie usłyszał szlochu, który cały czas powstrzymywałam. Mówił jak ktoś, kto spodziewa się śmierci. Miałam okropne przeczucie, że go stracę, i nic nie mogłam na to poradzić.

Staralam się cały czas mieć jakieś zajęcie. Ugotowałam dla Joela bulion i jego ulubiony pudding. Zajrzałam do kilku książek lekarskich ojca. Kusiło mnie, by posłać po starego doktora, mieszkającego w sąsiedniej wsi, ale ostatecznie postanowiłam tego nie robić. Zanimby się tu pojawił, upłynęłoby kilka godzin, a wielce wątpliwe, czy potrafiłby pomóc mojemu mężowi.

Kilka razy zaglądałam do Joela. Sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim

śnie, więc nie przeszkadzałam mu. Wyszukiwałam sobie różne zajęcia. Próbowałam robić na drutach, lecz po chwili zrezygnowałam. Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Zbyt się martwiłam. Ale musiałam się czymś zająć.

W porze kolacji wciąż spał. Zbliżyłam się do łóżka z filiżanką bulionu i dotknęłam czoła Joela. Było suche i rozpalone. Wymówiłam jego imię, ale nie zareagował. Tętno miał przyspieszone, a oddech krótki, urywany. Zaniepokoiła mnie jego dziwna bladość. Wybiegłam z domu do sąsiada, który miał najszybszego konia w okolicy. Ubłagałam go, by pojechał do najbliższej wioski i przywiózł starego doktora. Uczyniłam to w akcie rozpacz, bo nie wierzyłam, by potrafił mu pomóc. Ale jeśli będzie miał choć słabe pojęcie, co należy robić, i pojawi się w porę...

Kiedy wróciłam do domu, zobaczyłam, że Joel znów wymiotował, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Jęczał cicho przez sen. Zachowywał się zupełnie jak pod wpływem jakiegoś narkotyku, chociaż wiedziałam, że to niemożliwe. Zmieniłam pościel i wytarłam podłogę. Umyłam Joela, wmawiając sobie, że wygląda trochę lepiej. Usiadłam obok łóżka i ujęłam go za rękę. Od czasu do czasu ocierałam mu twarz ściereczką zwilżoną w zimnej wodzie.

Sąsiedzi na wieść o chorobie Joela zaczęli przychodzić i musiałam zejść na dół, by poinformować ich, że mój mąż nie może teraz przyjmować żadnych gości. Byłam zła, że odrywają mnie od niego.

O trzeciej nad ranem, kiedy wieś i dom pogrążone były w martwej ciszy, poczułam, że coraz trudniej walczyć mi z sennością wywołaną zmęczeniem. Dotknęłam czoła Joela. Było chłodne. Tętno miał dość regularne, oddychał równo. Gdybym nawet siedziała przy jego łóżku, i tak w razie potrzeby nie miałby ze mnie żadnej pociechy, bo w stanie, w jakim się znajdowałam, w każdej chwili mogłam usnąć jak kamień. Doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jak pójdę do pokoju ojca i zdrzemnę się godzinę, dwie, by trochę wypocząć. Pomyślałam sobie, że powinnam była poprosić jednego z sąsiadów, by trochę poczuwał przy Joelu, ale ponieważ nie zrobiłam tego wcześniej, nie mogłam teraz budzić kogoś, by mnie zastąpił przy chorym.

Upewniłam się, że Joelowi jest wygodnie i poszłam do pokoju ojca. W połowie modlitwy za mojego biednego męża dosłownie zapadłam w twardy sen.

Kiedy się obudziłam, słońce świeciło mi prosto w twarz. Byłam okryta kołdrą. Przez chwilę gapiłam się w sufit, próbując sobie uzmysłwić, w jaki sposób znalazłam się w sypialni ojca i czemu jestem w ubraniu. Nagle przypomniałam sobie wszystko i wybiegłam z pokoju zaniepokojona, że na tak długo zostawiłam Joela samego.

Na korytarzu ujrzałam dwóch sąsiadów i starego doktora z pobliskiej wioski. Podszedł do mnie i z wyrazu jego twarzy odgadłam wszystko.

— Nie żyje — oświadczył. — Umarł godzinę temu podczas snu.

Przez kilka chwil stałam ogłuszona, a potem przypadłam do ramion staruszka. Zbyt długo byłam córką doktora, by wbiec do pokoju i rzucić się na ciało umarłego. Dopiero gdy się wypłakałam, weszłam do pokoju, w którym leżał Joel. Nie cierpiał. Przynajmniej tym mogłam się pocieszać.

— Nie potrafię stwierdzić, co spowodowało zgon — powiedział stary doktor. — Kiedy przyjechałem, miał jeszcze jeden atak torsji, a koniec nastąpił bardzo szybko. Sądzę, że umarł na skutek ostrego zapalenia jelit.

Popularna diagnoza w hrabstwie Mayo i powszechnie stwierdzana przyczyna śmierci, kiedy nie wiadomo było, jaki jest prawdziwy powód zgonu. Wszystko skończone. Przyczyna, jeśli o mnie chodzi, miała teraz drugorzędne znaczenie. Zostałam sama i nigdy w życiu nie czułam się bardziej opuszczona.

Nie wiem, jak załatwiono wszystkie formalności pogrzebowe. Znów wystawiono zwłoki na katafalku, procesja żałobników udała się do kościoła, a potem na cmentarz. Trumnę z ciałem Joela złożono obok mogiły mojej matki. Na grobie ojca nie zdążyła jeszcze wyrosnąć trawa.

Napisałam depezę do rodziny Joela. Stary doktor miał dopilnować, by zabrano ją do Galway i stamtąd wysłano. Nic więcej nie mogłam zrobić. Na próżno czekałam od nich na choćby jedno słowo, współczucia albo pouczenia. Nie otrzymałam nic. Stopniowo zaczął we mnie wzbierać gniew.

Nie zdołałam na czas zawiadomić o wszystkim Jimmy'ego, a kiedy wysłałam

mu list, w którym poinformowałam go o śmierci Joela, napomknęłam w nim, że niewykluczone, iż wkrótce pojawię się w Edynburgu. Właściwie nie wiem, czemu to napisałam, bo nie postanowiłam jeszcze co robić. Czułam się taka opuszczona.

Tydzień, spędzony samotnie w tym dużym domu, doprowadził mnie do ostateczności. Kobieta może płakać, ile chce, ale nadchodzi taka chwila, kiedy musi rzucić wszystko, bo inaczej oszaleje. Tak się właśnie czułam. Opłakiwałam tatę, Babcię, a teraz mojego drogiego Joela. Wypłakałam już wszystkie łzy i w miejscu żalu pojawiło się odrętwienie.

Pewnego wieczoru, siedząc przed kominkiem i jedząc zimną kolację, podjęłam ostateczną decyzję. Zastanawiałam się nad tym, co powiedział mi Joel na kilka godzin przed śmiercią, kiedy był jeszcze przytomny. Oczywiście wtedy ani mi przez myśl nie przeszło, że umrze i byłam przekonana, że on też nie spodziewał się tak szybkiej śmierci. Nie sprawiał wrażenia ciężko chorego. Po prostu przekazywał mi informacje, jakie każdy mąż wcześniej czy później powinien przekazać żonie. Szczególnie jeśli w razie swojej śmierci przewiduje pojawienie się jakichś problemów. A obawiałam się, że po śmierci Joela będzie mnóstwo problemów. Joel przewidywał, że w razie jego śmierci będę zmuszona do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Jeśli nie na stałe, to przynajmniej by upomnieć się o swój spadek i uregulować wszystkie sprawy z rodziną męża. Na myśl o tym czułam lęk, ale nie uważałam za słuszne pozwolić im wszystko przejąć, zlekceważyć mnie, a może nawet w głębi duszy cieszyć się, że Joel nie żyje i nie może już dłużej wtrącać się w ich machinacje. Z pewnością nie zamierzali się ze mną skontaktować.

Nigdy nie należałam do osób, które zwlekają z podjęciem decyzji. A kiedy już się na coś zdecydowałam, koncentrowałam całą uwagę na tym, by jak najszybciej zrealizować swoje postanowienie. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek wrócę do Mayo. Jeśli będę musiała pozostać w Stanach Zjednoczonych, by chronić interesy Joela, zrobię to bez wahania. Ale jeśli uda mi się wszystko pomyślnie załatwić, wtedy wrócę, bo tu jest mój dom. Na pewno pozbawiony luksusów, do których przyzwyczajony był Joel, ale przecież pokochał to miejsce, a ja również je kochałam.

Poza tym na zielonym zboczu wzgórza, nad brzegiem morza spoczywają moi najbliżsi.

Napisałam list do Jimmy'ego, w którym powiadomiłam go o mej decyzji i poprosiłam, by załatwił niezbędne formalności związane z moim wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Nie miałam pojęcia, co było wymagane, w przeciwnym razie nie zwróciłabym się do niego o pomoc, tylko sama bym się wszystkim zajęła. Następnie przygotowałam dom na swoją długą nieobecność. Załatwiłam ze starym doktorem, by dwa razy w tygodniu przyjmował w gabinecie ojca chorych. Zagwarantowałam mu wynagrodzenie, pozwoliłam mu korzystać z instrumentów medycznych ojca i jego zapasów lekarstw.

Następnie rozdałam ubrania Joela mieszkańcom wioski i choć nie przyszło mi to łatwo, wdzięczność obdarowanych sprawiła, że czynność ta była mniej przygnębiająca. Załatwiłam z sąsiadami, by utrzymywali dom w należytym stanie, meble przykryłam pokrowcami. Wiedziałam, że nawet jeśli wrócę za dwadzieścia lat, wszystko zastanę dokładnie tak jak teraz. Następnie spakowałam swoje rzeczy na drogę w torby i kufry Joela. Kiedy przyszła pora wyjazdu, siadłam do bryczki powożonej przez Tima Fennelly'ego, któremu oddałam powóz i konie. W zamian za to obiecał mnie zawieźć na stację kolejową, skąd zamierzałam się udać do Dublina, a stamtąd do Szkocji, gdzie się miałam spotkać z Jimem.

Kiedy powóz toczył się zakurzoną drogą, nie obejrzałam się za siebie. Nikt nie wyszedł przed dom. Powiedzieliśmy już sobie do widzenia, a nikt nie chciał patrzeć, jak wyjeżdżam, bo wszyscy bardzo dobrze wiedzieli, co czuję i jak trudno mi powstrzymać łzy.

Zabrałam ze sobą małą skórzaną teczkę z papierami Joela i po drodze zapoznałam się z ich treścią. Większość zrozumiałam, niektóre pozostały niejasne, ale pocieszyłam się, że prawnik z Nowego Jorku z pewnością mi wszystko wytłumaczy. Szybko się zorientowałam, że jestem bogatą wdową. Nie tylko dzięki udziałom Joela w fabryce, ale również dzięki zasobom pieniężnym i poczynionym przez niego inwestycjom. Do tej pory nawet nie podejrzewałam, że na świecie jest aż tyle

pieniędzy.

Kiedy dotarłam do Dublina, okazało się, że nie będę musiała jechać do Szkocji, bo Jimmy przyjechał tutaj, by się ze mną spotkać. Podczas całego pobytu prawie wcale nie wychodziłam z hotelu, ale mimo to nie pozbyłam się niechęci do tego miasta i nie chciałam go zwiedzać. Poza tym musiałam pomóc Jimmy'emu zapoznać się ze wszystkimi dokumentami. Był pod wrażeniem mojego majątku.

— Od tej pory — oświadczył — będę musiał zdejmować czapkę za każdym razem, kiedy mnie będziesz mijala, bo jesteś bogatsza niż niektórzy lordowie i diukowie, a może nawet członkowie rodziny królewskiej. Bez względu na to, czym zajmują się krewni Joela, musi to być zyskowny interes.

— Jimmy, założę konto, z którego będziesz mógł korzystać według własnego uznania. Jeśli jestem bogata, mój brat też nie może biedować — odparłam.

— Biedować, powiadasz? Zapomniałaś, że nasz ojciec zostawił pokaźny majątek, z którego nie wzięłaś ani grosza? Nie potrzebuję twojej pomocy, najdroższa Maeve. Ale jeśli będzie mi czegoś potrzebna, nie omieszkać cię o tym powiadomić. A teraz opowiedz mi o Joelu. Jego śmierć wydaje mi się dziwna.

— Mnie również. Wrócił z Dublina do domu bardzo zmęczony. Powiedział, że podróż była niezwykle wyczerpująca i że miał tam dużo roboty. Nie wiem, co przez to rozumiał, ale wydawał się zły na swoją rodzinę. Wkrótce po przyjeździe chwyciły go boleści i musiał się położyć do łóżka. Szybko dostał gorączki, która później opadła. Nie wiedziałam co robić. Joel musiał mieć jakieś złe przeczucia, bo ze szczegółami powiedział mi, co mam robić na wypadek jego śmierci.

— Był mądrym i troskliwym człowiekiem. Gdyby nie przekazał ci informacji dotyczących majątku, wątpię, byśmy cokolwiek zdołali zdziałać.

— Martwił się, żeby jego rodzina mnie nie wykorzystała, sądząc, że jestem jakąś głupią, wiejską dziewczyną, która nie potrafi zliczyć do dziesięciu.

— Pamiętaj, że dobrze znał swoich krewnych. Uprzedził cię, jacy są. Nie daj im się zastraszyć.

— Jestem gotowa się z nimi zmierzyć, Jimmy.

— I nie zapominaj, że masz mnie. Jeśli będzie ci potrzebna pomoc, zadesz, a wsiądę na najbliższy statek płynący do Ameryki. Ty wyruszasz jutro, odprowadzę cię. To pierwszorzędny statek, będziesz miała najlepszą kajutę, jak przystoi tak bogatej kobiecie.

— Dziękuję ci za pomoc, Jimmy.

— Ostatecznie od czego się ma braci? A powiedz mi, co ze zwierciadłem? Z magicznym zwierciadłem, do którego przywiązujesz tak wielką wagę?

— Jimmy, przepowiedziało śmierć ojca w morskich falach. Przepowiedziało pojawienie się Joela oraz jego zgon.

Jimmy potrząsnął głową.

— Moja droga, jestem człowiekiem wykształconym i nie mogę wierzyć w takie rzeczy. Chyba, żebym zobaczył to na własne oczy.

— Żaden mężczyzna nie ujrzy w tym zwierciadle niczego — przypomniałam mu. — Przecież dobrze wiesz.

— Sądzisz, że powinnaś zatrzymać to przeklęte lustro?

— Tak. Ukazało mi twarz drugiego mężczyzny.

— Na miłość boską, czy zamierzasz odszukać tego człowieka, którego nigdy dotąd nie spotkałaś, i poślubić go, bo wydało ci się, że ujrzałaś jego twarz w liczącym dwa tysiące lat zardzewiałym kawałku metalu?

— Zardzewiały czy nie, zawsze służył radą kobietom z rodu O'Hanlon. Chociaż nie myślę o powtórnym małżeństwie. Pozostaje jeszcze naszyjnik. Zaopiekujesz się nim?

— Nie. Nie wierzę w zwierciadło i uważam, że miejsce naszyjnika jest w Muzeum Narodowym. Mówiłem to ojcu nieraz.

— Naszyjnik stanowi własność rodziny — oświadczyłam z mocą. — Jeśli nie chcesz go strzec, muszę go zabrać ze sobą, a kiedy dotrę do celu mej podróży, złożę go w jakimś bezpiecznym miejscu, tak jak czynił to ojciec.

— I co zamierzasz z nim później zrobić? Przekazać go swym dzieciom?

— Jimmy! — wykrzyknęłam dotknięta do żywego.

— Uspokój się, moja droga. Jesteś jeszcze młoda, niemal podlotek. I nigdy nie widziałem piękniejszej dziewczyny od ciebie. Poza tym masz mnóstwo pieniędzy. Joel nie dał ci dziecka, ale może uda się to komuś innemu. Nie możesz całego życia spędzić samotnie, wspominając Joela, bez względu na to, jakim wspaniałym był człowiekiem.

— Nie myślałam o powtórny małżeństwie i nie zamierzam drugi raz wyjść za mąż — oświadczyłam.

— W takim razie co z tym nieznajomym, którego ponoć widziałas w zwierciadle? Ujrzałaś Joela i poślubiłaś go. Czy nie zrobisz tego samego, kiedy spotkasz owego drugiego mężczyznę?

— Spytaj mnie o to za rok lub dwa — powiedziałam. — Chociaż niewątpliwie masz rację. Joel nie życzyłby sobie, bym w taki sposób czciła jego pamięć. Nigdy nie był egoistą. Prawda, że nie mieliśmy dzieci. Często zastanawiałam się czemu.

— Spytaj zwierciadła. Jeśli może ci ukazać męża, którego nigdy w życiu nie spotkałaś, z pewnością może ci powiedzieć, czy będziesz miała dziecko.

— Nie będziemy więcej mówili o zwierciadle — stwierdziłam kategorycznym tonem. — A teraz, jeśli pozwolisz, opuszczę cię, bo chciałabym zrobić ostatnie zakupy. Mam wprawdzie dosyć sukien, ale chcę nabyć coś ekstra, ostatni krzyk mody. Włożę to, kiedy udam się z pierwszą wizytą do rodziny Joela. Może uda mi się ich olśnić i zyskam czas, by się im uważnie przyjrzeć i spróbować ich ocenić. Mówię, jakbym już nie wiedziała, jak wyglądają. Są chudzi, skąpi i źli. Mają wąskie, zaciśnięte usta, w ich oczach widać chciwość, mówią piskliwymi głosami z wyjątkiem chwil, kiedy rozprawiają o pieniądzach. Żeby to wiedzieć, niepotrzebne mi magiczne lustro.

— Wystarczy ci twoja bujna wyobraźnia — zachichotał Jimmy. — Pójdę z tobą, żeby mieć pewność, iż kreacja, którą kupisz, zwróci uwagę mężczyzny. Poza tym słyszałem, że w tych magazynach można spotkać bardzo ładne ekspedientki.

— Proszę bardzo — zgodziłam się. — Możesz mi również towarzyszyć podczas kolacji. Udamy się do najwytworniejszej restauracji, bo muszę zacząć się

przyzwyczajając do swego bogactwa.

Nagle podbiegłam do niego i zarzuciłam mu ręce na szyję, z trudem powstrzymując łzy.

— Och, Jimmy, nie oszukam ciebie ani siebie. Nie chcę opuszczać naszego domu w Mayo. Ani ciebie. Tak, nawet ciebie. Boleję nad tym, że zostawiam groby tych, których tak kochałam. Nie zależy mi na pieniądzach. Wolałabym je rozdać między mieszkańców naszej wioski. Ale wiem, że to niemożliwe i że muszę się nauczyć, jak dostosować się do życia w nowych warunkach. Może ojciec wiedział, że pewnego dnia znajdę się w takim położeniu i dlatego nauczył mnie tylu rzeczy, by moja wiedza ułatwiła mi to zadanie.

— Obok charakteru, urody i wrodzonej inteligencji — zauważył Jimmy. — Nie wspominając o jeszcze dwóch ważnych rzeczach. Jesteś Irlandką i masz pieniądze. Nikt cię nie pokona.

Resztę dnia spędziliśmy na chodzeniu po sklepach. Kupowałam Jimmy'emu wszystko, co mu się spodobało, aż w końcu zaprotestował. Sobie sprawiłam nowe walizki, bardziej odpowiednie dla kobiety niż te, które zostawił mi Joel, a sakwojaże Joela dałam Jimmy'emu. Kolację zjedliśmy w wytwornym lokalu i muszę wyznać, że nawet mi się to podobało. Jimmy oświadczył bez ogródek, że bardzo mu odpowiada taki styl życia i kiedy już zostanie chirurgiem, też nie będzie sobie odmawiał niczego. Kiedy wróciliśmy do hotelu, czekało nas przepakowanie wszystkich moich rzeczy ze starych waliz do nowych i nawet przy wydatnej pomocy Jimmy'ego zajęło nam to pół nocy.

Wiedział, że staram się cały czas być czymś zajęta, by się zmęczyć i nie myśleć o czekającym mnie rano wyjeździe. Ani się obejrzelśmy, kiedy nadeszła pora rozstania. Pojechaliśmy do portu i staliśmy obserwując, jak wnoszą moje bagaże na pokład statku, na którym panowała już gorączkowa krzątanina.

Jimmy dopilnował, bym otrzymała luksusową kajutę i najwidoczniej wyjaśnił oficerom, że jestem niezwykle bogatą dziewczyną, co w istotny sposób wpłynęło na to, jak mnie traktowano podczas całego rejsu.

Znaczenie tego, co czynię, dotarło do mnie w pełni, kiedy pocałowałam Jimmy'ego na do widzenia i obserwowałam, jak pośpiesznie zbiega pomostem, który zostawiono specjalnie dla niego. Odwrócił się i pomachał mi, zdejmując kapelusz i ukazując burzę rudych włosów, które zapłonęły w promieniach słońca. Wolno odeszłam, odpowiadając uśmiechem na pozdrowienia współpasażerów. Udałam się prosto do mojej kajuty i zamknęłam drzwi za sobą na klucz.

Usiadłam w wielkim miękkim fotelu. Czułam drżenie statku. Normalnie podczas takiej podróży obserwowałabym przynajmniej przez iluminator znikający w oddali ląd, ale tego dnia nie mogłam się na to zdobyć.

Zabrałam się natomiast do rozpakowywania bagażu. Do drzwi kabiny zastukała pokojówka i spytała, czy życzę sobie pomocy.

— Dziękuję — powiedziałam. — Może później. Jestem teraz zmęczona i chciałabym trochę odpocząć.

— Proszę zadzwonić, jeśli będzie mnie pani potrzebowała. Kiedy będzie pani jadła obiad, przygotuję łóżko.

Ledwo udało mi się ukryć zdumienie, bo obiad oznaczał dla mnie posiłek w środku dnia, ale szybko zorientowałam się, że pokojówka mówi o wieczornym posiłku, podawanym o ósmej. Zamknęłam drzwi i powróciłam do swych walizek i kufrów. Znalazłam zwierciadło, odwinęłam je i podeszłam do iluminatora, by mieć jak najwięcej światła.

— Nigdy bardziej nie potrzebowałam pomocy niż teraz — powiedziałam. — Zobaczymy, co szykuje mi los.

Odwróciłam zwierciadło i spojrzałam na jego błyszczący fragment. Znów ujrzałam tę twarz. Profil mężczyzny, który po raz pierwszy wyłonił się za wizerunkiem Joela, by stopniowo wysuwać się na pierwszy plan i w końcu całkowicie przesłonić twarz mego męża. Widziałam go tylko przelotnie, bo obraz nie trwał długo. Zresztą zawsze tak było i czasem zastanawiałam się, czy przypadkiem Jimmy nie ma racji i czy owe prorocze obrazy nie są owocem mojej bujnej wyobraźni. Ale to niemożliwe. Jak mogłabym sobie wyobrazić — trzy razy! — rysy twarzy mężczyzny,

którego nigdy nie spotkałam? Widziałam ją równie wyraźnie jak twarz Joela, która stopniowo stawała się coraz mniej ostra, jakby zapowiadając rychłą śmierć mego męża.

Ponownie owinęłam zwierciadło, odłożyłam je i zaczęłam się przebierać ze swojej sukni podróżnej w strój mniej krępujący ruchy. Na obiad postanowiłam włożyć modną suknię i miałam nadzieję, że zostanę posadzona obok osób życzliwych, ale niezbyt narzucających się ze swoim towarzystwem. Nie mogłabym szanować pamięci Joela bardziej, niż to czyniłam, ale z drugiej strony nie zamierzałam spędzać całych dni podczas długiego rejsu zamknięta w kajucie. Jak słusznie zauważył Jimmy, byłam młoda i przede mną było jeszcze całe życie. Nie chciałam rezygnować z jego uroków.

RS

CZEŚĆ DRUGA

Maeve Cameron

Rozdział piąty

Kiedy pojawiła się panorama Nowego Jorku, byłam akurat na pokładzie. Nigdy żaden widok nie wzbudził we mnie większego niepokoju. Dzięki staraniom i niewykluczone, że kilku bajeczkom, opowiedzianym przez mojego brata, podczas całego rejsu traktowano mnie wyjątkowo uprzejmie. Jednak i tak ogromnie martwiłam się o naszyjnik, który trzymałam w jednej z mniejszych toreb. Miałam jeszcze kilka waliz normalnej wielkości, nie wspominając o paru olbrzymich kufrach. Dowiedziałam się, że wszystkie bagaże zostaną sprawdzone przez celników.

Przed zawinięciem statku do portu przebrałam się w skromną suknię podróżną w szaroburym kolorze. Okazało się, że było to najlepsze posunięcie, jakie mogłam zrobić. Bez kłopotu przeszłam przez odprawę paszportową, byłam przecież wdową po obywatelu amerykańskim, ale następnie musiałam się poddać kontroli celnej. Tragarze stali za mną grzecznie w rzędzie, ale w pewnej odległości, więc nic nie wskazywało na to, że trzymają moje kufry.

Bagażowy położył walizkę i mniejszą torbę na długim stole przed urzędnikiem celnym, który w swoim niebieskim mundurze z mosiężnymi guzikami i czapce z błyszczącym daszkiem wyglądał imponująco i zarazem przerażająco. Spojrzał na mnie i ujrzałam szeroką twarz mężczyzny bez wątplenia pochodzenia irlandzkiego. Nie była to żadna pociecha, bo gdy tylko jego wzrok spocznie na naszyjniku, znajdującym się tuż przed jego nosem, niechybnie zorientuje się, jakie ów przedmiot posiada znaczenie i historyczną wartość.

— Dzień dobry pani — powitał mnie przytykając rękę do daszka. — Czy nie

przyjechała pani przypadkiem z Killarney?

— Nie — powiedziałam. — Choć to wyjątkowo piękne okolice.

— Na sto procent. Pochodzę stamtąd i od czasu do czasu lubię się dowiedzieć, co tam nowego słychać, bezpośrednio od ludzi stamtąd przyjeżdżających.

— Ja pochodzę z hrabstwa Mayo, proszę pana — wyjaśniłam.

— Ach, rozumiem. — Sięgnął po urzędowy stempel, a mnie serce zabiło mocniej. — Nie musi pani otwierać swego bagażu do kontroli. Nie ma takiej potrzeby. Przybysze z hrabstwa Mayo mogą mieć do zadeklarowania co najwyżej parę fałszywych kolczyków. Życzę pani powodzenia.

Dałam znak bagażowemu, który szybko zabrał moje torby i żwawym krokiem ruszył przed siebie. Nie obejrzałam się do tyłu. Zastanawiałam się, co sobie myśli urzędnik celny stemplując bagaż, który nieśli tragarze podążający za mną.

Jimmy zarezerwował dla mnie telegraficznie pokoje w modnym hotelu Waldorf-Astoria. Udałam się tam dorożką, a moje bagaże zawieziono wozem. Ledwo opuściliśmy tereny portowe, a poczułam się tak, jakbym się nagle znalazła w samym środku tajfunu.

Hałaśliwe tramwaje konne jeździły środkiem alei, pobrzękując dzwonkami. Ciężkie fury, dwukółki, bryczki, wielkie furgony do przewożenia piwa blokowały ulice, a chodniki pełne były śpieszących się, zaaferowanych ludzi. Wydawało się, że wszyscy dokądś biegną. Na Piątej Alei ruch był nieco mniejszy i po raz pierwszy miałam możliwość przypatrzeć się witrynom wielkich magazynów, bajecznym siedzibom bogaczy i modnie ubranym kobietom, kroczącym chodnikami i jadącym w olśniewających powozach.

Szybko urządziłam się w dwupokojowym apartamencie wytwornego hotelu, przy którym te w Dublinie wydały mi się pozbawione smaku. Pamiętałam, by trzymać głowę wysoko, nie garbić się i patrzeć prosto w oczy osób, które się do mnie zwracały. Wpisałam się do księgi gości, a mój podpis nie zdradzał nerwowego podniecenia, które czułam w środku. Grzeczni pracownicy hotelu odprowadzili mnie do windy. Jeździła dziesięć razy szybciej niż ta, którą miałam okazję raz w życiu

jechać podczas mego pobytu w Dublinie.

Zanim zdążyłam zaprotestować, dwie pokojówki zaczęły z wprawą rozpakowywać moje rzeczy, co chwila wydając okrzyki zachwytu. Nie byłam do końca pewna, czy moje suknie rzeczywiście aż tak im się podobały, czy też chciały mi po prostu sprawić przyjemność. Na widok kobiet na Piątej Alei zdałam sobie sprawę tego, że Dublin pozostaje daleko w tyle w dziedzinie kobiecych strojów.

Kiedy zostałam sama, wykapałam się i przed wyjściem na miasto trochę odpoczęłam. Pierwsze kroki skierowałam do jednego z salonów mody, gdzie sprzedawano gotowe suknie, które można było bardzo szybko dopasować do sylwetki klientki. Zamówiłam sześć kreacji w różnych kolorach i odmiennego kroju. Miano mi je dostarczyć nazajutrz. Jedną, która pasowała idealnie bez konieczności dokonywania żadnych przeróbek, włożyłam na siebie, a tę, w której przyszłam, kazałam zanieść do hotelu. Sukienka miała prosty fason i tworzyła całość z różowym zakietem.

Zajrzałam do notesiku, który miałam w torebce, po czym zwróciłam się do portiera stojącego w drzwiach domu towarowego, by wezwał dla mnie dorożkę. Podałam woźnicy adres Paula Arnolda, adwokata Joela, a teraz również mojego.

Jego biuro znajdowało się dość daleko i opłata za dorożkę wyniosła jednego dolara, co uważałam za przesadę, chociaż przejażdżka była przyjemna i interesująca. Dałam dorożkarzowi napiwek i weszłam do środka trzypiętrowej kamienicy z czerwonej cegły. Odszukałam nazwisko pana Arnolda, zapamiętałam numer jego biura i udałam się na górę. Kiedy stanęłam w progu, ujrzałam siwowłosą kobietę, która wstała zza biurka, by mnie powitać. Przedstawiłam się, a ona kiwając głową uważnie mi się przyjrzała.

— Ależ naturalnie, pani jest wdową po Joelu — powiedziała. — Bardzo trafnie opisał panią w swoich listach.

— Dziękuję. — Byłam wzruszona jej miłym powitaniem. Wydawało mi się, że już dawno nikt nie zwracał się do mnie tak bezpośrednio.

— Pan Arnold natychmiast panią przyjmie. Czy miała pani przyjemną podróż?

— Tak, dziękuję. A Nowy Jork to zdumiewające miasto, choć wiejska

dziewczyna może się w nim czuć nieco zagubiona. Czemu wszyscy tak się śpieszą?

Roześmiała się cicho.

— Sami nie wiedzą. Taki tu zwyczaj. Na szczęście nie będzie się pani musiała do niego dostosowywać. Wyjedzie pani do małego miasteczka daleko stąd. Jestem pewna, że sprawy toczą się tam wolniejszym tempem. Nazywam się Gloria Travis i jestem sekretarką pana Arnolda. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę natychmiast do mnie zadepeszować, a zajmę się wszystkim. A teraz proszę za mną.

Pan Arnold siedział za wielkim biurkiem, ściany jego gabinetu zawieszane były półkami z książkami. Kiedy weszłam, wstał od biurka i wyciągnął na powitanie obie ręce. Przytknęłam policzek do jego twarzy. Zrobiłam to odruchowo, bo Joel tyle razy mówił mi, jaki z niego dobry przyjaciel i sprzymierzeniec. Oceniłam, że ma koło pięćdziesięciu lat, był szpakowatym, lekko łysiejącym dżentelmenem, a jego ostre rysy świadczyły, że w młodości był przystojnym mężczyzną. W jasnoniebieskich oczach skrzyły się iskierki humoru, a uśmiechał się ciepło i szeroko.

— Witamy w Stanach Zjednoczonych — powiedział. — Maeve, jest pani prześliczna. Glorio, czy kiedykolwiek widziałaś taką gładką buzię? Spójrz tylko na tę cerę!

— Zwróciłam już na to uwagę i wprost pękam z zazdrości — odparła Gloria. — Zostawię teraz państwa samych, żeby Maeve mogła się dowiedzieć wszystkiego o swej nowej rodzinie. Niech niebiosy ją w swej opiece.

— Czy jest aż tak źle, panie Arnold? — spytałam.

— Obawiam się, że tak, Maeve. Proszę usiąść. To trochę potrwa. Nie będę przed panią niczego ukrywał. Z tego, co mi pisał Joel, wywnioskowałam, że nie jest pani nieśmiałą, zahukaną dziewczyną, która da się łatwo zastraszyć. I proszę mi wierzyć, że bardzo dobrze się złożyło. Przede wszystkim proszę mi pozwolić powiedzieć kilka słów na temat fabryki, której stała się pani w jednej trzeciej właścicielką. Jakies sto lat temu, może trochę dawniej, przodkowie Joela wykarczowali kawałek ziemi, by uprawiać rolę, polować i cieszyć się życiem na terenach, które w owych czasach były dzikie i niegościnnie. W pewnym stopniu nadal takie pozostały. W następnych latach

oni, ich dzieci oraz wnukowie wzniesli miasto. Zaczęli produkować wyroby bawełniane wyjątkowo dobrej jakości. Cokolwiek by mówić o Cameronach, produkty ich fabryki są pierwszorzędne. Mieli dosyć zmysłu do interesów by wiedzieć, że to jedyny sposób osiągnięcia sukcesu.

— Racja — potwierdziłam. — W hrabstwie Mayo mieszkają kobiety, które tkają tweed w domowych warsztatach. One również kierują się podobną zasadą.

— Uważam, że to właściwe podejście. Cameronowie zatrudniają w swojej fabryce ponad trzysta osób, zainstalowali nowoczesne maszyny i stworzyli nie najgorsze warunki pracy. Nie najlepsze, bo to kosztowałyby zbyt drogo, ale na tyle dobre, by nie miały negatywnego wpływu na jakość wyrobów. Rozumie pani, co mam na myśli. Poza tym starają się zachowywać pozory, że dbają o robotników, choć w rzeczywistości nic ich oni nie obchodzą.

Szybko traciłam serce do tej nowej, nigdy dotąd nie widzianej rodziny.

— Rozumiem, proszę pana. Zbyt daleko posunięte skąpstwo może budzić w ludziach odrazę.

— No właśnie, a oni pilnują się, by nie przekroczyć owej granicy. To oni wybudowali miasto, wszystkie budynki wzniesione są na ich ziemi. Zbudowali sklepy, ratusz, domy. Wszystko tam należy do rodziny Cameronów. Każdy budynek, z wyjątkiem jednego czy dwóch, jest wynajmowany od nich. Sami mieszkają w rezydencji na wzniesieniu, z którego rozciąga się widok na całe miasto. Można sobie pomyśleć, że obserwują je przez lornetki. Wszyscy mieszkańcy pracują w fabryce, z wyjątkiem kilku, którzy zatrudnieni są w sklepach lub we władzach miasta. A zwracam pani uwagę na to, że urzędnicy owi są mianowani, a nie wybierani. Nie ma tam burmistrza ani rady miejskiej. Rodzina Cameronów sprawuje władzę absolutną nad miastem i jego mieszkańcami. Każdy zatrudniony płaci czynsz Cameronom, kupuje ubrania w ich sklepach, a żywność na ich bazarach. Płacone przez nich podatki idą na utrzymanie władz miasta. A nazywa się ono Cameron.

— Nazwali je własnym nazwiskiem, które teraz jest również moim? — zdumiałam się. — Muszę się panu przyznać, że nie podoba mi się to wszystko.

Chociaż byłam na to przygotowana, bo Joel mi trochę opowiadał o swojej rodzinie.

— Spodoba się pani jeszcze mniej, kiedy spotka pani tych ludzi i gdy usłyszycie pani, co zamierzają zrobić.

— Wysłałam im depezę, informując o śmierci Joela. Nie odpisali ani słowem.

— Nie jestem tym bynajmniej zdziwiony. Skontaktowali się natomiast ze mną. Loran Cameron, stryj Joela, przyjechał i powiedział, że natychmiast odbierają mi prawo prowadzenia spraw Joela, a pani wypłaca pewną kwotę pieniędzy, aby zaspokoić pani ewentualne roszczenia do jego majątku.

— Wielkie nieba! — wykrzyknęłam zdumiona. — Joel dał mi do zrozumienia, że wszystko, co należało do niego, stanie się moją własnością.

— I tak jest. Ale rodzina Cameronów nie zamierza się z tym pogodzić i będzie próbowała do tego nie dopuścić. Joel to przewidział. Mimo młodego wieku oraz dobrego stanu zdrowia był na tyle mądry, by wiedzieć, że różnie w życiu bywa i na wszelki wypadek poczynił pewne kroki. Udzielił mi pełnomocnictwa na zarządzanie jego częścią rodzinnego majątku w pani imieniu. Nie zgodzimy się na żadne kompromisy. Radzę się pani nie poddawać.

— Ma pan moje słowo, panie Arnold, że nie zamierzam tego czynić. Joel ostrzegł mnie, że będą robili kłopoty. Jestem gotowa podjąć wyzwanie.

— To dobrze. Miałem nadzieję, że posiada pani wystarczająco dużo hartu ducha, by się im przeciwstawić. Nie będzie to łatwe, szczególnie, że znalazła się pani w kraju zupełnie sobie nieznanym, w którym panują zwyczaje trudne czasem do zrozumienia. Ale może pani zawsze polegać na mnie. Otrzymuję wynagrodzenie za służenie pani radą, Maeve, więc proszę nie mieć żadnych oporów, zwracając się do mnie o pomoc. Ale powiedziałem pani to wszystko nie dlatego, że dostaję honorarium, ale przez wzgląd na przyjaźń z Joelem, którego kochałem i szanowałem. Proszę mi powiedzieć, co było powodem jego śmierci? Wiem, że nie należał do ludzi o żelaznej kondycji, ale sądziłem, że cieszy się w miarę dobrym zdrowiem.

— Sama nie wiem, co było przyczyną jego śmierci, panie Arnold. Wrócił z Dublina do domu taki chory, że nie mógł jeść. Położył się do łóżka, ale jego stan

szybko się pogarszał. Mój ojciec był lekarzem i orientuję się, jak postępować w przypadku pospolitych dolegliwości, ale nigdy przedtem nie spotkałam się z czymś podobnym. To miał gorączkę, to mu opadała. Dostał dreszczy, tętno stało się słabe, zapadł w ciężki sen. Wezwałam starego doktora z pobliskiej miejscowości, ale kiedy się pojawił, było już za późno na jakąkolwiek pomoc. Wprawdzie od początku miałam niezbyt wielką nadzieję i wezwałam go w chwili ostatecznej desperacji. Powiedział, że Joel umarł w wyniku zapalenia jelit. Ale lekarze zawsze tak mówią, kiedy nie potrafią określić przyczyny zgonu.

— Podobnie postępują tutaj, tylko podają bardziej wymyślne nazwy. Czy pani też chorowała?

— Nie, nie. Czymkolwiek to było, nabawił się tego w Dublinie. Albo w drodze do domu. Podróż trwa dość długo.

— Rozumiem. No cóż, pora, bym zapoznał panią z kwestiami finansowymi. Jak już powiedziałem, co miesiąc dzielony jest zysk. Zgodnie z wolą swego dziadka Joel otrzymywał jedną trzecią zysków i kontrolował interesy w jednej trzeciej. Ta część testamentu staruszka jest niepodważalna. Nikt nie może tutaj pod żadnym pozorem niczego zmienić. Równie jasno powiedziane jest w nim, że po śmierci Joela jego udziały przechodzą na wdowę po nim lub na ich dzieci. A więc z punktu widzenia prawa, nic pani nie grozi. Nie mogą pani pozbawić ani centa. Mogą próbować panią oszukiwać, ale nie mogą zaprzeczyć, że ma pani prawo do zysków. Czy to dla pani jasne, moja droga?

— Owszem, całkowicie jasne, panie Arnold, i bardzo się cieszę, że mnie pan tak szczegółowo ze wszystkim zapoznał.

— Wspomniała pani, że Joel opowiadał pani o swojej rodzinie?

— Cóż, kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że niezbyt szczegółowo. Nie lubił o niej mówić. Sądzę, że sprawiało mu to ból. Jak pan wie, był człowiekiem prawym i pełnym współczucia dla innych. Martwił się, że jego rodzina pozbawiona jest tych cech.

Pan Arnold skinął głową.

— Powiem pani o nich więcej. Jego ojciec i matka nie byli dobrymi rodzicami. Może nie powinienem tego mówić, ale według mnie tak właśnie jest. Ojciec całą swoją uwagę koncentruje na robieniu pieniędzy, a matka — na życiu towarzyskim. Siostra Joela jest taka jak jego matka. Zresztą czy można mieć o to do niej pretensje, skoro wychowała się w takiej atmosferze? Wyszła za mąż za niejakiego Easterly'ego, Ashleya Easterly'ego, nie dlatego, że się w nim zakochała, ale z uwagi na to, że należy do śmietanki towarzyskiej Bostonu i innych miast. On i jego rodzina są mile widziani w Newport i Saratodze. To kąpieliska, kurorty, do których jeżdżą bogaci, by imponować sobie nawzajem. Starszy brat Joela Abner, podobnie jak Joel zbuntował się przeciwko rodzinie, ale niestety na swój własny sposób. Joel próbował się od nich uwolnić, a Abner potulnie zgadza się na wszystko, nic nie robi i nikt go nie traktuje serio.

— Wydaje mi się, że Joel go lubił — powiedziałam. — Natomiast rzadko wspominał swoją siostrę.

— Nic dziwnego. Poza tym jest jeszcze Marcy Tabor, siostra matki Joela, kobieta elegancka, pedantyczna i zła jak żmija. Znienawidzi panią w chwili, gdy panią zobaczy, bo jest pani atrakcyjną dziewczyną, a ona nigdy nie była ładna. Żyje, korzystając z majątku rodziny. Podobnie jak Loran, stryj Joela, choć każde na inny sposób. Loran jest zdolny do wszystkiego. Jeśli trzeba wyeksmitować jakąś rodzinę, on się tym zajmuje. Jeśli trzeba kogoś wyrzucić z pracy, on to robi. Zarabia na sobie, choć nikt mający choćby odrobinę poczucia własnej godności nie zgodziłby się robić tego co on.

— Niewesoło to wszystko wygląda. Rozumiem, czemu Joel podróżował. Czy to nie zuchwałość z mojej strony sądzić, że nie dam się im zastraszyć?

— Musi pani stawić im czoło. Czy się pani uda wygrać, to inna sprawa. Może potrzebują kogoś takiego jak pani. Proszę pamiętać, należy pani do rodziny. A teraz kilka słów o Cameron...

— Przepraszam, panie Arnold, ale wydaje mi się dziwne nazywać się tak jak miasto.

— Dla Cameronów to normalne, bo to oni nadali miastu taką nazwę. Jak już mówiłem, pojechałem tam, by się rozejrzeć i to, co zobaczyłem, oburzyło mnie do głębi. Jednak prawdopodobnie będzie miała pani niewiele do powiedzenia, jeśli chodzi o prowadzenie interesów. Mogą zawsze panią przegłosować i postawić na swoim. W mieście jest zajazd. Należy do rodziny Cameronów, jakżeby inaczej. Korzystają z niego głównie bawiący przejazdem komiwojażerowie oraz kupcy, którzy przeprowadzają w fabryce kontrole jakości nabywanych towarów. To bardzo przyzwoity zajazd, z ładnymi pokojami i dobrym, wiejskim jedzeniem. Proponuję, by się pani w nim zatrzymała.

— Myśli pan, że będą się chcieli ze mną spotkać? — spytałam.

— Gdyby mieli coś przeciwko temu, proszę im przypomnieć, że do pani, tak jest, do pani należy jedna trzecia majątku. Prawdopodobnie będzie im to musiała pani często przypominać.

— Będę to robiła niechętnie, ale jeśli zajdzie potrzeba, uczynię to. Zamierzam trochę zabawić w tym wielkim mieście, zanim wybiorę się do... jak mam to określać? Dom? To chyba za duże słowo. Może zajazd przydrożny. Tak, to najwłaściwsze określenie. Po przyjeździe napiszę do pana, jak mnie przyjęto. Bo nie tracę nadziei, że zostanę jednak przyjęta.

— W razie jakichś problemów proszę do mnie depeszować.

— Dobrze. Ale po wysłuchaniu pana oraz pamiętając to, co mi powiedział Joel, zastanawiam się, czy mam dosyć siły, by stawić im czoło.

— Uważam panią za osobę mądrą i silną. Tak czy inaczej proszę pamiętać, że jestem gotów podjąć wszelkie niezbędne kroki, by chronić panią i pani interesy, które, zapewniam panią, są dobrze zabezpieczone.

Rozmawialiśmy jeszcze kilka minut, pan Arnold powiedział mi, jakie interesujące miejsca w Nowym Jorku powinnam zobaczyć. Dorożka czekała na mnie. Poprosiłam woźnicę, by zabrał mnie na przejażdżkę, opisując po drodze wszystko, co było godne uwagi. Chłonełam widoki i zachwyciałam się nimi, ale im lepiej poznawałam miasto, tym większym lękiem mnie przejmowało. Na podstawie Nowego

Jorku próbowałam wyobrazić sobie całe Stany Zjednoczone, ten nowy świat pełen życia i energii. Wszyscy wiecznie gdzieś tu gnali na oślep.

Bałam się podróży w rodzinne strony Joela i spotkania z jego krewnymi. Choć nie przyznałabym się do tego panu Arnoldowi, odczuwałam przed nimi lęk, bo wiedziałam, że pieniądze dają władzę, a oni dysponowali olbrzymim majątkiem. Tymczasem ja byłam intruzem, kimś obcym, nie posiadającym smykałki do interesów. Już choćby to stawiało mnie w niekorzystnej sytuacji. Znienawidzą mnie za to, że Joel się ze mną ożenił, i że zapisał mi cały swój udział w interesach, nad którymi chcieli przejąć pełną kontrolę. Będę ich drogo kosztowała i nigdy mi tego nie wybaczą.

Nim nadeszła pora obiadu, byłam tak wykończona, że poprosiłam, by podano mi jedzenie do pokoju. Wniesiono kompletnie zastawiony stół. Jedząc zastanawiałam się, jakie powinnam teraz przedsięwziąć kroki.

Robienie jakichkolwiek planów było niemożliwe. Nie znałam wyniku mego spotkania z rodziną Joela, więc mogłam sobie zaplanować czas tylko do dnia przyjazdu do Cameron. Zatrzymam się w zajezdzie, obejrzę miasto, by choćby z grubsza się z nim zapoznać. Może to pozwoli mi lepiej ich zrozumieć. Dopiero potem udam się na spotkanie z Cameronami. Jeśli wcześniej dowiedzą się o moim przyjeździe do miasta, to bardzo dobrze. Jeśli będą sobie życzyli, mogą mi złożyć wizytę, ale sądziłam, że byłoby to znacznie poniżej ich godności.

Nazajutrz zajęłam się jedną ważną sprawą. Naradziwszy się uprzednio telefonicznie z panem Arnoldem, udałam się do największego banku w pobliżu hotelu i wynajęłam sejf, w którym złożyłam naszyjnik. Zwierciadło postanowiłam cały czas mieć przy sobie. Kiedy moja bezcenna scheda została właściwie zabezpieczona, poczułam się znacznie lepiej.

Pan Arnold załatwił mi bilety do Bostonu w wagonie pulmanowskim. Dalej mogłam jechać jedynie okopconymi wagonami, ciągniętymi przez dymiący parowóz. Podróż do Bostonu przez ruchliwe miasta i senne miejscowości była bardzo interesująca. Pociąg jechał z oszałamiającą prędkością, ale wkrótce zorientowałam się,

że jazda jest zupełnie bezpieczna. Nawet przespałam się w małym przedziale, który miałam do swojej wyłącznej dyspozycji. Miejsce do siedzenia można było przystosować do leżenia, a do malutkiej łazienki doprowadzono nawet gorącą wodę. Szybko uczyłam się, jak korzystać z wygód dostępnych ludziom bogatym.

W Bostonie zobaczyłam niewiele, tyle co podczas przejazdu z jednego dworca kolejowego na drugi. Bagaż, z wyjątkiem tego, który zabrałam ze sobą, miał być przesłany z mojego nowojorskiego hotelu później. Ze sobą wzięłam niewiele rzeczy, bo nie wiedziałam, czy zostanę w Cameron jeden dzień, czy też całe życie.

*

Pociąg, w skład którego wchodziły tylko dwa wagony, jechał przez tereny rolnicze i lasy, robiąc dużo hałasu i wypuszczając kłęby dymu. Podróż do Cameron trwała niemal cały dzień i kiedy w końcu wysiadłam, byłam zupełnie zesztywniała.

Stacja znajdowała się na południowym krańcu miasta. Rozciągało się ono na skraju płaskiej równiny, która wznosiła się początkowo łagodnie, a potem dość gwałtownie. Na szczycie wzgórza mieściła się siedziba Cameronów. Z miejsca, w którym znajdowała się stacja, trudno było się zorientować w topografii miasta, ale wiedziałam, że właśnie tu urodził się i dorastał Joel. Stąd uciekł w świat.

W promieniach popołudniowego słońca, przenikających przez klony i wiązy rosnące wzdłuż wszystkich ulic, miasto sprawiało na pierwszy rzut oka przyjemne wrażenie. Dopiero kiedy przyjrzałam mu się bliżej, dostrzegłam, że domy są szare, wzniesione zbyt blisko jeden drugiego, z niewielkimi podwórkami, odgrodzonymi krzywymi płotami z drewnianych, spiczasto zakończonych kołków. Przynajmniej takie sprawiały wrażenie na mnie, osobie przyzwyczajonej do solidnych murków z kamieni, które mogły przetrwać stulecia.

Od prostej jak strzała głównej ulicy odchodziły w regularnych odstępach przecznice, jakby całe miasto zostało wzniesione na potężnej szachownicy wyrysowanej za pomocą linijki. Jedynie samo centrum wprowadzało nieco urozmaicenia.

Niosąc dwie torby, które wcale nie były takie lekkie, wolno dotarłam do owego

centrum. Tam, naprzeciwko kościoła z wieżą, ujrzałam świeżo pomalowany piętrowy budynek z identyczną wieżą. Tablica nad wejściem informowała, że mieści się tu ratusz. Po obu stronach ulicy znajdowały się sklepy: spożywczy, mięsny, z konfekcją męską i osobno z damską, salon modniarski, sklep bielizniarski, kuźnia, stajnia, apteka, która wywołała we mnie smutne wspomnienia o ojcu. I zajazd. Nad wejściem był napis z wypalonych liter: ZAJAZD CAMERON. Jakżeby inaczej mógł się nazywać, pomyślałam.

Byłam jeszcze w pewnej odległości od zajazdu, kiedy w jego drzwiach dostrzegłam bosego chłopca, mniej więcej dwunastoletniego. Przyglądał mi się nieśmiało. Skinęłam mu, a on zbliżył się do mnie z lekkim ociąganiem.

— Zapłacę ci, jeśli zaniesiesz moje torby do zajazdu — powiedziałam.

— Tak, proszę pani — odpowiedział i wziął jedną z moich waliz, co przyjął westchnieniem ulgi.

— Jak ci na imię, chłopcze? — spytałam.

— Eddie. Zabawnie pani mówi.

— To prawda, chociaż mnie wydaje się, że to ty zabawnie mówisz. Więc pośmiejmy się z siebie nawzajem, co?

Próbował zachować poważną minę, ale kiedy wybuchnęłam śmiechem, poszedł za moim przykładem. Poczul się wyraźnie swobodniej i pomyślałam, że znalazłam w nim przyjaciela.

— Nie musi mi pani płacić — powiedział. — Tata mówi, że kobietom trzeba zawsze pomagać.

— To bardzo ładnie z jego strony, Eddie, ale ja płacę za wyświadczone mi przysługi. Kiedy postawisz te torby w zajazdzie, otrzymasz... jak to nazywacie? — Otworzyłam torebkę i wyciągnęłam monetę.

— To półdolarówka! — wykrzyknął, a oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia.

— Zgadza się. W mojej ojczyźnie monety mają inne nazwy, ale myślę, że można za nie kupić mniej więcej to samo. Jeśli ma się ich wystarczająco dużo. Proszę,

należy do ciebie.

— To pierwsza półdolarówka w moim życiu — powiedział.

— Tak? Może zarobisz drugą, jeśli znów będę potrzebowała twojej pomocy. A teraz bardzo ci dziękuję.

Zapłaciłam mu już wewnątrz zajazdu. Chłopiec wybiegł, ściskając monetę, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że należy do niego. Mężczyzna w średnim wieku spojrzał na mnie z uwagą, a zarazem podejrzliwie.

— Czy zamierza się pani u nas zatrzymać? — spytał.

— A co bym tu robiła, gdybym nie zamierzała się zatrzymać, proszę pana? Poproszę o najlepsze pokoje, jakimi dysponujecie. Dwa, połączone bezpośrednim przejściem.

— Czy... czy przyjechała tu pani w interesach?

— Tak. W bardzo ważnych interesach.

— Przyjechała pani coś kupić! Jest pani kupcem i podejrzewam, że z zagranicy. Po raz pierwszy fabryka ma klienta z Europy. I do tego kobietę! Czy dobrze się domyśliłem?

— Częściowo — odparłam wymijająco. — Mogę zatrzymać się dłużej, jeśli będą mi odpowiadały pokoje i jedzenie.

— Mamy bardzo dobre pokoje, szczególnie dla klientów fabryki. Traktujemy ich wyjątkowo. Pan Cameron mówi, że nie ma ważniejszej osoby niż kupiec, więc otrzyma pani najlepsze pokoje. Będę wdzięczny, gdy wspomni pani o tym panu Cameronowi, kiedy go pani zobaczy.

Bez słowa skinęłam głową.

Zaniósł mój bagaż do apartamentu na pierwszym piętrze, zarazem najwyższym piętrze zajazdu. Pokoje okazały się zdumiewająco duże i ślicznie umeblowane. Nie mogły się równać standardem z pokojami w Waldorf-Astorii, ale trudno było tego wymagać, bo opłata wynosiła ułamek tej, której żądano w Nowym Jorku.

Zostawił mnie samą, z góry się ciesząc, że pochwalę go przed panem Cameronem. Zdjęłam kapelusz oraz rękawiczki i usiadłam w bujanym fotelu, który

stał w pobliżu okna wychodzącego na ulicę.

Ledwo się usadowiłam, gdy panującą ciszę rozdarł przeraźliwy ryk syreny. Na jej dźwięk aż podskoczyłam. Spojrzałam na zegarek. Wskazywał szóstą. Wyrzłam na ulicę i w głębi, tam, gdzie wznosił się długi niski budynek, w którym musiała się mieścić fabryka, ujrzałam procesję ludzi w roboczych ubraniach.

Za nimi pojawiła się druga grupka; przesuwała się wolniej, jakby tworzący ją ludzie byli bliscy wyczerpania. Początkowo nie mogłam dojrzeć, kto tam idzie, dopiero kiedy zbliżyli się, zobaczyłam, że to szły dzieci, zarówno chłopcy, jak i dziewczynki; niektóre wyglądały na nie więcej jak dziesięć, jedenaście lat.

Tłum topniał w miarę, jak poszczególne osoby kierowały się do swych domów i w ciągu jakichś dziesięciu minut ulica znów opustoszała. Przypomniałam sobie, jak Joel opowiadał mi, że w fabryce zatrudniano przy lżejszych pracach dzieci, ale na ich widok ogarnęły mnie wątpliwości, czy praca rzeczywiście jest lekka, a już z pewnością kazano im pracować zbyt długo.

Wprawdzie w mojej rodzinnej wiosce dzieci też wcześniej zaczynały pracować, ale jednocześnie uczyły się, a w polu pomagały dopiero po szkole. Poza tym żadnego z nich nie zmuszano do pracy ponad siły, co bez wątpienia było udziałem tych, które przed chwilą widziałam. Przypomniałam sobie również, jak Joel mówił, że to powszechna praktyka w całych Stanach.

Przez zamknięte drzwi dobiegł mnie wyraźny dźwięk dzwonka. Pomyślałam, że to sygnał, iż nadeszła pora kolacji. Przebrałam się w skromną suknię, nie chcąc skupiać na sobie uwagi pozostałych gości.

Kiedy schodziłam do jadalni, ogarnęło mnie przejmujące uczucie osamotnienia. Zawsze u swego boku miałam mężczyznę. Najpierw ojca, który nauczył mnie jak dbać o chorych i niedomagających; potem mego ukochanego Joela, który podbił moje serce i którego gorącą miłością tak krótko się cieszyłam. Powstrzymałam napływające łzy. Nie mogłam sobie pozwolić na luksus rozczulania się nad sobą. Musiałam się nauczyć żyć ze swoją samotnością. Podczas podróży nie przychodziło mi to tak trudno, ale teraz znalazłam się w mieście, w którym urodził się i wzrastał Joel, więc

ból oraz smutek, które mną owładnęły po jego śmierci, powróciły z całą mocą.

Posadzono mnie przy pustym stoliku. W sali było tylko kilku gości i domyśliłam się, że niektórzy z nich byli mieszkańcami miasta. Prawdopodobnie jacyś urzędnicy miejscy lub ważne osoby z fabryki. Pozostali to przejezdni komiwojażerowie, którzy zatrzymali się, by sprzedać swoje towary właścicielom sklepów, a może nawet dostarczyć je fabryce.

Byłam obiektem powszechnego zainteresowania. Udawałam, że nie widzę, jak goście spojrzeli na mnie, kiedy pojawiłam się na sali. Wyobrażałam sobie domysły, jakie snuto na temat mojej osoby i jeśli rzeczywiście jestem kupcem, jaka firma okazała się tak lekkomyślna, by wysłać kobietę do załatwienia tego typu interesów.

Jedzenie podano wyśmienite. Proste, takie, do jakiego przyzwyczaiałam się i pierwszej jakości. Wołowina była krucha, warzywa chrupiące i świeże. Na deser podano szarlotkę, lepszą od tej, którą jadłam w Waldorf-Astorii. Jeśli będę musiała zatrzymać się w owym zajęździe dłużej, przyjdzie mi to z łatwością.

Rozkoszowałam się kawą i w pewnym momencie skierowałam wzrok w stronę szerokich drzwi prowadzących do holu. Mignęła w nich sylwetka jakiegoś mężczyzny. Ujrzałam go zaledwie przelotnie, ale na jego widok doznałam prawdziwego wstrząsu. Wstałam nie zdając sobie sprawy z tego, co robię. Profil właśnie tego mężczyzny ukazał mi się kiedyś w zwierciadle. To jego twarz pojawiła się w miejscu podobizny Joela.

Pośpieszyłam do holu. Starszy recepcjonista siedział za biurkiem i wypełniał jakieś księgi. Podeszłam do niego.

— Przepraszam pana, ale przed chwilą przechodził tędy pewien mężczyzna. Może udał się na górę. Przypominał mi kogoś znajomego. Czy widział go pan?

— Nikt tędy nie przechodził, proszę pani. Nikt. Widziałbym przecież. A nie zauważyłem ani żywej duszy.

— Przepraszam — powiedziałam. — Widocznie przywidziało mi się. Dziękuję panu.

Nie wróciłam do jadalni, tylko poszłam na górę. Korytarz był pusty. Idąc wolno

w stronę swojego pokoju nasłuchiwałam, ale do moich uszu nie dobiegł żaden dźwięk. Czy naprawdę było to tylko przywidzenie?

Kiedy znalazłam się w swoim apartamencie, wyciągnęłam zwierciadło z jednej z walizek, którą trzymałam zamkniętą na kluczyk. Odwinęłam je i podkręciłam knoty obu lamp stojących na komodzie, by mieć jak najwięcej światła. Następnie nachyliłam zwierciadło.

— Jestem w kraju zupełnie mi nieznanym — szepnęłam. — Nie wiem, czy zwierciadło zachowało swoją czarodziejską moc. Ujrzałam w nim kiedyś mężczyznę, którego później spotkałam i poślubiłam. Wiem teraz, że gdy jego obraz w zwierciadle zniknął, była to przepowiednia jego śmierci. Tak jak wzburzone morze było zapowiedzią śmierci mego ojca. Zwierciadło ukazało mi również twarz innego mężczyzny, którego dotychczas nie spotkałam. Jego podobiznę ujrzałam w zwierciadle już dawno temu, ale dobrze ją sobie zapamiętałam. Kilka minut temu byłam pewna, że zobaczyłam mężczyznę przypominającego osobę ze zwierciadła. Zniknął jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Chciałabym ponownie ujrzeć w zwierciadle jego twarz, żebym nie miała wątpliwości, że to ta sama osoba, która przemknęła przez hol.

Wymawiając te słowa nie patrzyłam w lustro. Dopiero gdy umilkłam, spojrzałam w zwierciadło, przechylając je lekko, by lepiej widzieć. Ujrzałam ten sam profil. Ten sam, który widziałam kiedyś w Irlandii, a później na pokładzie statku. Ten sam, który mignął mi w drzwiach jadalni.

Obraz pojawił się, a po chwili zniknął, ale to wystarczyło, bym wiedziała, że zwierciadło zachowało swoje czarodziejskie właściwości i że pamięć mnie nie myliła względem tego profilu.

Owinęłam ponownie cenny przedmiot i schowałam go z powrotem do walizki, którą następnie zamknęłam na kluczyk, choć byłam pewna, że nie ma potrzeby chronić go bardziej tu, niż chroniałam go w Mayo. Jednak zwierciadło było dla mnie tak bezcenne, że nie chciałam niepotrzebnie ryzykować.

Byłam zmęczona długą podróżą. O dziewiątej już leżałam w łóżku, a dziesięć minut później spałam jak suseł. I dobrze się stało, bo nazajutrz o szóstej rano gwizd syreny fabrycznej wyrwał mnie z głębokiego snu. Zerwałam się, zastanawiając się gdzie jestem i cóż takiego mnie obudziło.

Podeszłam do okna i przez koronkową firanę obserwowałam procesję zmierzającą tym razem w przeciwnym kierunku, w stronę fabryki. Zdałam sobie sprawę z tego, że ci ludzie pracują od szóstej do szóstej. Nie pozostawało im zbyt wiele czasu na cokolwiek innego.

Wróciłam do łóżka i próbowałam jeszcze usnąć, bo zależało mi na tym, by być dziś w jak najlepszej formie. Za parę godzin miałam po raz pierwszy ujrzeć krewnych Joela i chciałam podczas tego spotkania zachować czujność i być dobrze przygotowana na ewentualne niespodzianki. Jednak dalszy sen okazał się niemożliwy. Wstałam więc i wykapałam się, a dodatkowy czas poświęciłam na wybór kreacji. Zdecydowałam się na prostą czarną suknię. Na śniadanie zeszłam późno. Posiłek był równie obfity i wyborny co kolacja. Ponieważ za bardzo się najadłam, postanowiłam przed spotkaniem z rodziną Cameronów wybrać się na spacer.

*

Szłam spokojną, zacienioną ulicą. Nieco farby i drobne remonty znacznie poprawiłyby wygląd domów. Podwórka były czyste, trawniki zadbane, a płoty utrzymane w dobrym stanie. Za domami widoczne były małe ogródki, w których uprawiano kwiaty i warzywa. Na sznurach do bielizny powiewało lekko w porannym wietrzyku pranie. Mieszkańcy miasteczka wcześniej zabierali się do pracy.

Na ulicach było jeszcze pusto. Spacerkiem doszłam do samej fabryki. Oceniałam, że budynek ma przynajmniej osiemset metrów długości, ciągnął się wzdłuż rzeki, która w tym miejscu ostro zakręcała, omijając miasto. To wyjaśniało, czemu przedtem jej nie widziałam. Ciekawa byłam, czy owa zmiana kierunku nurtu uczyniona była ludzką ręką.

Dobiegały mnie odgłosy maszyn, ale nie słyszałam gwaru rozmów. Sprawiało to niesamowite wrażenie. Jakbym znalazła się w okolicy zamieszkaną przez

niewidzialne istoty, które bez pamięci oddają się pracy.

Ruszyłam w drogę powrotną. Na myśl o wizycie u Cameronów czułam coraz większy lęk. Wysoko nad fabryką, na wzgórzu widoczna była ich ponura i odpychająca siedziba. Wiedziałam już, że zamieszkujący ją ludzie nie powitają serdecznie dziewczyny z hrabstwa Mayo, która poślubiła ich syna, a po jego śmierci odziedziczyła znaczącą część rodzinnego majątku. Na pewno będą kłopoty i bałam się, bo byłam młoda i zupełnie nie znałam kraju i panujących w nim zwyczajów. Nie miałam czasu na zapoznanie się z miejscowymi obyczajami. Czułam się jak dziecko, które ma się spotkać z wielkoludami.

Uważnie się rozglądałam, czy przypadkiem nie ujrzę mężczyzny, który przypominał mi postać widzianą w zwierciadle.

Był to jeszcze jeden problem, który nie dawał mi spokoju. Co znaczyło jego pojawienie się w zwierciadle? Jaką rolę odegra w moim życiu? Czy on w ogóle istnieje? Przypomniałam sobie, że recepcjonista w zajeździe zaprzeczył, by ktokolwiek przechodził przez hol. A mimo to trudno mi było uwierzyć, że miałam przywidzenie.

Zatrzymałam się obok budynku z kuźnią, stajnią i sklepem z uprzężami, przed którym stał starszy jegomość. Cichym głosem zaoferował mi wynajęcie powozu w dobrym stanie i łagodnego konia. Nie pytał, kim jestem ani gdzie mieszkam. Podejrzywałam, że wszyscy już wiedzieli, że do miasta przyjechała jakaś nieznajoma, zatrzymała się w zajeździe i najprawdopodobniej ma do załatwienia jakieś interesy z właścicielami fabryki.

Wróciłam do zajazdu powozem i udałam się do swego pokoju, by się nieco odświeżyć. Po chwili zeszłam na dół i zebrałam się w sobie przed oczekującym mnie wkrótce spotkaniem. Ciekawa byłam, czy Cameronowie już wiedzieli, że jestem w mieście, a jeżeli tak — jak na to zareagowali. Cóż, wkrótce się wszystkiego dowiem.

Nie tknęłam nawet bata. Byłam nawet zadowolona, że koń posuwa się zółwim krokiem. Nigdy nie śpieszyłam się mniej niż teraz. Im bliżej byłam posiadłości Cameronów, tym wydawała mi się ona potężniejsza. Gdybym w Nowym Jorku nie

oglądała granitowo-marmurowych siedzib bogaczy, byłby to największy i najwytworniejszy budynek, jaki kiedykolwiek widziałam. Ale i tak wywarł na mnie spore wrażenie.

Na samym szczycie wzgórza droga opadała lekko w dół, w stronę parku i rozległego domu. Znajdowało się tu również kilka mniejszych budynków. Wszystkie z wyjątkiem jednego wznosiły się po drugiej stronie drogi. Jak się później dowiedziałam, były to tak zwane oficyny, w których mieszkała służba. Natomiast kwadratowa przeszklona budowla, zwieńczona miniaturową wieżą, była altaną. Niejasno przypomniałam sobie, jak Joel mówił o mniejszym domku, służącym dzieciom jako miejsce zabaw.

Sama siedziba Cameronów zdumiała mnie swą wielkością i dziwnym kształtem. Główny jej trzon tworzył wielki piętrowy budynek kryty gontem, z szerokimi marmurowymi schodami w kształcie wachlarza, prowadzącymi na marmurowy otwarty ganek. Z jednej strony budynek kończyła okrągła przeszklona konstrukcja, częściowo porośnięta bluszczem. Nigdy przedtem nie widziałam czegoś podobnego i nie miałam pojęcia, do czego może służyć. Posiadała wieżyczki i kopuły, małe, wygięte werandy, wielkie, szerokie okna. Ta część budynku sprawiała wrażenie starszej od reszty, jakby pozostałą dobudowano później. Ta nowsza część, wzniesiona z kamienia i drewna, posiadała równie bogate zdobienia i nieużyteczne werandy. Ze stromej dachu sterczały kominy.

Jeśli wejście miało imponować, rzeczywiście spełniało tę rolę. Serce zaczęło mi walić ze strachu, kiedy wysiadłam z powozu i wolno ruszyłam w stronę marmurowych schodów. Nikt nie wyszedł mi na spotkanie. W głębi duszy łudziłam się nadzieją, że ktoś się pojawi.

Miałam ogromną ochotę zawrócić, wsiąść do powozu, pojechać do hotelu, spakować swoje rzeczy i opuścić to miasto, którego nazwa brzmiała identycznie jak moje nazwisko. Myślę teraz, że to pamięć o Joelu dodała mi sił. Weszłam po schodach. Moje obcasy stukały lekko o marmur, co dodatkowo wzmagало moje zdenerwowanie. Stałam przed masywnymi drzwiami z olbrzymią mosiężną kołatką

w kształcie głowy lwa. Po obu stronach wejścia znajdowały się wysokie wąskie okna, przez które — bez wątpienia — uważnie i krytycznie mnie obserwowano.

Ujęłam kołatkę, zawahałam się, a potem zbierając całą swoją odwagę, zastukałam. Na jej dźwięk aż drgnęłam. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i w progu ujrzałam kobietę o srogiej twarzy, ubraną w szarą suknię; ciemne włosy ściągnięte miała do tyłu. Spojrzała na mnie zza małych okularów w drucianej oprawce.

— Słucham? — odezwała się, traktując mnie jak komiwojazerkę.

— Jestem Maeve O'Hanlon Cameron — powiedziałam.

Głos mi nie zadrżał, choć w środku cała dygotałam.

Nie odpowiedziała, tylko odsunęła się, by zrobić mi przejście. Weszłam do szerokiego długiego holu, w którym wisiały dwa olbrzymie żyrandole Waterforda. Wiedziałam, że warte są majątek. Wzdłuż ścian stały cztery krzesła o wysokich oparciach, obite ciemnoczerwonym aksamitem, i mała, dwuosobowa kanapka. Na podłodze leżał gruby bordowy dywan.

Kobieta zamknęła drzwi, minęła mnie i zdała mi znak, bym poszła za nią. Zaprowadziła mnie do pokoju, który był większy niż sześć czy siedem izb z chat w hrabstwie Mayo razem wziętych.

Stało w nim dosyć mebli, by móc urządzić wszystkie te izby, ale były zbyt wielkie i bogato zdobione, by mogły pasować do wiejskich wnętrz. Po obu stronach olbrzymiego kominka z białego marmuru wisiał szereg portretów olejnych naturalnej wielkości. Jeśli przedstawiały dawnych i obecnych Cameronów, rzeczywiście było ich bardzo wielu i wyglądali wspaniale. Wśród nich nie dostrzegłam podobizny Joela.

Po chwili zdałam sobie sprawę, że zostałam sama. Kobieta, która mnie wpuściła do środka, była widocznie służącą. Usiadłam z gracją, na wypadek, gdybym była obserwowana z jakiegoś ukrytego miejsca. Czułam się niepewnie i uświadomiłam sobie, że stopy opieram mocno na podłodze, tak, bym w razie potrzeby mogła szybko wstać i uciec. Zawstydziłam się swego tchórzostwa i pomyślałam o Joelu.

Wiedziałam teraz, co miał na myśli mówiąc mi kiedyś, że nie lubi tego domu.

Na pewno świadczył o bogactwie jego mieszkańców. Urządzony był z przepychem, wszystko w nim miało zapewniać komfort, ale panował tu chłód. Odnosiłam wrażenie, że w każdej chwili ściany runą, miażdżąc mnie pod swym ciężarem.

Do pokoju weszły dwie osoby. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby ich pojawieniu się towarzyszyło bicie w werble. Mężczyzna był drobnej budowy ciała, podobnie jak Joel. Zaczynał łysieć, ale włosy zachowały pierwotny, ciemnobrązowy kolor. Miał dość pociągłą twarz, choć twarz jego żony była jeszcze szczuplejsza. Bo razem z nim pojawiła się kobieta. Wystarczyło tylko rzucić na nią okiem, by domyślić się, że jest we wszystkich sprawach bezkompromisowa, uparta, że wszystko musi się odbywać według jej woli i niech Bóg ma w opiece tych, którzy ośmieliliby się jej sprzeciwić, nie wyłączając towarzyszącego jej mężczyzny. Mężczyzna przemówił pierwszy.

— Jestem Gabriel Cameron, a to moja żona Evelyn. Jesteśmy rodzicami Joela. Proszę nie wstawać.

Uniosłam się, by ich powitać, ale na jego słowa ponownie usiadłam. W miejsce strachu pojawiła się ciekawość.

— Postanowiliśmy wypłacić pani pięć tysięcy funtów szterlingów — powiedziała kobieta. — Czek zostanie pani doręczony w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Otrzyma go pani pod warunkiem, że wyjedzie pani stąd i wróci do Irlandii, gdzie jest pani miejsce. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

— Owszem — odparłam wolno. — O ile dobrze rozumiem język angielski, wyraziła się pani absolutnie jasno.

— W zamian za czek będzie pani musiała podpisać pewne dokumenty, które za chwilę przyniesie mój szwagier.

— Czy mogę spytać cóż to za dokumenty? — zwróciłam się do niej.

— Dotyczą zrzeczenia się wszelkich roszczeń do majątku mojego syna. Nie ma pani do niego żadnych praw. Wypłacimy pani tę olbrzymią sumę z czystej dobroci naszych serc i by uniknąć dalszych komplikacji.

— Jestem w posiadaniu testamentu sporządzonego przez Joela — powiedziałam. — Zapisał mi cały swój majątek, bez żadnych ograniczeń. Powiedziano mi, że

testament jest niepodważalny.

— Czy mogę go zobaczyć? — spytała matka Joela.

Otworzyłam torebkę i wyjęłam złożony dokument. Wzięła go ode mnie, ale nawet na niego nie spojrzała, tylko zacisnęła na nim kurczowo obie ręce, jakby się spodziewała, że będę go chciała jej wyrwać.

— Na lewo od pani jest biurko — powiedziała. — Może pani z niego skorzystać, by podpisać dokumenty, zgodnie z którymi zrzeknie się pani majątku

— Nie zrobię tego — oświadczyłam.

Głos mógł mi zadrzeć, nawet załamać się, ale nawet końmi nie zawlekliby mnie do tego biurka. Byłam śmiertelnie przerażona, lecz nie miałam zamiaru się poddać.

— Odmawia pani podpisania dokumentów? — spytał ojciec Joela.

— Tak, proszę pana, właśnie to mam na myśli.

Trudno mi było uwierzyć, że owe słowa przeszły mi przez gardło. Że zgodnie z radą pana Arnolda nie dałam się zastraszyć tym ludziom.

— Ile pani chce? — spytał.

— Chcę tylko tego, co już jest moje, ani centa mniej i ani centa więcej.

— Czyli postanowiła pani sprawiać trudności. Cóż, my również potrafimy być nieprzyjemni — powiedziała pani Cameron.

— Nie będę się z panią spierała. Wszystkie przykre sprawy załatwia za nas Loran, brat mojego męża.

— Pani Cameron — powiedziałam zdecydowana dać jej jedną szansę ujawnienia instynktu macierzyńskiego — czy nawet nie chce pani usłyszeć, jak umarł pani syn? Jak się poznaliśmy? Jak wyglądał nasz ślub?

— Mój syn nie żyje — odparła lodowatym tonem. — Rozmowa o nim nie wskrzesi go. Pani osoba nie interesuje ani mnie, ani mojego męża, ani żadnego członka naszej rodziny. Jest pani zwykłą łowczynią fortun.

Ścisnęła ramię swego męża i oboje opuścili pokój tak, jak do niego weszli. Zimni, wojowniczy, wyniośli.

Byłam zbyt oszołomiona, by wpaść w gniew. Ale jeszcze go poczuję, a wtedy

— wiedziałam to — będę równą im partnerką. Po ich wyjściu do pokoju wszedł żwawym krokiem wysoki szczupły mężczyzna, który był bardziej podobny do Joela niż Gabriel Cameron; w ręku trzymał jakieś dokumenty. Zachowywał się mniej sztywno, ukłonił się nawet lekko na mój widok, po czym usiadł naprzeciwko mnie.

— Nazywam się Loran Cameron, jestem stryjem Joela — przedstawił się. — O ile dobrze zrozumiałem, odrzuciła pani bardzo szczodłą propozycję.

— Zgadza się, proszę pana — odparłam. — Była to nieludzka propozycja, jeśli mogę tak powiedzieć.

— Oświadczyła pani również, że zamierza domagać się od nas, byśmy uznali testament Joela, w którym zapisał ani cały swój majątek.

— Owszem, zamierzam tak uczynić, bo mam do tego pełne prawo.

— Rozumiem. Ale to pani tak twierdzi. — Wyciągnął spośród dokumentów testament Joela i zaczął go przeglądać.

— Sądzę, że zna pan jego treść — powiedziałam. — I prawdopodobnie wie pan, co przed chwilą zostało powiedziane w tym pokoju.

Podarł testament na kawałki i rzucił je na dywan. Wpatrywałam się w nie, a on oświadczył:

— Proszę mi pozwolić powiedzieć sobie, co się stanie, kiedy będzie pani próbowała z nami walczyć. Wywieziemy panią z tego miasta. Wstrzymamy wypłatę wszystkich kwot, które będą się pani należały, dopilnujemy, by nie wiedziała pani nic z tego, co się tyczy fabryki. Zwrócimy się do urzędu imigracyjnego z wnioskiem, by panią deportowano jako osobę niepożądaną. Zadbamy o to, by pozostała pani bez środków do życia i jeśli nie podpisze pani tych dokumentów teraz, już nigdy nie zaproponujemy pani ani złamanego centa.

Wstałam wolno, poprawiłam rękawiczki i przemówiłam spokojnym głosem:

— Proszę się z tym zwrócić do pana Paula Arnolda, adwokata z Nowego Jorku. On prowadzi wszystkie moje sprawy.

— Paul Arnold jest adwokatem nowojorskim i nie ma licencji na prowadzenie praktyki w Maine — powiedział Loran. — Tutaj nie może pani pomóc. Ani trochę.

— Przekonamy się, panie Cameron.

Minęłam go, opuściłam pokój i skierowałam się w stronę drzwi. Ruszył za mną. Ponieważ w holu nie było nikogo ze służby, by otworzyć mi drzwi, sama to zrobiłam.

Stojąc na progu odwróciłam się i spojrzałam na Lorana Camerona.

— Testament, który pan zniszczył, był tylko kopią. Oryginał przechowuje pan Arnold. Czy myślał pan, że jestem taka głupia, by wręczyć wam oryginał?

Podeszłam do stojącego powozu, wsiadłam i odjechałam. Póki droga wznosiła się lekko, trzymałam głowę prosto, ale kiedy tylko trakt zaczął opadać, zatrzymałam powóz, wyciągnęłam chusteczkę i rozplakałam się. Nie były to łzy złości ani strachu, lecz współczucia dla Joela, że musiał żyć z takimi ludźmi. Dziwiłam się, skąd znalazło się w nim tyle miłości i zrozumienia dla innych.

Musiałam się jeszcze spotkać z siostrą Joela, jego bratem i ciotką, ale jeśli mieszkali w domu rządzonym przez takich ludzi, wcale mnie nie pociągała perspektywa ujrzenia ich. Nie wiedziałam, co zrobić. Będę musiała poczekać, by się przekonać, jak się to wszystko skończy. Po pierwsze muszę poinformować pana Arnolda o propozycji, którą mi złożyli, a także o ich pogroźkach. Perspektywa deportowania zaniepokoiła mnie, bo nie znałam się na przepisach imigracyjnych. Ludzie tacy ważni i wpływowi mogli mieć władzę. Pieniądze czynią cuda tutaj, w Irlandii, wszędzie. Ci ludzie potrafią szkodzić, potrafią zastraszyć ludzi, by postawić na swoim. Będę musiała polegać na panu Arnoldzie i byłam pewna, że mi pomoże. Na razie postanowiłam pozostać w Cameron. Życie tutaj mogło być samotne, ale śmierć ojca, a później Joela nauczyła mnie, jak znosić samotność.

Zastanawiałam się, czy uda mi się pokonać Gabriela i Evelyn Cameronów.

Pojechałam do stajni i chciałam zapłacić stajennemu za wynajęcie powozu na cały tydzień.

— Należy się pięćdziesiąt centów — powiedział dość zakłopotany.

— Cóż, to bardzo niewiele. Chcę zapłacić za cały tydzień...

— Proszę zapłacić tylko za dziś — powiedział. — Jutro nie będę miał tego powozu, proszę pani.

— W takim razie wynajmę go znów pojutrze, ale chciałabym już teraz prosić o jego zarezerwowanie...

— Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe, proszę pani.

— Czy to znaczy, że nie będę mogła ponownie wypożyczyć powozu?

— Jeśli akurat wszystkie będą wypożyczone...

Poszłam do zajazdu nieco zaintrygowana. Pomyślałam sobie jednak, że widocznie stajnia ma tylko dwa, trzy konie i pogodziłam się z tym, że muszę liczyć na szczęście, jeśli będę chciała ponownie wypożyczyć powóz. Albo kupić bryczkę i konia. Z pewnością było mnie na to stać.

Byłam już przy schodach do pokoi, gdy recepcjonista zawołał mnie i podał mi rachunek za nocleg.

— Zamierzam płacić raz na tydzień — wyjaśniłam mu.

— Proszę pani, przez następne dwa tygodnie mamy komplet gości.

Nagle wszystko stało się jasne.

— Rozumiem. Widzę, że policzył mi pan również za dziś, zakładam więc, że mogę pozostać tu jeszcze tę noc.

— Naturalnie, proszę pani.

— Bo dopiero jutro będzie jakiś pociąg?

— Cóż, to prawda, że dziś nie ma już pociągu, ale miło nam będzie, jeśli spędzi pani z nami jeszcze...

— Dziękuję — powiedziałam. — Jestem panu wielce zobowiązana za życzliwe słowa.

Odwrócił się tyłem do mnie. Zastanawiałam się, w jaki sposób Cameronowie tak szybko skontaktowali się z tymi ludźmi. Wyszłam z zajazdu i ruszyłam szybkim krokiem na stację. Tam napisałam telegram do pana Arnolda, w którym poinformowałam go, że uniemożliwiono mi dalszy pobyt w Cameron i że mi grożono. Przekazałam treść depeszy telegraficznie, który odczytał ją, zsunął swój zielony daszek na tył głowy i spojrzał na mnie.

— Będzie to panią kosztowało dwa dolary i siedemdziesiąt centów. To długi

telegram.

Dałam mu pieniądze. Kiedy się odwrócił, powiedziałam:

— Będę stała przy okienku, podczas gdy pan będzie wysyłał depeszę. Jeśli pan tego nie zrobi, natychmiast zgłoszę skargę do dyrekcji kolei. Jestem przekonana, że mają nieco więcej władzy niż Cameronowie. Czy mnie pan rozumiał?

— Tak, proszę pani — powiedział. — Zaraz nadam depeszę.

— Mam zamiar poczekać na odpowiedź.

Bąknął coś, ale podszedł do stołu, na którym stał telegraf i zaczął wystukiwać treść depeszy. Słuchałam, jakbym rozumiała, co wysyła. Spojrzał na mnie, westchnął głęboko i kontynuował przekazywanie wiadomości.

Półtorej godziny później przyszła odpowiedź od pana Arnolda.

ZAANGAŻOWAŁEM ELIASA BLAKELY ADW Z PORTLAND STOP
POINFORMUJĘ CAMERONÓW I INNYCH STOP PROSZĘ SIĘ NIE
PODDAWAĆ

Telegrafista odbierał kolejne depesze i zapisywał je pośpiesznie. Było ich kilka. Nie czekałam, aż skończy, tylko żwawym krokiem udałam się do zajazdu. Poszłam do swojego pokoju i usiadłam, czując wzbierający gniew i trzęsąc się z irytacji.

Pukanie do drzwi wystraszyło mnie. Otworzyłam je i w progu ujrzałam recepcjonistę. Stał potulnie i przemówił do mnie równie potulnym tonem:

— Okazało się, że rezerwacja na ten pokój została odwołana. Może się pani w nim zatrzymać tak długo, jak sobie pani życzy. Przepraszam, jeśli naraziłem panią na jakieś kłopoty.

— Dziękuję — powiedziałam.

Był to pierwszy efekt interwencji pana Arnolda. Natychmiast postanowiłam, że nie ruszę się z tego miasta, póki wszystkiego nie załatwię.

Przebrałam się do kolacji. Nałożyłam ciemnofioletową suknię o prostym kroju, a włosy upięłam w luźny węzeł nad karkiem. Rozbolała mnie lekko głowa przez nerwowe napięcie, ale jakoś odzyskałam panowanie nad sobą i zeszłam do jadalni. W sali siedziało kilku gości, każdego obrzuciłam przelotnym spojrzeniem. Szukałam

twary mężczyzny, która ukazała mi się w zwierciadle, ale nie ujrzałam nikogo, kto choćby trochę go przypominał.

Dostrzegłam wyraźną zmianę w postawie recepcjonisty i kelnerów. Traktowano mnie znacznie lepiej niż pozostałych gości. Odniosłam również wrażenie, że chociaż serwowane tu potrawy i tak były wyśmienite, tym razem przygotowano je ze szczególną starannością. Smakowały wybornie. Najwidoczniej ci poczciwi ludzie chcieli mi jakoś wynagrodzić swoje poprzednie grubiaństwo.

Zauważyłam mężczyznę, który wydał mi się dziwnie znajomy. Był nieco ociężały, jak osoba, która zażywa za mało ruchu, lubi natomiast zaglądać do butelki i wieść beczynne życie. Przyglądał mi się dość uważnie i wcale się nie zdziwiłam, kiedy wstał i podszedł do mojego stolika.

— Pani Cameron — ukłonił się lekko, zwracając się do mnie. Nawet jego głos wydał mi się znajomy. — Proszę o chwilę rozmowy.

— A z kim mam przyjemność? — spytałam.

— Nazywam się Abner Cameron.

Wyciągnęłam rękę i uśmiechnęłam się grzecznie.

— Starszy brat Joela! Ależ oczywiście! Nie wiedziałam, kogo mi pan przypomina. Jest pan podobny do Joela. Proszę usiąść.

— Dziękuję. Po tym, co wydarzyło się dziś rano, dziwię się, że nie rzuciła pani we mnie karafką z wodą, kiedy dowiedziała się pani, kim jestem. Nie miałbym o to do pani pretensji.

— Joel lubił pana, Abnerze. Myślę, że pana jednego z całej rodziny.

— Sądzę, że tylko ja go rozumiałem. I myślę, że wiedział, czemu nie chcę spędzić życia zdobywając więcej pieniędzy, skoro mam wszystko, czego mi potrzeba. Jednak różniliśmy się z Joelem. On był marzycielem, wiecznie czegoś szukał. Nie wiedział dobrze czego, ale szukał, podczas gdy ja zadowalałem się próżnowaniem.

— Lubię sobie wyobrażać, że Joel znalazł to, czego szukał.

— Znalazł panią, Maeve. Pisał mi o pani i o tym, że chce zostać lekarzem. Tak, znalazł to, czego szukał.

— Cieszę się, słysząc to od pana.

— Przynajmniej krótko był szczęśliwy. Ale... są rzeczy, o których powinna pani wiedzieć. Mówiąc szczerze, przysłała mnie tu rodzina, bym pani coś wyjaśnił. Nikt nie chciał się podjąć tego zadania. Są zbyt dumni, by przepraszać. Nawet gdyby tak postąpili, nie byłoby to szczerze, więc wysłali mnie. Zawsze zlecają mi nieprzyjemne sprawy, ale tym razem moja misja jest bardzo przyjemna.

— Jest pan taki jak on — powiedziałam z wdzięcznością. — To wspaniale móc usłyszeć miłe słowa. Nie posiadałam się z gniewu po tym, jak pana rodzice mnie potraktowali. Nie wiedziałam co robić.

Zawołał kelnera i zamówił dla siebie brandy, a potem uśmiechnął się do mnie.

— Wiedziała pani. Skontaktowała się pani ze swoim nowojorskim prawnikiem, a on z kolei zwrócił się do najbardziej wpływowego adwokata w stanie Maine. Zaczęły nadchodzić depesze, rodzina dowiedziała się o kilku nowych faktach. Mówiąc krótko, muszą panią zaakceptować i nic nie mogą na to poradzić. A pani musi się nauczyć postępować z nimi.

— Nie przyjechałam tu, by rozrabiać — powiedziałam. — Joel niedługo przed swoją śmiercią powiedział mi, że nie mogę pozwolić, by rodzina mnie zastraszyła i że muszę twardo domagać się tego, co mi się prawnie należy. I właśnie to robię, Abnerze.

— Och, Maeve, wiem o tym — oświadczył. — Oto więc jak wygląda sytuacja. Zapomnij o ich groźbach... a wiem, że ci grozili, bo zawsze to robią, kiedy nie mogą postawić na swoim. Proponują, byś wróciła do Irlandii, a oni będą ci przekazywali wszystko, co ci się należy jako spadkobierczyni Joela.

— Innymi słowy nie chcą mnie widzieć ani w tym mieście, ani w swoim domu.

— Właśnie. Zwracam ci uwagę, że nie mogą cię do niczego zmusić. Choć, oczywiście, nie muszą cię zaakceptować jako członka rodziny i nie zrobią tego.

Roześmiałam się na samą myśl o takiej możliwości.

— Nie chodzę tam, gdzie nie chcę, bez względu na to, czy jestem tam mile widziana, czy też nie. Ale pragnę lepiej poznać to, co się dzieje w fabryce i w mieście.

— Czemu? — spytał bez ogródek.

— Bo Joelowi się to nie podobało. Wydaje mi się, że to, co się tu działo, sprawiało mu ból. Wyjechał, ponieważ nie potrafił się z tym pogodzić, a był bezsilny i nie mógł temu zaradzić. Bardzo mało mówił o fabryce i mieście.

— Joel wyjechał, ponieważ nie mógł znieść tego, co się tu działo. Ja wybrałem inny sposób.

— To znaczy jaki? — spytałam.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z interesami prowadzonymi przez rodzinę i kiedy już dłużej nie mogę wytrzymać, upijam się do nieprzytomności.

— Tolerują to?

— Muszą. Nie mają odwagi wyrzucić mnie albo doprowadzić sytuacji do takiego stanu, bym wyjechał dobrowolnie. Bo gdyby się tak stało, byłbym wiecznie pijany i zniszczyłbym dobrą opinię rodziny. Póki mieszkam z nimi, mogą mnie do pewnego stopnia kontrolować.

Przyniesiono brandy, według mnie dosyć okazałą porcję. Zaczął ją pić tak, jakby to była herbata.

— W takim razie — powiedziałam — nie będę nalegała, byś odpowiedział na moje pytania.

— Ależ ja chcę na nie odpowiedzieć. Joel musiał ci opowiedzieć dzieje rodziny aż do chwili obecnej.

— Tak. Dowiedziałam się, że jego przodkowie zmagali się z losem i ciężko harowali, by osiągnąć to, co osiągnęli, ale ich potomkom było już o wiele lżej.

— I mogli pomnażać swój majątek wyzyskując mieszkających tu ludzi. Maeve, do nas należy cała ziemia w okolicy i wszystkie budynki na niej wzniesione. Wszystkie rodziny oprócz dwóch, trzech płacą nam czynsz. Sklepikarze otrzymują pensje, sklepy bowiem nie należą do nich. Wszyscy zdolni do pracy zatrudnieni są w fabryce. Ci, którzy powiedzą jedno słowo przeciwko nam albo się objąją w robocie, zostają wyrzuceni. Są całkowicie zdani na naszą łaskę i niełaskę, bo nie znajdą tutaj innej pracy. Jeśli sami się zwolnią, zabiera się im wszystko, co mają. Och, to zupełnie

legalne. Wszyscy są zadłużeni u rodziny. Już my się o to staramy.

— Joel uciekł, bo nie mógł znieść tego wszystkiego — powiedziałam. — Teraz zaczynam go rozumieć.

— Ja się upijam.

— A czy nie możesz się im przeciwstawić?

— Walczyć z rodziną? Do tego potrzeba więcej charakteru, niż posiadam. Joel również nie był wojowniczym typem. Próbował im wytłumaczyć, że źle postępują, a oni uważali go za głupca. Nic by z tego dobrego nie wynikło, gdyby postanowił z nimi walczyć. Inni próbowali. Nikomu nie udało się wygrać.

— Dziś rano przeciwstawiłam się im i choć mi grozili, nic nie mogli zrobić.

— Bo jesteś wdową po Joelu i jego spadkobierczynią. Ale jeśli tu zostaniesz, postarają się obrzydzić ci pobyt tutaj.

— Rozumiem. Co chcesz, żebym zrobiła. Abnerze?

— Wiem, że zachowuję się jak tchórz, jak człowiek, który nie ma odwagi stanąć z nimi twarzą w twarz. Ale radzę ci, byś wróciła do Irlandii. Nie masz tu przyjaciół ani krewnych. Masz natomiast dosyć pieniędzy i gdzie indziej na pewno łatwo znajdziesz sobie przyjaciół. Z tego, co mi pisał Joel, wywnioskowałem, że w Mayo żyje się inaczej. Tutaj będzie ci brakowało tego, do czego przywykłaś.

— Jeśli wyjadę, nie będę miała wpływu na to, co się tutaj będzie działo. Widzę, że sama muszę podjąć decyzję, Abnerze, ale żeby ci ułatwić rozmowę z rodziną zgadzam się, byś ich poinformował, że najprawdopodobniej wrócę do Irlandii. Zostawiłam tam swoje serce. Ale niech mnie nie przynaglają.

Jednym haustem dopił brandy do końca.

— Cokolwiek zrobisz, Maeve, jestem z tobą. Może nie mam dosyć charakteru, by to okazać, ale moralnie jestem po twojej stronie.

— Dziękuję ci za te słowa. Wierzę, że masz dosyć odwagi. I jeśli nadejdzie taki moment, że będziesz musiał coś przedsięwziąć, pokażesz im, na co cię stać.

Poruszył się niespokojnie.

— Jeszcze jedno. Na co umarł Joel? Cóż to była za choroba?

— Nie wiem, ale wszystko to było bardzo dziwne. Wrócił z Dublina czując się nie najlepiej i jeszcze tej samej nocy dostał torsji. Męczyły go mdłości i wszystko zwracał. Miał wysoką gorączkę i dreszcze. Jak ci wiadomo, mój ojciec był lekarzem i znam się nieco na medycynie, ale jeszcze nigdy nie zetknęłam się z takim przypadkiem.

Abner zmarszczył brwi.

— Joel należał do ludzi o delikatnym zdrowiu i pamiętam, że jako chłopiec często chorował. Ale jego śmierć była zupełnie niespodziewana.

— Jesteś tutaj jedyną osobą, która zainteresowała się, jak umarł Joel.

Abner skinął głową.

— Nie chciał zaakceptować ich nowych planów. Cóż, dla biednego Joela wszystko się już skończyło. Jeśli chodzi o ciebie, poinformuję ich, że nie będziesz robiła kłopotów i że jesteś prawie pewna, że wrócisz do Irlandii.

— Tak, powiedz im to. Ale zachowuję sobie jednak prawo zmiany decyzji i bądź tak dobry, i o tym nie zapomnij.

— Nie wspomnę im o tym. Jeśli będą ci mieli coś więcej do przekazania, bez wątpienia znów mnie przyślą.

— Dobrze wiedzieć, że mam tu przyjaciela. Niebiosom niech będą za to dzięki.

Uśmiechnął się do mnie, podniósł się i opuścił salę. Wyszłam zaraz po nim.

Kiedy znalazłam się w łóżku, natychmiast usnęłam. Obudziłam się w środku nocy, czując się niezbyt dobrze. Usiadłam na łóżku, spuściłam nogi na podłogę i wzdrygnęłam się lekko, czując chłodne powietrze wpadające przez otwarte okno. O mało nie spadłam z łóżka. Dopiero wtedy uzmysłowiłam sobie, że mam mdłości i zawroty głowy. Zbierało mi się na wymioty. Próbowałam je powstrzymać, ale na próżno. Pobiegłam do łazienki i zwróciłam wszystko.

Ponownie się położyłam. Czułam się okropnie. Nakryłam się wszystkimi kocami, jakie tylko znalazłam w pokoju, bo było mi zimno. Gnecenie w żołądku nie ustało, czułam się osłabiona i kręciło mi się w głowie.

Próbowałam znaleźć wytłumaczenie tej nagłej niedyspozycji, ale nic mi nie

przychodziło do głowy. Przecież jedzenie było dobre. A mimo to nie opuszczały mnie mdłości.

Nagle oblał mnie zimny pot. Identycznie rozpoczęła się choroba Joela. Miałam takie same symptomy jak on. Czy zapadłam na to samo? Czy w ciągu kilku godzin umrę? Czy też to jedynie rezultat napięcia i zdenerwowania? To, co mnie spotkało od chwili wizyty u Cameronów, mogłoby u każdego wywołać rozstrój żołądka.

Rozdział szósty

Od czasu do czasu zapadałam w drzemkę, ale właściwie przez resztę nocy już nie spałam. Tuż przed świtem znowu ogarnęły mnie mdłości, ale nie miałam już czym wymiotować. Uświadomiłam sobie, że nawet jeśli w miasteczku jest doktor, miałabym kłopoty z dotarciem do niego o takiej nieprzyzwoicie wczesnej porze; nie byłam też do końca przekonana, czy powinnam się zwrócić do niego o pomoc.

Moje dolegliwości miały inny charakter niż te, na które cierpiał Joel. Uzmysłowiłam to sobie, kiedy przemogłam początkowy strach i odzyskałam zdrowy rozsądek. Nie miałam gorączki ani dreszczy. Cierpiałam na złe samopoczucie wywołane podnieceniem, wizytą u Cameronów i prawdopodobnie zmęczeniem po długiej podróży.

Kiedy wróciłam do łóżka, poczułam się lepiej i byłam zadowolona, że nie uległam panice. Gdyby Cameronowie się o tym dowiedzieli, sprawiłoby im to uciechę i, być może, uznaliby mnie za osobę słabą zarówno duchem, jak i ciałem.

Kiedy schodziłam na śniadanie, trochę się chwiałam na nogach. Kręciło mi się w głowie, ale jakoś dotarłam do swojego stolika i zamówiłam dość lekkie śniadanie. Ledwo tknęłam jedzenie, a wiedziałam, że za chwilę znów zwymiotuję. Opuściłam jadalnię starając się w miarę możliwości nie zwracać na siebie uwagi, a kiedy znalazłam się w swoim pokoju, natychmiast znów wszystko zwróciłam.

Nie ulegało wątpliwości, że muszę iść do lekarza. Bez wątpienia działo się ze mną coś niedobrego, coś, co nie było wywołane ostatnimi przeżyciami ani

zmęczeniem. Odczekałam trochę, a kiedy poczułam się nieco lepiej zesłam na dół. Spytałam recepcjonistę, czy w mieście jest jakiś lekarz.

— Tak, proszę pani. Po wyjściu z zajazdu proszę skrócić w lewo i iść wzdłuż ulicy Main, aż znajdzie się pani przed białym parkanem. Zobaczy pani przybitą do niego tabliczkę z nazwiskiem Glena Kinnery'ego. Jest lekarzem podobnie jak pani ojciec. Źle się pani czuje?

— Boli mnie głowa — powiedziałam. — Potrzebne mi są tylko tabletki od bólu głowy. Dziękuję panu.

Opierając się na wskazówkach recepcjonisty bardzo szybko odnalazłam dom doktora. Otworzyłam białą furtkę i ruszyłam ścieżką, po obu stronach której rosły kępki żółtych stokrotek w pełnym rozkwicie. Przed domem wznosiły się dwa olbrzymie dęby rzucające na budynek cień. Był to jednopiętrowy drewniany dom z zielonymi okiennicami, ale w przeciwieństwie do innych budynków w mieście został świeżo odmalowany i miał zadbane wygląd. Był również znacznie większy i otaczało go spore podwórze.

Weszłam do poczekalni i usiadłam. O moim pojawieniu się dał znak mały mosiężny dzwonek, wprawiany w ruch podczas otwierania drzwi. Rozejrzałam się. Znajdowałam się w przyjemnej poczekalni z rzędem krzeseł i wygodną kanapą pod jedną ścianą.

Otworzyły się drzwi od gabinetu i stanął w nich mężczyzna. Uśmiechnął się do mnie ciepło na powitanie. Na jego widok straciłam oddech. Nie mogłam się poruszyć ani wymówić słowa i dziwiłam się, że nie zemdlałam.

Patrzyłam na człowieka, którego obraz ukazało mi zwierciadło!

Podszedł do mnie wyraźnie zaniepokojony.

— Pani jest chora... tak pani zbladła... — powiedział.

Udało mi się przynajmniej częściowo odzyskać panowanie nad sobą.

— Mam kłopoty z żołądkiem, panie doktorze. W nocy dostałam torsji, ale nie sądzę, by było to coś poważnego.

— Pani Cameron, pozwoli pani, że ja ocenię, co pani jest.

— A więc wie pan, kim jestem?

— Wszyscy w mieście to wiedzą. Proszę mi pozwolić sobie pomóc...

Pomógł mi wstać z krzesła i zaprowadził do swojego gabinetu. Usadził mnie na krzesło w pobliżu biurka i zamknął drzwi. Był to gabinet godny pozazdroszczenia. Stał w nim biały stół i biała szafka ze szklanymi drzwiczkami do przechowywania narzędzi lekarskich. Obok znajdowała się mała apteczka pełna buteleczek z prawdziwymi lekarstwami, a nie z ziołami zbieranymi na polach.

— A teraz proszę mi powiedzieć, co dokładnie pani dolega?

— Mam kłopoty z żołądkiem, panie doktorze. Cokolwiek zjem, wymiotuję.

— Czy nie domyśla się pani, co może być przyczyną?

Zawahałam się. Jak mogłam powiedzieć temu człowiekowi o swoich podejrzeniach związanych ze śmiercią Joela? Uznałby mnie za wariatkę.

— Nie — odparłam. — Nie potrafię tego wytłumaczyć. Zostałam obdarzona przez naturę dobrym zdrowiem. I rzadko miewam problemy z żołądkiem.

— W takim razie będę musiał panią zbadać, pani Cameron.

— Oczywiście.

Przyglądałam mu się ukradkiem i nie miałam wątpliwości, że to jego profil widziałam w zwierciadle.

— Zawołam kogoś do pomocy — powiedział. Otworzył drzwi prowadzące w głąb domu. — Jennie! — krzyknął. — Jesteś mi natychmiast potrzebna.

Ponownie usiadł za biurkiem.

— Joel był moim pacjentem... i przyjacielem. Kiedy wyjeżdżał, był zupełnie zdrow. Czy mogę spytać, co spowodowało jego śmierć?

— Nie wiem, panie doktorze. Mój ojciec był lekarzem. Umarł na krótko przed śmiercią Joela. Znając się nieco na medycynie robiłam, co mogłam, ale stan Joela tylko się pogarszał.

— Nie posłała pani po lekarza?

— Posłałam, ale za późno, a doktor, który przyjechał, nie miał wystarczających kwalifikacji. To starszy człowiek, nie znający ostatnich osiągnięć współczesnej

medycyny. Widzi pan, w hrabstwie Mayo jest bardzo niewielu lekarzy, bo ludzie nie mają pieniędzy, by im płacić. W tej sytuacji lekarze się tam nie osiedlają.

Skinął głową.

— Rozumiem. Mieszkańcy tego miasta też nie mają za dużo pieniędzy, ale... cóż, to zupełnie inna historia. A więc na co rozchorował się Joel?

— Na żołądek. Kiedy przyjechał z Dublina, czuł się nie najlepiej. Cierpiał na rozstrój żołądka i jego stan się pogarszał. Miał gorączkę i dreszcze. Nie wiem, co to było. Może zjadł coś trującego. Na przykład grzyby... czy coś w tym rodzaju.

— Bardzo możliwe. Domyślam się, że nie przeprowadzono sekcji zwłok?

— A któż miałby to zrobić? — spytałam. — Włożono ciało Joela do trumny, wystawiono ją na widok publiczny, a potem spuszczone do grobu. Zawsze się tak u nas robi.

Sprawiał wrażenie wyraźnie zaintrygowanego, podobnie zresztą jak ja. Przez okno padało na niego światło uwydatniając jego mocne, męskie rysy i sprawiając, że wyglądał na przystojnego, choć w rzeczywistości nie mogłabym określić go tym mianem. Był wysoki i mocno zbudowany. Miał ciemnobrązowe włosy i był gładko ogolony, co lubiłam. Większość mężczyzn w Ameryce nosiła zarost. Spoglądał na mnie spokojnymi szarymi oczami i odniosłam wrażenie, że jest świetnym lekarzem. Był poważny, jak przystało przedstawicielowi jego zawodu, ale kilka razy uśmiechnął się ciepło i współczująco, co było tak charakterystyczne dla Joela.

Czy spoglądałam na mężczyznę, którego pewnego dnia poślubię? Czy też zwierciadło ukazało mi jego twarz, bo znał Joela i stanie się moim dobrym przyjacielem, tak samo jak był dobrym przyjacielem mego męża? Co do jednego miałam pewność — to jego twarz ukazało mi zwierciadło.

Wzdrygnęłam się lekko, zadając sobie w duchu pytanie, czy zwierciadło, tak jak w wypadku Joela, ukáže mi również śmierć tego mężczyzny. Otrząsnęłam się z zadumy, gdy do pokoju weszła młoda kobieta. Spojrzała na mnie z zainteresowaniem, a zarazem życzliwie. Wywnioskowałam że jest żoną doktora. Nie doznałam rozczarowania. Byłam święcie przekonana, że nikt nie może zająć miejsca Joela w

moim sercu.

— To moja siostra Jennie — przedstawił ją lekarz. — Jennie, to wdowa po Joelu.

Jennie uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę.

— Witaj w Cameron, Maeve. Przykro nam z powodu Joela, ale cieszymy się, że tu przyjechałaś.

O mało nie rozplakałam się z radości, widząc jej życzliwość. Nawet zapomniałam, co mnie tu sprowadziło, póki doktor Kinnery nie przypomniał mi o tym prosząc, bym przygotowała się do badania. Wyszedł z pokoju, a jego siostra pomogła mi się rozebrać.

— Czy długo się u nas zatrzymasz? — spytała. — Oczywiście słyszałam, co się zdarzyło w siedzibie Cameronów. Wie o tym całe miasto. Takie sobie plotki.

— Jeszcze nie wiem — powiedziałam. — Podoba mi się tutaj, choć przyjęto mnie niezbyt życzliwie.

— Podoba ci się tutaj? W tej miejscinie? Dziewczynie o takiej urodzie jak ty? Trudno mi w to uwierzyć.

— Panno Kinnery, kontynuując ten temat muszę powiedzieć, że pani widok w żadnym razie nie stanowi obrazy dla oczu — odparłam. — Co w takim razie panią tu trzyma?

— Mój brat... i wspomnienia. Pewnego dnia opowiem ci o tym. A teraz proszę położyć się na stole. To nie potrwa długo. I proszę do mnie mówić Jennie. Oboje z bratem nie lubimy ceregieli.

Badanie trwało piętnaście minut i zostało przeprowadzone taktownie i fachowo. Kiedy się ubierałam, lekarz znów opuścił gabinet.

— Poza tym, że wyglądasz blado, nie sprawiasz wrażenia osoby chorej — zapewniła mnie Jennie.

— Jestem pewna, że to nic poważnego — powiedziałam.

— W tej chwili czuję się zupełnie dobrze. Jakies lekarstwo na dolegliwości żołądkowe szybko postawi mnie na nogi.

— Bądź tak dobra i odwiedź mnie, jak tylko będziesz mogła — powiedziała Jennie. — Jestem spragniona dobrego towarzystwa i mogę ci dużo opowiedzieć o tym mieście. Jeśli cię to interesuje.

— Interesuje, nawet bardzo. Poza tym i ja jestem spragniona towarzystwa, Jennie. Chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami.

— Ja również. A więc do zobaczenia.

Wyszła, a do gabinetu wszedł doktor Kinnery, by kontynuować badanie. Obejrzał moje oczy i gardło, zmierzył mi temperaturę. Potem usiadł naprzeciwko mnie i zaczął zadawać pytania. Zaczęłam się już niepokoić, ale nagle ujrzałam, że się uśmiecha.

— Zrobiło mi się lżej na sercu — powiedziałam. — Żaden lekarz nie uśmiechałby się tak jak pan, gdyby miał do zakomunikowania coś złego.

— Kiedy umarł Joel? — spytał przybierając ponownie poważną minę. Zastanowiłam się.

— Będzie osiem tygodni w przyszłym... — urwałam nagle.

Wolno skinął głową.

— Dobrze się pani domyśliła. Będzie pani miała dziecko.

Uniosłam dłonie do ust i wydałam stłumiony okrzyk. Nie wiedziałam, czy płakać, czy krzyczeć z radości, więc zrobiłam jedno i drugie.

— To cud! — wykrzyknęłam. — Ostatnio byłam tak zdenerwowana, że... że straciłam rachubę czasu. Powinnam się była wcześniej domyślić, ale nie przyszło mi to do głowy. Co powiedzą mieszkańcy domu na wzgórzu? Co sobie teraz pomyślą? O mnie i o dziecku?

— Nie potrafię powiedzieć, ale nie przejmowałbym się tym. Czy zamierza pani pozostać w Cameron?

— Nie wiem. Muszę przemyśleć całą sprawę. To zmienia wszystko. Nie jestem pewna, co zrobię.

— Jeśli za dwa tygodnie wciąż pani tu będzie, chcę panią znów zobaczyć — powiedział.

— Dobrze, panie doktorze, przyjdę. Czy mogę pana prosić o radę w pewnej sprawie? Czy uważa pan, że powinnam poinformować mieszkańców... „Domu na Wzgórzu”, jak pan nazwał siedzibę Cameronów?

— Pani Cameron, zostaną przecież wkrótce dziadkami.

— No właśnie. Czyli powinni o wszystkim wiedzieć. Ciekawa jestem, jak zareagują. To dla mnie wielki dzień z wielu względów, między innymi dlatego, że Joel będzie nadal żył.

Skinął głową.

— Zajęła pani właściwą postawę. Im będzie pani radośniejsza, tym łatwiej wszystko pójdzie. Proszę im wszystko powiedzieć i... proszę powtórzyć mi, jak przyjęli nowinę. Dla tej jednej informacji rezygnuję ze swojego honorarium.

— Nie mogę na to pozwolić, panie doktorze, ale obiecuję, że jeszcze tu przyjdę. Dziękuję... i to za więcej, niż pan myśli. Mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

Wyciągnął rękę.

— Ja również mam taką nadzieję, pani Cameron.

Pomyślałam, że spotkanie tego człowieka to dobry znak, ale chciałam się upewnić, czy się nie mylę, że właśnie jego widziałam wczoraj w zajeździe.

— Wydawało mi się, że widziałam pana wczoraj w zajeździe — powiedziałam. — Czy to było tylko przywidzenie?

— Nie. Odwiedzam tam pacjenta przykutego do łóżka. Przychodzę do niego dwa, trzy razy w tygodniu.

— Odważyłam się spytać recepcjonistę, kim pan jest — powiedziałam. — Przez tę krótką chwilę, kiedy pana widziałam, wydał mi się pan podobny do kogoś, kogo znałam.

— Henry nie widzi dalej niż na odległość pół metra, ale nie chce się do tego przyznać, bo boi się, że straci pracę.

— Przynajmniej wiem, że nie przywidziało mi się — powiedziałam wstając. — Jeśli chodzi o Cameronów, wkrótce podejmę decyzję i jeśli złożę im wizytę, przyjdę

do pana i zdam szczegółową relację.

— Będę wielce zobowiązany — powiedział z uśmiechem.

Odprowadził mnie aż przed dom.

— Bardzo tu ładnie, doktorze — zauważyłam. — Dom wygląda znacznie porządniej niż większość budynków w mieście.

— To dlatego, że należy do mnie, a nie do Cameronów. Wybudował go mój ojciec. Był też lekarzem i mieszkał tu ponad pięćdziesiąt lat. Dlatego tu wróciłem. Byłem potrzebny i to wydawało mi się ważniejsze niż możliwość zbiccia majątku gdzie indziej.

— Wiem coś o tym. W taki sam sposób podchodził do tej sprawy mój ojciec, bardzo dobry specjalista, który mógł wysoko w życiu zajść. Mój brat Jimmy należy do ludzi innego pokroju. Jest na ostatnim roku studiów w Edynburgu. Chce zostać chirurgiem i prawdopodobnie dopnie swego, ale nie wróci do hrabstwa Mayo.

— Proszę mu tego nie mieć za złe, pani Cameron. Ma swoje powody, by tak robić i przyznaję, że czasami ja też mam ogromną ochotę postąpić jak on.

Postanowiłam wykorzystać nadarzącą się okazję.

— Będąc kawalerem może sobie pan pozwolić na to, żeby nie zarabiać zbyt wiele. Bo przypuszczam, że nie jest pan żonaty.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Nie miałem czasu szukać żony. Najpierw każdą wolną chwilę poświęcałem na naukę, a odkąd tu przyjechałem, jestem wiecznie zajęty pracą.

— Wiem coś niecoś na ten temat, spędziwszy wiele lat ze swym ojcem-lekarzem i moim bratem studiującym medycynę.

— Pewnego dnia, pani Cameron, wszystko się zmieni. Dla nas wszystkich.

— Życzę panu miłego dnia, panie doktorze — powiedziałam. — Jeszcze tu wrócę.

Wolno poszłam do hotelu, nie myśląc o doktorze Glenie Kinnerym, ale o dziecku Joela Camerona, które nosiłam pod sercem. Pomyślałam sobie, że to dobre niebiosy zesłały mi dziecko właśnie teraz. Czy istnieje lepszy sposób zachowania

żywych wspomnień o Joelu? Miałam ochotę śpiewać. Jeszcze zanim dotarłam do zajazdu, postanowiłam, że przed końcem dnia powiem wszystko Cameronom. Moją radość mącił jedynie fakt, że nie doczekał tej chwili ojciec. Wiedziałam, że byłby bardzo dumny. A gdyby żył Joel, chodziłby z wypiętą piersią i wszyscy bylibyśmy tacy szczęśliwi. Ale mimo tych smutnych refleksji nie posiadałam się z radości, że zdarzył się taki cud.

Kiedy znalazłam się w pokoju, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było wydobicie lustra z ukrycia. Podeszłam z nim do okna, by mieć więcej światła. Delikatnie wytarłam jego powierzchnię płócienną ściereczką, a potem nachyliłam je odpowiednio.

— Jeszcze raz proszę, by ukazał mi się obraz mego przyszłego męża, bym nie miała żadnych wątpliwości. Proszę o to w imieniu dobrej królowej Maeve, na której cześć otrzymałam swoje imię i której piękną twarz odbijało kiedyś to zwierciadło.

Wewnętrzna powierzchnia zwierciadła rozbliżyła się na moment, albo tak mi się przynajmniej wydawało, i na mgnienie oka ukazała profil Glena Kinnery'ego. Widoczny był jednak na tyle długo, że upewniłam się, iż wszelka pomyłka z mojej strony jest wykluczona. Wolno usiadłam, wciąż trzymając zwierciadło.

— Chciałabym prosić o jeszcze jedno. Noszę w sobie moje pierwsze dziecko. Czy to chłopiec, czy dziewczynka? Czy będzie zdrowe i silne?

Nachyliłam zwierciadło kilka razy pod różnymi kątami. Nic się nie ukazało, co wprawilo mnie w przerażenie. Kiedy już się miałam poddać, ujrzałam jakiś cień, ale tak szybko zniknął, że nie zdążyłam rozpoznać, czy przedstawiał chłopca, czy dziewczynkę. Mimo wszystko podniosło mnie to nieco na duchu i wdzięczna byłam zwierciadłu nawet za taką przepowiednię. Gdyby się nic nie ukazało, jedynym logicznym wnioskiem byłoby, że dziecko przyjdzie na świat martwe. Odniosłam wrażenie, że lustro udzieliło mi takiej fragmentarycznej odpowiedzi, by uspokoić mnie, że dziecko będzie żyło. Odłożyłam zwierciadło pamiętając, iż ten czarodziejski przedmiot potrafił przepowiadać nie tylko miłe rzeczy, ale również wydarzenia tragiczne, jak choćby śmierć ojca i Joela.

W południe zjadłam obiad. Miałam wprost wilczy apetyt. Teraz, gdy poznałam prawdę, dosłownie pochłaniałam jedzenie. Po posiłku udałam się do stajni, gdzie właściciel wynajął mi swój najlepszy powóz i spokojnego konia.

Miałam na sobie brązową spódnicę i ciemnobrązową bluzkę z długim rękawem. Na głowę włożyłam mały, skromnie przybrany kapelusik z brązowej słomki. Chciałam wyglądać elegancko, ale bez zbędnej ostentacji.

Kiedy znalazłam się już na szczycie wzgórza i mijałam wielki, oszklony, wolno stojący budynek, wyszła z niego młoda kobieta i uniosła rękę władczy gestem. Był to dla mnie znak, bym zatrzymała powóz, co uczyniłam. Nie miałam pojęcia, kim jest owa kobieta, póki nie podeszła bliżej i nie dostrzegłam jej uderzającego podobieństwa do Joela. To musiała być Helen Easterly, siostra Joela.

Była szczupła, wzrostu mniej więcej mojego męża. Miała jasną cerę i wąską twarz, tak charakterystyczną dla wszystkich Cameronów. Spoglądała na mnie jasnymi, ale zimnymi i przenikliwymi oczami, identycznymi jak u jej matki. Odznaczała się również takim samym ostrym podbródkiem, nadającym wszystkim członkom tej rodziny arogancki wygląd.

— Czego tu chcesz? — spytała niegrzecznie.

W owej chwili nic nie było w stanie mnie dotknąć ani zmartwić.

— Czy mogę spytać, kto jest taki ciekawy? Bo obawiam się, że nie miałam do tej pory przyjemności pani poznać.

— Jestem Helen Cameron i świetnie o tym wiesz.

— Byłam pewna, że siostra Joela jest mężatką — odparłam spokojnie. — Widocznie wprowadzono mnie w błąd...

— Jestem Helen Cameron Easterly.

— To czemu od razu się pani tak nie przedstawiła?

— Zadałam ci pytanie. Nie jesteś tu mile widzianym gościem i dobrze o tym wiesz.

— Tak, wiem o tym i nie przyjechałabym tu, gdybym nie miała do zakomunikowania pewnej ważnej wiadomości. To, co mam do powiedzenia, dotyczy

rodziny Joela Camerona.

— Cóż ty możesz takiego wiedzieć, co by mogło nas interesować?

— Z radością wszystko powiem, jak tylko zbiorą się pozostali członkowie rodziny, by mnie wysłuchać — oświadczyłam i łagodniejszym tonem, bo chciałam zostać zaakceptowana przez tych ludzi, szczególnie teraz, kiedy wiedziałam, że noszę w sobie dziecko Joela, spytałam: — Helen, po co się sprzeczać? Nie zrobiłam nic, by obrazić ciebie lub twoją rodzinę. Poślubiłam Joela, bo go kochałam, a on kochał mnie.

— Joel był głupcem!

— W takim razie ja również jestem głupia, ale byliśmy bardzo szczęśliwymi głupcami. Dni, które spędziliśmy wspólnie, były radosne i niezapomniane. Joel nie zaznał w życiu zbyt wiele szczęścia, ale tych radosnych dni nikt mu już nie odbierze.

— Jesteś nie tylko chciwa, ale również bezczelna — powiedziała.

Westchnęłam głęboko.

— Jeśli uważasz, że taka jestem, nie potrafię wpłynąć na zmianę twego nastawienia do mnie ani nawet nie będę próbowała tego robić. Ale jesteś siostrą Joela. Nie żywił do ciebie niechęci, choć nie akceptował twojego sposobu postępowania. Żał mi ciebie, Helen Cameron Easterly, ale niech cię to nie zwiedzie. Będę broniła wszystkiego, co mi się słusznie należy po twoim bracie i nie ulęknię się ani ciebie, ani twojej rodziny.

Ujęłam lejce i powóz ruszył w stronę siedziby Cameronów. W holu bez słowa powitała mnie ta sama kobieta o srogiej minie, w tej samej szarej sukni; ani drgnięciem powieki nie zdradziła swych uczuć. Najwidoczniej otrzymała już polecenie, by mnie wpuścić.

Oboje rodzice Joela siedzieli w wielkich połączonych krzesłach o wysokich oparciach. Przypominali parę królewską, która przyjmuje poddanego wnoszącego do nich prośbę. Coraz lepiej rozumiałam, czemu Joel porzucił dom rodzinny.

— Prosiliśmy, byś tu więcej nie przychodziła — odezwała się pani Cameron. — Rozumiem, że skoro tu jesteś, musiała cię do nas sprowadzić jakaś niezwykle ważna sprawa.

— To prawda — powiedziałam. — Jej waga jest tak wielka, że chciałabym, aby wysłuchali mnie wszyscy członkowie rodziny.

— Jeśli zamierzasz oświadczyć, że zgadzasz się wrócić do Irlandii, tak jak zażądaliśmy, sami poinformujemy o tym pozostałych członków rodziny.

— Nie wracam tam i nie to przyszłam zakomunikować. Czy poprosicie resztę rodziny? Czy też mam sobie pójść, a wy będziecie zachodzić w głowę, co takiego chciałam wam powiedzieć?

— Martho! — Pan Cameron podniósł głos, zwracając się do surowej służącej, która prawdopodobnie czekała w holu.

Widocznie nie musiał wydawać polecenia. Po chwili do salonu wszedł wolnym krokiem Loran Cameron, witając mnie chłodnym skinieniem głowy. Następnie pojawił się Abner. Zbliżył się do mnie, ujął rękę, którą mu podałam i uklonił się ceremonialnie, ale nie powiedział ani słowa. Zabolało mnie, gdy zobaczyłam, jak bał się tych ludzi, bo Joel musiał często odczuwać to samo.

Do pokoju wszedł szybkim krokiem szczupły mężczyzna z małym wąsikiem. Obrzucił mnie długim, taksującym spojrzeniem, w którym było coś więcej niż tylko zdawkowe zainteresowanie. Nigdy przedtem go nie widziałam, ale domyśliłam się, że musi to być Ashley Easterly, mąż Helen.

Po nim pojawiła się kobieta po sześćdziesiątce, z bujnymi, siwymi włosami upiętymi wysoko nad czołem. Była tęga czy też, jak mawiał ojciec, przy kości. Przyjrzała mi się swymi małymi oczkami, nie kryjąc wrogości. Mocno zaciśnięte usta nadawały jej twarzy groźny wygląd. Joel dobrze ją opisał. Oto stała przede mną jego ciotka, Marcy Tabor. Nie powiedziała żadnego słowa powitania.

Rozejrzałam się po pokoju.

— Nie ma Helen, ale właściwie nie szkodzi, bo nawzajem się nie akceptujemy.

— Czy możesz nam powiedzieć, jakież to niezwykły powód kazał ci tu wrócić? — spytała pani Cameron. — Czy też mamy ogłosić koniec tego zgromadzenia? Nadużywasz mojej cierpliwości.

— Sama ogłoszę koniec tego zgromadzenia — powiedziałam — ale najpierw chcę was poinformować, że noszę w sobie dziecko Joela. Mniej więcej za siedem miesięcy zostanie pani babcią, pani Cameron. Nie mam zamiaru wracać do Irlandii. Może nawet zostanę w Cameron. Jako krewni Joela macie prawo o tym wiedzieć. Skoro spełniłam swój obowiązek, nie widzę powodu, bym miała tu dłużej zabawić. Nigdy więcej nie będę się wam narzucała ze swoją osobą i nie pozwolę również, żebyście wy narzucali się mnie.

Wstałam i skierowałam się do wyjścia. Nikt nie wypowiedział ani słowa. Ani jednego ciepłego słowa. Żadne z nich nie zdradziło swoich uczuć. Zachowywali się jak drewniane kukły.

Kiedy byłam już na marmurowym ganku, ktoś złapał mnie za ramię. Odwróciłam się i zobaczyłam Abnera. Twarz opromieniał mu szeroki, szczery uśmiech.

— Maeve — powiedział — to najwspanialsza wiadomość, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Pocałowałam go w policzek.

— Dziękuję, Abnerze. Dziękuję ci za twoje dobre serce.

— Oni tam... — zwrócił głowę w stronę salonu — ...po prostu niczego nie rozumieją...

— Wiem, Abnerze, i dlatego tak się cieszę, że ty zrozumiałeś.

Zostawiłam go na ganku i wróciłam do powozu. Pojechałam prosto do stajni i oddałam bryczkę stajennemu. Potem poszłam do zajazdu, od razu udałam się do swego pokoju i usiadłam w bujanym fotelu. Nawet nie zdjęłam kapelusza ani rękawiczek, tylko siedziałam, wciąż nie mogąc uwierzyć, że mogą istnieć aż tak obojętni ludzie, by nie zareagować na wiadomość o tym, że ich rodzina wkrótce się powiększy.

Jakże inaczej by to wyglądało, gdybym pojawiła się w swoim domu i oznajmiła ojcu oraz Joelowi, że będę miała dziecko. Od ich radosnych okrzyków trząsłby się sufit, a ojciec niezwłocznie zaprosiłby wszystkich mieszkańców wioski na najlepszy

grog.

Żałowałam, że w ogóle zadałam sobie trud i udałam się na Wzgórze, by im powiedzieć o dziecku. Szkoda było zachodu. Nagle ogarnęła mnie przejmująca samotność. Musiałam natychmiast gdzieś iść, z kimś porozmawiać. Postanowiłam udać się do doktora Kinnery'ego. W poczekalni były dwie osoby. Usiadłam i czekając na swoją kolej modliłam się w duchu, by nikt się już po mnie nie pojawił.

Jednym z pacjentów był starszy mężczyzna. Trzymał między kolanami laskę i zaciskał na niej powykręcane przez artretyzm palce. Nawet jeśli mnie zauważył, nie dał tego po sobie poznać. Drugą osobą była sympatyczna kobieta, która na mój widok uśmiechnęła się uprzejmie. Jej życzliwy gest podniósł mnie nieco na duchu.

— Dzień dobry — powiedziałam.

— Pani jest wdową po Joelu Cameronie, prawda?

— Tak. Dobrze zamienić kilka słów z kimś, kto tu mieszka. Dotychczas nie miałam okazji po temu.

— Nie mamy odwagi z panią rozmawiać.

— Czy mogę spytać czemu?

— Jest pani jedną z Cameronów.

— Ach, tak — powiedziałam. — To prawda. Ale jestem również z rodu O'Hanlon, a O'Hanlonowie to sympatyczni ludzie. Nie zadzieramy nosa i nigdy nie uważamy się za lepszych od innych. A więc proszę mnie uważać za Maeve O'Hanlon, a nie Cameron, jeśli to pani pomoże przezwyciężyć onieśmienie.

— Mówiłam, że jest pani inna. Wiedziałam. W jakiś sposób potrafię to dostrzec, ale...

— Nie ma żadnych „ale” — powiedziałam. — Czuję się bardzo samotna i potrzebuję przyjaciół. Będę bardzo szczęśliwa, jeśli obdarzy mnie pani swoją przyjaźnią. Poczytam sobie za zaszczyt, jeśli pozwoli mi pani złożyć jej wizytę.

— Nazywam się Mamie Dexter. Mieszkam w drugim domu na lewo przy trzeciej przecznicy od ulicy Main. Domy nie mają numeracji, ponieważ stary... to znaczy właściciel twierdzi, że są niepotrzebne, bo i tak wszyscy wszystkich znają.

— Z przyjemnością panią odwiedzę — powiedziałam.

Otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Glen Kinnery, wcale nie zdziwiony moim widokiem. Pomógł starszemu mężczyźnie przejść do gabinetu i dziesięć minut później pomógł mu wyjść. Pani Dexter siedziała w gabinecie również dziesięć minut, a potem doktor Kinnery poprosił mnie. Ujęłam jego dłoń, a on wprowadził mnie do gabinetu.

— Razem z Jennie ciekawi jesteśmy, jak przebiegło spotkanie na Wzgórzu. Nie chcę, by zdradzała pani jakieś sekrety. Prawdę mówiąc to nie nasza sprawa...

— Panie doktorze, w takim razie spowoduję, by była to pana sprawa, bo jeśli natychmiast się komuś nie zwierzę, chyba pęknę. Nie wyobraża sobie pan, jak to przyjęli.

— Co powiedzieli?

— Nic. Ani jednego słowa. Byli zimni jak głazy. Kiedy poinformowałam ich, że noszę w sobie dziecko Joela, zachowali się tak, jakbym im powiedziała, że we wtorek może padać deszcz. Wszyscy z wyjątkiem Abnera. Bardzo się ucieszył.

— Jestem mocno zdziwiony, bo myślałem że wszyscy się ucieszą — powiedział Glen.

— Tak? A mogę spytać, czemu mieliby się ucieszyć?

— Dotąd nie mają dziedzica. Nikogo, komu mogliby przekazać nazwisko i fabrykę. Albo kto zachowałby miasto w nie zmienionym kształcie, gdy ich już zabraknie na tym świecie.

— A Helen, siostra Joela?

— Jest bezpłodna. Mogę pani to powiedzieć w wielkim zaufaniu, jest przecież pani ostatecznie członkiem rodziny, nawet jeśli nie chcą pani zaakceptować. Abner nigdy się nie ożeni. Ich rodowi groziło wymarcie — aż tu nagle pojawiła się pani. Dlatego myślałem, że nie będą się posiadali z radości.

— Cóż, zareagowali zupełnie inaczej. Nie zależy im na niczym poza ich wąsko pojętym interesem. Nawet przyszłość niewiele dla nich znaczy. Mam ich wszystkich dosyć, z wyjątkiem Abnera. Moja noga nigdy więcej nie postanie w ich domu.

— Nie mogę pani za to winić. Co zamierza pani robić?

— Mogę wrócić do Irlandii, ale to by im za bardzo odpowiadało, więc tak się nie stanie. Mogę się osiedlić gdzie indziej, na przykład w jakimś wielkim mieście jak Nowy Jork czy Boston, ale w tym wypadku usunę się na bok i łatwo by zapomnieli o moim istnieniu. Joel uciekł z domu, bo nie mógł z nimi wytrzymać. Przez wzgląd na pamięć o nim muszę tu pozostać razem ze swym dzieckiem. Nie opłakiwali śmierci Joela, ale jego dziecko będzie im o nim przypominało. Zbuduję sobie tutaj dom i zrobię wszystko co możliwe, by ulżyć ciężkiej doli mieszkańców tego miasta. Doli, którą cierpią przez skąpstwo rodziny, której jestem teraz niestety członkiem.

— To wielkie plany, pani Cameron.

— Nie podoba mi się nawet moje nazwisko — powiedziałam. — Noszę je i będę go używała, ale chcę, by moi przyjaciele zwracali się do mnie Maeve. Moi przyjaciele — powtórzyłam wzdychając. — Pan, pańska siostra i Abner. Niewielkie to grono, ale dziękuję i za to. I nie tracę nadziei.

— Mogą pani przeszkodzić w realizacji tych planów, Maeve. Mają władzę i nie zawahają się jej użyć.

— Już się ich nie boję. Przeciwwstawię się im i w razie potrzeby będę z nimi walczyła. Och, czemu są tacy, jacy są? Nie rozumiem takich ludzi. Joel był zupełnie inny. Dobry i wyrozumiały i pełen współczucia dla wszystkich.

— Taką już miał naturę. Natomiast jeśli chodzi o nich... jeśli pani potrafi, proszę nie zaprzętać sobie nimi głowy. Moja siostra i ja będziemy pani przyjaciółmi.

— Już nimi jesteście. Nie będę panu dłużej zajmowała czasu, jako że jest pan człowiekiem bardzo zajęтым. Wrócę do zajazdu i zastanowię się co dalej robić, ale kiedy podejmę już jakąś decyzję, pan pierwszy się o niej dowie.

— Miło mi. Proszę pamiętać, że zrobię wszystko co w mojej mocy, by pani pomóc.

— Na pewno o tym nie zapomnę.

Kiedy opuszczałam gabinet doktora Glena Kinnery'ego, czułam się niemal szczęśliwa.

Gdy dotarłam do zajazdu, ujrzałam przed nim powóz. Na koźle siedział sztywno, jakby połknął kij, woźnica w szarym uniformie. W holu wszyscy mówili przyciszonymi głosami i poruszali się na paluszkach. Recepcjonista podszedł do mnie i powiedział półgłosem:

— Proszę pani, ona czeka na panią na górze. Nakazała mi, bym ją wpuścił do pani pokoju.

— Na litość boską, człowieku, jaka znów ona?

— Pani Cameron! Tamta pani Cameron.

— Rozumiem. W porządku.

Wchodząc po schodach zastanawiałam się, co się za chwilę wydarzy i jakie nowe pogroźki usłyszę. Przystanąłam na moment i zaczerpnęłam głęboko powietrza. Potem otworzyłam drzwi i weszłam do pokoju. Tutaj ja byłam u siebie, a ona — intruzem.

Siedziała przy oknie. Nie miałam wątpliwości, że czeka na mnie. Wolno przeszłam przez pokój. Ku memu zdumieniu jej usta rozchyliły się w uśmiechu powitania. Wstała, wolno wyciągnęła ręce i zrobiła kilka kroków w moją stronę. Zatrzymałam się zupełnie zdezorientowana. Wprost nie wierzyłam własnym oczom, by mogła w niej zajść aż taka zmiana.

— Maeve, proszę, wybacz mi. Wybacz nam wszystkim.

Chciała mnie objąć, ale cofnęłam się. Wolno opuściła ręce wzdłuż ciała i spoważniała.

— Nie mam do ciebie pretensji, moja droga. Zasłużyłam sobie na takie potraktowanie. Czy potrafisz mi przebaczyć?

— Jestem gorącą zwolenniczką puszczenia win w niepamięć — odpowiedziałam chłodnym tonem. — Ale jedyne co w tej chwili czuję, jeśli w ogóle jestem zdolna do jakichkolwiek uczuć, to podejrzliwość.

Pokiwała głową i na chwilę spuściła wzrok. Z jej ust wydobyło się głębokie westchnienie.

— Kiedy do nas przyszaś, wyrządziliśmy ci ogromną krzywdę. Byliśmy

niegrzeczni i niegościnni. Uważaliśmy cię za winną śmierci Joela.

— Jak mogłabym być temu winna? — wykrzyknęłam oburzona do głębi serca.
— Kochałam go, pani Cameron. Dałam mu szczęście, przyjaźń, radość, a teraz dam mu dziecko. A co pani mu dała?

Uniosła dłoń do oczu.

— Ja... ja...

Urwała i czułam, że chce, bym do niej podeszła. Nie ruszyłam się z miejsca, bo moja podejrzliwość nic a nic się nie zmniejszyła.

Znów na mnie spojrzała, błagając mnie wzrokiem o zrozumienie. Milczałam.

— Maeve, bez względu na to, co możesz sobie myśleć, Joel był moim ulubionym dzieckiem. Wiesz, że matki mają swoich ulubieńców. Nigdy nie dają tego po sobie poznać, ale zawsze jedno dziecko kochają więcej niż pozostałe. I Joel był właśnie takim najbardziej ukochanym przeze mnie dzieckiem.

— Szkoda, że nigdy nie dała mu pani tego odczuć.

— Należę do osób skrytych. Bardzo trudno przychodzi mi... ujawnianie tego, co czuję. Jestem... — Zacisnęła powieki i zwinęła dłonie w pięści. — Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie straszne stać tutaj i przepraszać cię. Próbowałam ci wszystko wytłumaczyć. Jestem matką Joela. Kochałam go. Chciałam go chronić, ale inni... mój mąż, Loran.. Helen... proszę cię, Maeve...

— Sprawiała pani wrażenie takiej... takiej obojętnej, gdy powiedziałam o dziecku.

— Byłam oszołomiona. Wszyscy byliśmy oszołomieni. Och, moja droga, wszyscy popełniamy błędy. Nasz błąd wydaje się niewybaczalnym grzechem, ale naprawdę uważaliśmy cię za awanturnicę. Świat jest ich pełen, polują na takich mężczyzn jak Joel. Myliliśmy się. Popełniliśmy ogromną pomyłkę, moja droga. A teraz zakomunikowałaś mi najwspanialszą nowinę, jaką może usłyszeć matka: że choć jej syn zmarł, jego część będzie nadal żyła. Nie mogę... nie mogę mówić dalej. Powiedziałam już wszystko. Nie potępiam cię, że odwróciłaś się...

— Przepraszam — powiedziałam.

Nabrała głęboko powietrza.

— Pójdę sobie już.

— Czemu nie uznała pani naszego małżeństwa? Joela bardzo zabolalo, że nie zareagowaliście ani słowem na nasz ślub. Może od innych niczego się nie spodziewał, ale od pani... od matki...

— Moja droga, wysłaliśmy długą depeszę... Przysięgam, że wysłaliśmy. Och... och, nie otrzymaliście jej. Nie mogę mieć do ciebie pretensji o to, co do nas czułaś. Gdzieś musi być kopia tej depeszy...

— A kiedy wysłałam pani telegram o śmierci Joela? Spuściła głowę.

— Pograżyłam się w żalu. Pozostali byli... byli źli. Nie zrobiliśmy nic i bardzo mi wstyd. — Spojrzała na mnie. — Cóż, nie mogę nic więcej powiedzieć, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Nie żywię do ciebie nienawiści...

— Wydaje mi się, że w głębi serca Joel panią kochał — powiedziałam. — Tak, jak ja panią pokocham.

Podeszła do mnie i rozplakałyśmy się, jak to często czynią kobiety w chwilach radości. Pomyślałam, że źle ją oceniłam, choć nadal nie czułam sympatii do pozostałych mieszkańców Wzgórza. Było na to jeszcze za wcześnie.

— Maeve — powiedziała — błagamy cię, zamieszkaj z nami. Przynajmniej dopóki nie przyjdzie na świat dziecko. Wtedy możesz zechcieć mieć swój własny dom, a my ci w tym pomożemy. Niczego nie będziemy od ciebie żądać. Wszystko co posiadamy, należy również do ciebie. Mamy nadzieję, że na zawsze z nami pozostaniesz, choć zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteś jeszcze bardzo młoda i niezwykle piękna, więc... pewnego dnia najprawdopodobniej w twoim życiu pojawi się drugi mężczyzna. Ale to wszystko przyszłość. Teraz chcemy być pewni, że jesteś szczęśliwa i że na niczym ci nie zbywa. Chcemy, byś urodziła zdrowe i silne dziecko. Pozwól nam dzielić twoje szczęście. Pozwól nam pomóc sobie, byś zapomniała o samotności.

— Z prawdziwą radością przeprowadzę się na Wzgórze — powiedziałam. — Dziecko Joela urodzi się wśród swoich najbliższych. Bo ja nie mam już żadnej

rodziny.

— Masz, Maeve. Jesteś członkiem rodziny Cameronów. Przygotujemy dla ciebie pokoje. Zobacysz... będą bardzo ładne. Zajmiemy się tobą i wynagrodzimy ci cierpienia, które do tej pory przez nas znosiłaś.

— Cieszę się, że pani przyszła — powiedziałam. — Mój dotychczasowy pobyt tutaj przypominał koszmar.

Znów mnie objęła i zanim wyszła, uroniła jeszcze kilka łez. Zostawiła za sobą delikatny zapach lawendy, który bardzo lubiłam. Poczulałam się lepiej. W końcu miałam zostać zaakceptowana, a może nawet pokochana. Ludzie się zmieniają. Cameronowie narzucili sobie surowy, wyniosły i zimny sposób zachowania, zdając sobie sprawę ze swego bogactwa i władzy, ale w głębi serc zachowali jeszcze resztki przyzwoitości. Wiadomość o tym, że jestem w ciąży, sprawiła, iż opamiętali się i stali się ludzcy. Joel byłby zdumiony zmianą, jaka zaszła w matce, a zarazem bardzo szczęśliwy, że mnie zaakceptowano.

Spakuję się teraz, a potem pójdę do doktora Kinnery'ego, by mu powiedzieć o tym niespodziewanym obrocie spraw. Rano przeprowadzę się do swojego nowego domu. Tam przyjdzie na świat moje dziecko. Tam, gdzie powinno. Tam, gdzie chciałam, by się urodziło.

*

Kiedy pojawiłam się w gabinecie Glena Kinnery'ego, doktora nie było, bo udał się do kogoś z wizytą. Ale Jennie zaprosiła mnie do domu i zadbała, bym poczuła się jak u siebie. Opowiedziała mi o sobie. Jej życie bardzo przypominało moje. Ojciec Jennie, również doktor, wcześniej owdowiał i sam wychowywał dzieci, brat studiował medycynę, mieszkali w małym miasteczku, którego mieszkańcy nie mieli zbyt wielu powodów do radości. Pod wpływem jej opowieści zalała mnie fala wspomnień. Niektóre były przyjemne, inne — smutne.

— Wychowaliśmy się tutaj — powiedziała Jennie, kiedy usadowiła mnie w małym saloniku i przyniosła mi herbatę oraz kanapki z ogórkiem i rukwią. — Wszędzie wkoło dominowali Cameronowie, ale na nasze życie mieli właściwie

niewielki wpływ. Tata opiekował się chorymi nie wyłączając Cameronów i nie zwracał uwagi na to, co się dzieje, bo — jak mówił — to nie jego sprawa. Glen jest trochę inny, bo urodził się znacznie później, kiedy ludzie zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że fabrykanci, jak na przykład Cameronowie, są w takim samym stopniu zależni od robotników, jak robotnicy od fabrykantów.

— Dzięki Bogu, że w mojej wiosce nie istnieje nic takiego — powiedziałam. — Mężczyźni są rolnikami i rybakami, gospodarzą głównie na własnej ziemi, ale śmiem twierdzić, że żaden z nich nie zadowoliliby się mieszkaniem w takich domach, jakie są tutaj.

— Ależ, Maeve, u was ludzie pracują głównie na swoim. To olbrzymia różnica.

— Przypuszczam, że tak, choć obawiam się, że jeszcze niezbyt wiele o tym wiem, bo jestem tu za krótko, by naprawdę zorientować się, co się tu dzieje. Choć słyszałam kilka rzeczy, które mi się nie spodobały. Powiedz mi coś o swoim bracie.

— O Glenie? Cóż, niewiele można o nim powiedzieć. Oczywiście ubóstwiam go. Jest świetnym lekarzem. W Bostonie żylibyśmy opływając w dostatku, wydając wspaniałe obiady i bale, ale mieszkańcy Cameron potrzebują go, więc mieszkamy tutaj. Często mówiliśmy o wyjeździe stąd, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Zawsze ktoś był chory i nie można go było zostawić.

— Dziwię się, że jest kawalerem. Wiem, że jeszcze nie jest stary i większość mężczyzn w jego wieku...

— Wiem. Jestem od niego cztery lata młodsza. Nie jestem taka ładna, by uganiał się za mną rój wielbicieli. Mówiąc szczerze, w naszym miasteczku nie ma zbyt wielu młodzieńców, do których bym czuła sympatię. Może to samolubne z mojej strony, ale wydaje mi się, że gdybym poślubiła kogoś z miejscowych, na dobre zamknęłabym sobie drogę w świat. Wtedy już nigdy nie opuściłabym tego miasta i musiałabym się pożegnać z marzeniami o wyjeździe. Więc czekam.

— A Glen czeka z tych samych powodów?

— Glen czeka, ponieważ... wydaje mi się, że czeka na kogoś. Na kogoś wyjątkowego, kogo jeszcze nie zna, ale kto na pewno się pojawi. Rozumiesz mnie?

Skinęłam wolno głową, bo świetnie ją rozumiałam.

— Tak, Jennie. I dobrze, że czeka, inaczej mógłby popełnić poważny błąd. Jest przecież takie powiedzenie, że każdy znajdzie swoją parę.

— Czy Joel był dla ciebie tym wybranym? — spytała szczerze.

Niełatwo mi było odpowiedzieć na to pytanie. Zamyśliłam się, bo chciałam udzielić jej prawdziwej odpowiedzi.

— Cóż, sądzę, że tak. Póki żył. Teraz, gdy go zabrakło wśród nas, może... nie wiem na pewno... ale może po raz drugi trafię na kogoś odpowiedniego. Któż to może wiedzieć?

Do domu wpadł jak burza Glen. Zobaczył mój powóz przed wejściem. Jego pojawienie się oszczędziło mi zakłopotania, jakie czułam, próbując odpowiedzieć na pytanie Jennie nie zdradzając przy okazji, że mój los, jak również Glena, jest już postanowiony.

— Co się stało? — spytał. — Poszedłem do pacjenta mieszkającego w zajeździe i powiedziano mi, że pojawiła się tam pani Cameron, a odjechała zaledwie godzinę temu, spędziwszy z panią sporo czasu, Maeve.

— To prawda. Przyszła zawrzeć ze mną pokój. Mam się przeprowadzić na Wzgórze i zamieszkać w ich siedzibie, jak przystało na członka rodziny Cameronów.

— Maeve, nie ufaj im. Kiedy stają się mili i skruszeni, wtedy są najbardziej niebezpieczni.

— Panie doktorze, muszę gdzieś zamieszkać. Sam mi pan powiedział, że niełatwo z nimi walczyć.

— Uważam, że Maeve ma rację — powiedziała Jennie. — Będzie miała u nich najlepszą opiekę i wszelkie wygody. A cóż mogą jej zrobić? Uważam, że zmienili swój stosunek do niej, bo zdali sobie sprawę z tego, że nie mogą ot, tak, pozbyć się matki swego wnuka, jakby była nikim. Najważniejsza jest ciągłość rodu.

— Może jestem zbyt podejrzliwy — zgodził się Glen, choć widziałam, że zrobił to niechętnie. — Pragnę jedynie, by Maeve więcej przez nich nie cierpiała.

— Dziękuję za życzliwe słowa — powiedziałam. — Obiecuję, że jeżeli tylko

zaczę podejrzewać, iż zaprosili mnie do siebie kierując się jakimiś samolubnymi pobudkami, natychmiast przyjdę do pana i zastosuję się do pańskiej rady, bez względu na to, jak byłaby drastyczna.

Skinął głową.

— W porządku, zgadzam się na to.

— Posłuchaj go tylko — powiedziała Jennie z pobłażliwym śmiechem. — Słyszając, jak ci wydaje polecenia, można by pomyśleć, że jest twoim mężem.

— Cóż... nie chcę, by Maeve wyrobiła sobie o nas, mieszkańcach Cameron, niepochlebnią opinię. Jak już powiedziałem, pragnę oszczędzić jej dalszych cierpień.

— Doceniam to, Glenie — powiedziałam cicho.

— Och... to dlatego, że jestem lekarzem, a pani jest w ciąży i... i... i tak niedawno straciła pani męża. A przedtem ojca. Zwalilo się na panią tyle nieszczęść naraz. Chcę, by urodziła pani zdrowe dziecko i sama zachowała siły oraz dobre samopoczucie. Od tego są przecież lekarze. Powinni dbać o to, by pacjenci byli nie tylko zdrowi, ale również szczęśliwi.

Jennie zasłoniła usta, by ukryć uśmiech, a ja nalałam mu herbaty, żeby też mógł ukryć swoje zmieszanie. Biedaczysko, nie wiedział, co los szykował dla niego w zanadrzu.

Zmienił temat rozmowy. Rozprawialiśmy o fabryce i Cameronach, póki jakiś pacjent nie oznajmił swego przybycia okrzykiem pełnym zniecierpliwienia. Tak się zagadaliśmy, że nie słyszeliśmy odgłosu dzwonka.

— Koniecznie przychodź do mnie raz w tygodniu, Maeve — zastrzegł odstawiając filiżankę z herbatą. — Chcę mieć pewność, że wszystko przebiega prawidłowo.

— Och, będę przychodziła na pewno — obiecałam.

Kiedy wybiegł z pokoju, Jennie wybuchnęła śmiechem.

— Glen zazwyczaj nie traci tak łatwo głowy.

— No cóż, chce mi pomóc i jest bardzo przejęty.

— Bada przyszłe matki nie częściej niż raz na dwa miesiące. Cóż może być w

twoim przypadku tak niezwykłego, że chce cię widywać co tydzień?

— Sądzę, że pragnie po prostu dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie Cameronów — powiedziałam ze śmiechem. — Nie chce, byśmy sobie pomyślały, że lubi ploteczki, więc wymyślił sobie taki podstęp.

— Cieszę się, że chce cię tak często widywać, bo ja też tego pragnę. I nie tylko, żeby sobie poplotkować, chociaż nie wybaczyłabym ci, gdybyś mi nie powiedziała, co się dzieje na Wzgórzu.

Opuściłam dom Kinnerych w radosnym nastroju i udałam się do zajazdu, by dokończyć pakowanie i nazajutrz rano przenieść się na Wzgórze, gdzie miał się rozpocząć nowy rozdział w moim życiu. Zapowiadało się wiele wydarzeń, zarówno dobrych, jak i złych.

Byłam gotowa stawić wszystkiemu czoło.

Rozdział siódmy

Kiedy następnego dnia udałam się do siedziby Cameronów, zgotowano mi zupełnie inne przyjęcie niż poprzednio. Wszyscy czekali na mnie przed domem. Matka i ojciec Joela, jego ciotka Marcy Tabor, siostra Helen wraz z mężem Ashleyem Easterlym. Byli również stryj Loran Cameron oraz brat Abner, który już wcześniej okazał mi tyle życzliwości. Nawet Martha, do tej pory zachowująca się z taką rezerwą, uśmiechnęła się do mnie lekko i władcym tonem poleciła, by mój bagaż zaniesiono do przygotowanych dla mnie pokoi.

Matka Joela objęła mnie w pól i razem Weszliśmy do środka.

— Maeve, jesteśmy tacy szczęśliwi, że zgodziłaś się z nami zamieszkać. Z wyjątkiem Helen i Ashleya wszyscy już mamy młodość za sobą i miło nam gościć kogoś takiego jak ty.

Helen również nie zachowywała się tak sztywno jak przy pierwszym spotkaniu.

— Lubisz jeździć konno, Maeve? Jeśli tak, to możemy codziennie rano urządzać sobie przejażdżki. Mamy piękną stajnię, a ja ubóstwiam jazdę konną.

— Z przyjemnością skorzystam z twojej propozycji — powiedziałam. — Takie tu cudowne okolice.

— Do moich obowiązków należy wprowadzenie cię w interesy rodziny Cameronów — odezwał się Loran. — Ale to nic pilnego. Na razie przyjemnie spędzaj czas. Na obowiązki przyjdzie jeszcze pora.

— W każdej chwili gotowa jestem w miarę swoich możliwości włączyć się w prowadzenie rodzinnego interesu — oświadczyłam.

Ciotka Marcy uśmiechała się tylko, jakby uśmiech przyrósł jej do ust i bała się, że pierzchnie, gdy rzuci jakąś uwagę. Poza tym chyba nie miała mi nic do powiedzenia. Abner oczywiście wykorzystał sytuację i nie tylko mnie objął, ale również mocno pocałował, manifestując w ten sposób swoją szczerą przyjaźń i gorące uczucia.

A więc wprowadziłam się do domu na Wzgórzu. Przez pierwszy tydzień włóczyłam się po najbliższych okolicach, zapoznając się z nowym miejscem zamieszkania. Zwiedziłam przeszkloną altanę ze śliczną wieżyczką. Helen pokazała mi rzadkie okazy flory, które tam uprawiano. Rosły tu zresztą również zupełnie zwyczajne rośliny. Przedstawiono mi służących; byli zbyt nieśmiali lub sterroryzowani przez Cameronów i ograniczali się jedynie do ukłonów, dygnięć i lekkich uśmiechów. Wszystko za mnie robiono. Sprzątano pokój, wieczorem przygotowywano łóżko. Z Nowego Jorku nadeszły moje kufry, więc przydzielona mi garderoba wypełniła się sukniami, płaszczami, kapeluszami i butami. Po przyjeździe do Ameryki poczyniłam odpowiednie zakupy i nawet Helen była pod wrażeniem moich strojów.

Akurat tego dnia, kiedy miałam iść na badanie okresowe do Glena, pani Cameron poinformowała mnie, że za tydzień wydany zostanie na moją cześć oficjalny obiad i bal.

— Wiem, że to może za wcześnie — wyjaśniła — ale pomyśleliśmy, że lepiej zrobić to teraz, zanim jeszcze twój odmienny stan będzie widoczny, byś nie czuła się skępowana.

— Dziękuję, że pani o tym pomyślała — powiedziałam. — Jestem pewna, że to będzie wielki bal. Postaram się zachować jak prawdziwa dama.

Przytknęła policzek do mojej twarzy.

— Moja droga, przecież jesteś prawdziwą damą. Nie mamy co do tego najmniejszych wątpliwości.

Do gabinetu lekarskiego pojechałam powozem. Na koźle siedział woźnica w liberii. Poczekalam na swoją kolejkę. Upewniłam się, że będę ostatnią pacjentką tego dnia.

Glen zaprowadził mnie do gabinetu, cofnął się kilka kroków i obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem.

— No, nie wyglądasz jeszcze jak członek rodziny Cameronów — oświadczył. — Usiądź, proszę, i powiedz mi, jak się czujesz.

— Zupełnie dobrze. Często zapominam, że jestem w odmiennym stanie. Nie miałam więcej torsji, natomiast apetyt dopisuje mi jak nigdy.

— Nie roztyj się — ostrzegł mnie i dość pobieżnie zbadał, ale wiedziałam, że dokładniejsze oględziny lekarskie nie są potrzebne.

— A jak tam życie wśród bogaczy?

— Całkiem przyjemne. Czy można powiedzieć co innego? Sądzę, że rozleniwiałabym się, gdybym zbyt długo prowadziła taki tryb życia. Oczywiście teraz najważniejsze jest dziecko, więc nie przepracowuję się zbyt. W przyszłym tygodniu Cameronowie wydają oficjalny obiad i bal. Chciałabym, byście razem z Jennie przyszli jako moi goście.

— Czy pani Cameron zwróciła się do ciebie, byś nas zaprosiła?

— Nie, ale skoro bal wydawany jest na moją cześć, uważam, że mam prawo zaprosić jedyną parę przyjaciół, jakich mam w tym mieście.

Potrząsnął głową.

— Maeve, nawet gdyby nas zaproszono, nie Przyszlibyśmy. Tutejsi ludzie nie zrozumieliby nas. Powiedzieliby, że w końcu złamaliśmy się i przyłączyliśmy do ich klanu. Pragniemy tego uniknąć. Dałbym wszystko, by móc cię ujrzeć w balowej

kreacji i poprosić cię do tańca, ale to niemożliwe. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

— Tak, rozumiem i nie mam do ciebie pretensji. Ale zachowałabym się bardzo nieładnie, gdybym was nie zaprosiła.

— Tak czy inaczej dziękuję za zaproszenie. Jak się czujesz w ich domu? Chodzi mi o twoje samopoczucie.

— Jeśli musisz wiedzieć, nie najlepiej. Tak jakby to nie było miejsce dla mnie, z czego zarówno oni jak i ja zdajemy sobie sprawę. To ledwo wrażenie, ale ani na chwilę mnie nie opuszcza. Podejrzewam, że spowodowane jest sposobem, w jaki mnie potraktowali podczas naszego pierwszego spotkania oraz tym, co do nich czuł Joel.

— Być może. Pamiętaj, kiedy będzie ci zbyt źle, kiedy zaczniesz odnosić wrażenie, że coś knują, natychmiast się wyprowadzaj. Jeśli okaże się to niemożliwe, każ posłać po mnie. Udaj, że jesteś chora, że coś ci dolega, obojętne co, byleby tylko mnie wezwali.

Wydawało mi się, że nadmiernie niepokoi się o mnie. Sprawilo mi to przyjemność, ale zarazem zdenerwowało.

— Myślisz, że będą jakieś kłopoty? — spytałam.

— Po tej rodzinie można się spodziewać wszystkiego. Zmusz ich, by pokazali ci fabrykę. Zorientuj się, jak tam stoją sprawy.

— Loran już mnie zaprosił do zwiedzania zakładów — powiedziałam. — Wkrótce zamierzam się tam wybrać. Ale, Glenie, nie boję się ich. Są dla mnie bardzo mili. Moje dziecko urodzi się w najlepszych warunkach, jakie tylko można sobie zamarzyć, a to teraz dla mnie najważniejsze. Myślę, że dla nich też.

— Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Helen zaprosiła mnie na przejażdżkę konną. Czy w moim stanie mogę jeździć konno?

— Na razie jeszcze tak. Później ci zabronię. Powiem ci, kiedy będziesz musiała z nich zrezygnować.

— W takim razie do zobaczenia za tydzień.

— Proszę, przyjdź koniecznie.

— Jeśli pozwolisz, pójdę się teraz zobaczyć z Jennie.

— Jennie jest akurat u jednego z moich pacjentów. Od czasu do czasu wykorzystuję ją w roli pielęgniarki, do której jest wprost stworzona. Będzie żałowała, że nie spotkała się z tobą. Może w przyszłym tygodniu uda wam się zobaczyć.

— Mam nadzieję. Stęskniłam się za nią.

Zawieziono mnie prosto na Wzgórze. Powóz dość szybko przemknął ulicą Main, jakby woźnica wstydził się, że go jeszcze ktoś ujrzy na koźle takiego wytwornego wehikułu.

Czułam, że Glen zbyt się o mnie martwi. Choć doceniałam jego troskę, uważałam ją za przesadzoną, ale postanowiłam mu się nie sprzeciwić. Znał Cameronów lepiej niż ja.

Z braku zajęć dni zaczęły mi się dłużyć niemiłosiernie. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Dokładnie poznałam wszystkie zakamarki domu. Spacerowałam po ogrodzie tyle razy, że znałam na pamięć wszystkie ścieżki. Czułam się zażenowana tym, że tak często zmuszam ogrodników do odrywania się od pracy, bo na mój widok ściągali czapki i kłaniali mi się. Gdyby to było w mojej mocy położyłabym temu kres.

W poniedziałek Helen przypomniała mi, że obiecałam udać się z nią na przejażdżkę. Nie miałam odpowiedniego stroju, bo kiedy w Nowym Jorku uzupełniałam swoją garderobę, nie przypuszczałam, że będzie mi potrzebna suknia do konnej jazdy. Ale Helen wyszukała dla mnie odpowiedni ubiór, który leżał jak ulał, bo miałyśmy mniej więcej takie same figury. Jedyne spódnica była trochę przyciasna, ale jakoś udało mi się ją dopiąć. Przyprawiono mi białą klacz, dając mi do zrozumienia, że tylko ja będę na niej jeździła.

Ruszyłyśmy przez pola w stronę drewnianego mostku. Dalej rozciągały się pastwiska i całkiem spore gospodarstwa. Usłyszałyśmy, że za nami podąża ktoś jeszcze. Helen zaklęła pod nosem.

— To Ashley. Nie prosiłam go, by nam towarzyszył.

— A cóż to za różnica, Helen? Starczy miejsca dla wszystkich. Świetnie jeździsz.

— Ale nie tak dobrze jak ty. Nie wiedziałam, że w Irlandii miałaś okazję jeździć konno.

— W moich stronach to najpowszechniejszy sposób przemieszczania się. Ale nie stosujemy takich siodeł jak te. Najczęściej jeździmy na oklep, nogami ściskając boki konia, by nie spaść na ziemię.

— Chciałabym kiedyś spróbować takiej jazdy — powiedziała uśmiechając się lekko. — Musi być tam u was ładnie. Czy Joel dużo jeździł konno?

— Bardzo mało. Za krótko tam był. Powiedz mi, czy kiedykolwiek miał jakieś problemy z żołądkiem?

— Nie. Przynajmniej nic mi o ty nie wiadomo.

— Wciąż nie daje mi spokoju jego choroba i śmierć. Było to wszystko bardzo tajemnicze. Przez kilka dni czuł się nie najlepiej, a potem nagle... jego stan się pogorszył i wkrótce nastąpił koniec. Często zastanawiam się, czy to nie była jakaś przewlekła choroba, o której nic nie wiedziałam.

— Joel nigdy nie był tak silny jak na przykład Abner. Ale nie był również chorowity.

Nie mogłyśmy dłużej kontynuować tego tematu, bo przyłączył się do nas Ashley. Miał na sobie modny strój jeździecki, a na głowie czerwoną filcową dzokejkę. W rękę trzymał harap, który na powitanie uniósł wysoko nad głowę.

— Ścigajcie mnie — krzyknął i pogalopował.

Helen zmusiła swego konia do szybkiego biegu. Moja klacz automatycznie przyjęła wyzwanie i dołączyła do wyścigu. Szybko doganiałyśmy Ashleya, który co chwila oglądał się do tyłu, wyraźnie zaniepokojony faktem, że zostanie pokonany.

Kiedy nasze wierzchowce zrównały się, moja klacz niespodziewanie zerwała się do galopu. Nie mogłam jej powstrzymać.

Zupełnie nie wiedziałam, co jej się stało i jedyne, co mogłam zrobić, to trzymać się kurczowo, by nie zlecieć. Klacz gnała jak szalona, a ja nie miałam dosyć sił, by ją zatrzymać. Przeskoczyła niski płot, którego nawet nie zauważyłam, więc nie zdążyłam przybrać odpowiedniej pozycji. Wyleciałam z siodła. Mówiąc szczerze nie byłam

przyzwyczajona do jazdy w damskim siodle, a poza tym nie wiedziałam czego się przytrzymać. Ciężko spadłam na ziemię i kilka razy przeokoziółkowałam. Kiedy się w końcu zatrzymałam, byłam nieco oszołomiona. Wpatrywałam się w niebo, próbując sobie uzmysłwić, co się właściwie stało. Po chwili pochyliła się nade mną Helen.

— Maeve, nic ci nie jest? Możesz się ruszać?

Wyciągnęłam rękę.

— Myślę, że wszystko w porządku, ale nie jestem pewna. — Pomacałam nogi i korzystając z pomocy Helen usiadłam.

Po chwili udało mi się wstać. Byłam podrapana i potłuczona.

Ashley zatrzymał swego wierzchowca, zeskoczył z siodła i podszedł do nas. Helen odwróciła się gwałtownie i z całej siły zdzieliła go harapem, który aż przeciął mu skórę. Na twarzy mężczyzny ukazała się cienka krwawa pręga. Krzyknął z bólu i cofnął się.

— Niech cię diabli! — krzyknęła gniewnie. — Niech cię diabli za twoją głupotę!

— To był wypadek — powiedział. — Wypadek, Helen.

— Wypadek? — spytałam. — Co się stało?

— Ponieważ zaczęłyście mnie doganiać, próbowałem zmusić moją szkapę do szybszego biegu — zaczął się tłumaczyć Ashley.

— Twoja klacz była tuż obok i kiedy zamachnąłem się harapem na swego konia, przypadkowo smagnąłem twoją klacz. Wyskoczyła do przodu jak strzała.

— To chyba zrozumiałe — powiedziała Helen. — Nie wiesz, że Maeve spodziewa się dziecka?

— Och, Matko Przenajświętsza! — wykrzyknęłam. — Zupełnie o tym zapomniałam.

— Maeve, dosiądź mojego konia. Twoja klacz wciąż może być podenerwowana. Odprowadzę ją do stajni. Jedź wolno i ostrożnie. Ashleyu, jeśli chcesz się jakoś zrehabilitować za swój głupi czyn, pędź do miasta. Zanim pojawimy się w domu, niech już tam na nas czeka doktor Kinnery.

Ashley, spoglądając na krew na ręce, którą dotknął przeciętego policzka, skinął bez słowa i pogalopował. Helen pomogła mi dosiąść swojego konia i wolniutko skierowałyśmy się w stronę domu. Czułam się zupełnie dobrze, ale nie byłam pewna, czy to dobry znak, czy też nie. Nagły wybuch gniewu Helen zdumiał mnie. Przez chwilę bałam się, że posieka swego męża na drobne kawałki.

— Mój mąż — powiedziała — jest człowiekiem leniwym i bezmyślnym. Są chwile, kiedy go nienawidzę. Powinien być ostrożniejszy.

Zaczęłam odczuwać w całym ciele ból wywołany upadkiem i byłam skłonna się z nią zgodzić, uważałam jednak, że jej wybuch gniewu był niczym nie usprawiedliwiony.

— Znalazłam się tuż obok niego — powiedziałam. — I muszę stwierdzić, że gdybym jechała tak, jak to mamy w zwyczaju robić w hrabstwie Mayo, nie spadłabym z konia. Zsunęłam się z tego śliskiego siodła, jakby było wysmarowane tłuszczem. Nie osądzaj swego męża tak surowo.

— Gdybyś nie była w ciąży...

— Nic mi nie będzie, Helen. Jestem tego pewna.

Kiedy dotarliśmy do domu, Ashleya nie było jeszcze z doktorem Kinnerem i nikt nie wiedział, co nam się przytrafiło. Kiedy Helen opowiedziała o całym zdarzeniu, natychmiast położono mnie do łóżka. Pani Cameron czuwała nade mną, podczas gdy pozostali domownicy zebrali się przed drzwiami pokoju, jakby w każdej chwili spodziewali się mojej śmierci.

Wkrótce pojawił się wielce zaniepokojony Glen. Zanim przystąpił do badania, polecił, by wszyscy opuścili pokój. Zaczął zadawać mi pytania, oglądając jednocześnie ręce i nogi, kazał mi usiąść i zrobić głęboki skłon, by sprawdzić, czy nie doznałam żadnych obrażeń kręgosłupa.

— Masz już pierwsze siniaki — powiedział. — Ashley mówił mi, że przypadkowo uderzył harapem twego konia, a ten zrzucił cię z siodła. Czy rzeczywiście tak było?

— Tak, panie doktorze.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem, by jeździec uderzył harapem nie swojego konia. Jesteś pewna, że to był wypadek?

— A cóż innego mogłoby to być?

— Kto mu tak przeciął twarz? Nie wiem, czy nie trzeba będzie mu zszywać policzka.

— Jego żona zdzieliła go harapem. Była wściekła.

— Nie masz zawrotów głowy? Nie boli cię brzuch?

— Nie, tylko się trochę potłukłam. Jestem pewna, że nic mi nie będzie. To Helen posłała po ciebie, a nie ja.

— Taka troskliwość ze strony Cameronów jest podejrzana — powiedział. — Przyjdź do mnie pojutrze. Chyba że poczujesz się źle lub wystąpią jakieś bóle brzucha.

— Dobrze, doktorze.

— Maeve, zaczynam się o ciebie martwić.

— Cieszę się.

— Tak? Pozwól mi powiedzieć... Urwał gwałtownie, wyraźnie zakłopotany.

— Tak, panie doktorze — powiedziałam. — Chciał mi pan zakomunikować...

— Nie, nie, to nic takiego. Pójdę już. Nie nadwerężaj się zanadto i może już więcej nie jeździj konno.

— Jak pan każe, panie doktorze.

— Do widzenia, pani Cameron — powiedział oficjalnie. — Do zobaczenia za tydzień.

Sztywnym krokiem opuścił pokój, jakbym go czymś uraziła. Chciał mnie biedaczysko pocałować, ale zabrakło mu odwagi. Gdyby nie drogie mi wspomnienie Joela, sama bym go pocałowała. A to, bez wątpienia, do czegoś by doprowadziło.

Początkowo chciałam koniecznie wstać z łóżka, ale trzy godziny później byłam tak obolała, że ucieszyłam się, kiedy przyniesiono mi kolację do pokoju. Kiedy zjadłam, postanowiłam ubrać się i zejść choć na chwilę na dół. Na półpiętrze usłyszałam, jak matka Joela ostro strofowała Ashleya.

— Jeszcze jeden tak głupi błąd, a dopilnuję, by nie tylko wyrzucono cię z tego domu, ale byś nie dostał od nas ani jednego centa więcej. Ashleyu, jesteś przystojnym młodzieńcem, a co za tym idzie niezwykle cennym nabytkiem dla naszej rodziny, ale głupiec to ryzyko, a nie cenny nabytek. Dam ci jeszcze jedną szansę.

— Mówiłem, że to był wypadek — upierał się.

Głos matki Joela stał się bardziej chrapliwy, gdy powiedziała gniewnie:

— Nie ośmieszaj się. Narodziny dziecka Joela oznaczają, że po naszej śmierci nie przejmiesz interesów. A przecież tylko dlatego poślubiłeś Helen. Tymczasem Joel wystrychnął cię na dudka, prawda? Będziemy mieli spadkobiercę.

Słuchałam tego wszystkiego przerażona. Czy miała rację? Czy Ashley rozmyślnie spowodował wypadek, żebym straciła dziecko? Odwróciłam się, nie chcąc tego dłużej słuchać. Wówczas zauważyłam, jak Martha wycofuje się do jednej z sypialń, gdzie widocznie miała coś do zrobienia. Nie wątpiłam, że nie tylko mnie widziała, ale dosłyszała wystarczająco duży fragment tyrady swej chlebodawczyni. Byłam pewna, że doniesie pani Cameron, że słyszałam jej rozmowę z Ashleyem.

Zeszłam po schodach. Gniewna wymiana zdań ustała i kiedy weszłam do salonu, zastałam tam jedynie matkę Joela, zajęta robótką, nad którą spędzała większość wolnego czasu. Na mój widok odłożyła robótkę i poprosiła, bym usiadła.

— Mam nadzieję, że nie odniosłaś bolesnych obrażeń — powiedziała. — Doktor Kinnery zapewnił mnie, że życie twojego dziecka nie jest zagrożone, za co możemy być wszyscy wdzięczni Bogu.

— Tak, dzięki niech będą Bogu i wszystkim świętym. Pani Cameron, muszę pani coś wyznać. Przepraszam, ale schodząc na dół słyszałam, jak strofowała pani Ashleya. Trudno mi uwierzyć, że Ashley postąpił umyślnie, chcąc bym spadła z konia,

— Żałuję, że to usłyszałaś, Maeve. Owe uwagi nie były przeznaczone dla twoich uszu. Moim celem jest trzymać cię z dala od wszelkich trosk i zmartwień, żebyś mogła urodzić zdrowe dziecko.

— Czy naprawdę wierzy pani, że chciał skrzywdzić moje dziecko?

— Nie, raczej nie. Ale jeśli pomyśli, że w to wierzę, będzie na drugi raz ostrożniejszy. Żył łudząc się nadzieją, że jako najmłodszy z nas pewnego dnia wszystko przejmie. Teraz to marzenie za sprawą Joela — i twoją — prysnęło jak mydlana bańka. Jak myślisz, moja droga, czy będziesz miała syna?

— Mam taką nadzieję, ale właściwie nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Pokocham je niezależnie od tego, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka. Bo w tym dziecku będzie żył Joel. Nie potrzebuję niczego więcej.

— Czy w twojej rodzinie przeważali chłopcy czy dziewczynki?

— Obawiam się, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Chyba było więcej dziewczynek.

— Tak? Myślałam, że... że w rodzinach mieszkających na wsi, takich jak wasza... przeważają chłopcy. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że chłopcy są na wsi potrzebniejsi.

— Pani Cameron, mój ród bierze początek od królowej Maeve, na cześć której nadano mi imię. Nasz ród liczy sobie dwa tysiące lat. Niektóre pokolenia żyły dostatnio, inne — biednie, ale słyszałam, że wszyscy byli zdrowi i silni. I nigdy nie wymigiwali się od roboty ani od spełniania chrześcijańskich obowiązków.

— Ciekawe. Cieszę się, że mi to powiedziałaś. Moja droga, rano Loran pokaże ci fabrykę. Powinnaś wszystko o niej wiedzieć. Pewnego dnia kontrolę nad nią przejmie twoje dziecko. Zarządzanie fabryką zawsze pozostawało w rękach rodziny i modlimy się, by pozostało w nich wiecznie. Właśnie dlatego, moja droga, tak gorąco cię powitaliśmy.

— Ale nie wtedy, kiedy pojawiłam się tu po raz pierwszy — zauważyłam, bo pomyślałam, że należy jej o tym przypomnieć. Nie miałam zamiaru potulnie poddać się tej kobiecie.

Złapała mnie za rękę.

— Moja droga Maeve, my, ludzie majątni, musimy zawsze mieć się na baczności, by nie paść ofiarą awanturnic i łowców posagów. Przyznaję, że Ashley oszukał nas, ale posiadamy nad nim kontrolę i staramy się osiągnąć najwięcej, jak się

tylko da w zaistniałej sytuacji. Jeśli chodzi o ciebie, uważaliśmy cię za zwykłą wiejską dziewczynę, która postanowiła poślubić Joela dla jego pieniędzy.

— Kiedy zgodziłam się wyjść za Joela, nie wiedziałam, czy jest bogaty czy biedny — powiedziałam. — Było mi to obojętne. Nie poślubiłam pani syna dla pieniędzy. Pokochałam go z całego serca i nic nie sprawi mi większej przyjemności ani dumy niż urodzenie jego dziecka, które będę mogła równie mocno pokochać i troskliwie się nim opiekować.

— W pełni się z tobą zgadzam. Zaakceptuj nas takimi, jacy jesteśmy, a nauczysz się nas kochać, Maeve. Tak jak my pokochaliśmy cię. Z dumą przedstawimy cię naszym znajomym.

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak modlić się, by do chwili, kiedy włożę suknię balową, zniknęły siniaki. Jeśli mi pani wybaczy, pójdę teraz do siebie, by wypocząć przed jutrzejszą wyprawą ze stryjem Loranem do fabryki. Chcę się jak najwięcej dowiedzieć o zakładach.

Pocałowała mnie. Jej uścisk był gorący, dotyk jej policzka miał świadczyć o miłości do mnie, ale nie dostrzegłam w niej szczerego uczucia. W każdym geście pani Cameron przebijało wyrachowanie, zachowywała się poprawnie, ale nie było w niej nic z naturalności. Wiedziałam, że w tym domu nigdy nie będę się czuła jak u siebie, ale pozostanę tu, póki nie urodzi się syn Joela. Dopiero wówczas zadecyduję co robić dalej. Ale i wtedy wszystkie moje poczynania będą miały przede wszystkim na względzie dobro dziecka. Jednego byłam pewna: nie pozwolę, by moje dziecko wyrosło na ludzi ich pokroju. Ludzi, od których uciekł Joel. Jeśli on nie potrafił ich znieść, nie będę zmuszała do życia wśród nich jego dziecka.

Intrygowało mnie pragnienie pani Cameron, bym urodziła syna. Rozumiałam to. Mieliby kontynuatora rodu Cameronów, a poza tym chłopiec może potrafiłby zarządzać interesami rodziny lepiej niż dziewczynka. Ale kiedy powiedziałam pani Cameron, że obojętne mi, jakiej płci będzie dziecko, nie kłamałam. Zaciekawilo mnie to jednak do tego stopnia, że kiedy znalazłam się w swoim pokoju, wyciągnęłam zwierciadło królowej Maeve i zapaliłam obie lampy stojące na sekretarzyku, by mieć

więcej światła. Potem usiadłam, nachyliłam lustro i spytałam czarodziejskie zwierciadło królowej Maeve, czy urodzę chłopca, czy dziewczynkę.

Obraz tak szybko mignął mi przed oczami, że sprawiał wrażenie iluzji. Jeszcze nigdy nie był tak krótkotrwały. Rozpoznałam na nim jednak dziewczynkę. Wizja była jednak zbyt przelotna, bym mogła dostrzec dokładnie jej rysy.

Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl: że dziewczynka wkrótce po narodzinach umrze. Może to chciało mi zakomunikować zwierciadło, ukazując obraz dziecka na tak krótką chwilę. Wiedziałam, że póki nie wyjaśnię tej kwestii, nie zaznam spokoju.

— Czy moje dziecko będzie żyło? — spytałam zwierciadło. — Czy moja córka osiągnie wiek dojrzały? Błagam, odpowiedz mi. Do tej pory pokazywałoś mi same złe rzeczy. Umarł mój ojciec i mąż. Czy moja córka też umrze? Odpowiedz mi! Czy będzie żyła?

Tym razem obraz wyłaniał się powoli. Na początku wydawało się, że w miejscu, gdzie metal jest wklęsły, pojawia się cień. Wkrótce przeobraził się w profil dorosłej kobiety, by następnie zniknąć.

Delikatnie zawinęłam zwierciadło, wciąż nie wiedząc, co naprawdę oznaczał obraz, który ujrzałam, ale przynajmniej uspokojona, że moja córka dożyje pełnoletności. Wdzięczna byłam, że przynajmniej o tym zapewniło mnie lustro. Zamknęłam zwierciadło w jednej z moich waliz i położyłam się do łóżka. Zwierciadło uspokoiło mnie, więc szybko zapadłam w mocny sen.

Rano zjadłam śniadanie z Loranem, jedynym członkiem rodziny, który już był na nogach.

— Dziś rano mam cię zabrać do fabryki — powiedział — i zapoznać cię z grubsza z naszymi interesami. Spodziewam się, że masz głowę do tego typu rzeczy.

— To się okaże — powiedziałam szczerze — bo jeszcze nigdy w życiu nie zajmowałam się interesami. Myślę jednak, że będę nadążała za tokiem pana rozumowania i orientowała się, o czym pan mówi.

Spojrzał na mnie chłodno, wyraźnie szacując moje możliwości.

— Również mam taką nadzieję. Czy ostatnio kontaktowałaś się ze swoim nowojorskim adwokatem?

— Nie było potrzeby, choć jestem gotowa to uczynić, gdy uznam za stosowne. Obdarzył mnie chłodnym uśmiechem.

— To zabrzmiało niemal jak groźba. Jeszcze jeden herbatnik, moja droga? A może kawy?

— Tak, bardzo proszę — powiedziałam. — Nie wierzę w to całe głupie gadanie o jedzeniu za dwóch, ale jestem jeszcze głodna.

— Dasz nam zdrowego chłopaka, Maeve — powiedział.

— Doszłam do wniosku, że wydam na świat dziewczynkę, stryju Lorianie.

— Nie mów tak! Może to mieć wpływ na... na... na płęć dziecka, która mogła się jeszcze nie wykształcić. Myśl o tym, że urodzisz syna. Słyszałem, że to często skutkuje.

— Głupi przesąd — oświadczyłam. — Ale nawet jeśli tym razem będzie dziewczynka, może kiedy ponownie wyjdę za mąż, urodzę chłopca.

— Ponownie wyjdiesz za mąż? — Był przerażony na samą myśl o tym. — Chyba nie mówisz poważnie. Poślubiłaś Joela. Prawda, że umarł, ale... ale poślubiłaś go...

— Stryju Lorianie, sądzisz, że całe życie spędzę jako wdowa? Przecież mam zaledwie dwadzieścia jeden lat.

— Nie możesz wprowadzić do naszej rodziny obcego człowieka. Do cholery, to wykluczone. Będziemy musieli przedsięwziąć odpowiednie kroki...

Roześmiałam się, widząc jego złość pomieszana z konsternacją.

— Nie ma potrzeby tak się tym trapić. Z pewnością do mojego drugiego ślubu upłynie jeszcze nieco czasu.

Odetchnął z ulgą.

— Oczywiście. Zresztą któż w tym mieście by ci się spodobał. Niepotrzebnie się martwię.

Ciekawa byłam, jak by zareagował, gdybym mu powiedziała, że poślubię

doktora Glana Kinnery'ego i że nawet sam doktor Kinnery nie może się temu sprzeciwić. Biedaczysko mógłby na miejscu pęknąć ze złości.

Pośpieszyłam do swego pokoju, by ubrać się odpowiednio na wizytę w fabryce. Postanowiłam włożyć coś poważnego i niezbyt jaskrawego. Wybrałam brązową suknię ozdobioną koronką, a do tego płaszcz.

Loran czekał u podnóży schodów. Poszliśmy do stojącego przed wejściem powozu. Do fabryki pojechaliśmy wzdłuż ulicy Main. Na nasz widok kobiety przystawały i grzecznie się kłaniały.

Uderzyło mnie, że na ulicach nie widać mężczyzn ani dzieci, z wyjątkiem maluchów. Rozglądałam się za budynkiem szkoły, ale nie dostrzegłam go. Już miałam zwrócić się z pytaniem do Lorana, ale pomyślałam, że być może to nieodpowiedni moment, więc się powstrzymałam. Zanim podejmę jakieś decyzje albo zgłoszę zastrzeżenia, muszę się przedtem jak najwięcej dowiedzieć o mieście i fabryce.

Najpierw udaliśmy się do biura. Stało tam jakieś trzydzieści biur, przy których pracowali mężczyźni. Pochylali się nad księgami, siedzieli z nosami w papierach ani na chwilę nie unosząc głów. Widać było, że panuje tu surowa dyscyplina.

Gabinet Lorana był duży i przestronny, z kilkoma oknami wychodzącymi na ulicę. Nikt nie powiedział nam „dzień dobry”; praca nie ustawała ani na ułamek sekundy. Ci, którzy byli zatrudnieni w biurze, powinni być lepiej wykształceni, bystrzejsi, a co za tym idzie — bardziej skłonni do wykorzystania swojej uprzywilejowanej pozycji. Jednak nie zauważyłam, by ktokolwiek z nich czynił takie próby. Ciekawa byłam, jacy okażą się robotnicy fabryki.

Część gabinetu Lorana była wyłożona ciemnym drewnem. Za małym przepierzeniem z oknem, którego górna część była okratowana tak, że przypominało ono okienko bankowe, znajdowało się mniejsze pomieszczenie.

Loran wyjaśnił mi przeznaczenie pokoju i okienka.

— Co sobotę robotnicy ustawiają się w kolejce po pensję. Urzędnik odpowiedzialny za wypłaty sprawdza, ile każdy z robotników zalega za czynsz i na jaką kwotę dokonał zakupów w sklepie fabrycznym. Kwotę tę odejmuje się od pensji i

wypłaca różnicę, jeśli w ogóle taka jest. Jeśli nie — prolonguje się robotnikowi kredyt do następnego tygodnia. Wszyscy na ogół pilnują się, by nie popaść w nadmierne długi, a ci, którym się to przytrafi, szybko dostają nauczkę.

Opuściliśmy gabinet i udaliśmy się do hali fabrycznej. Loran oprowadził mnie tylko po parterze. Fabryka liczyła ogółem trzy piętra, wzniesiona była z granitowych bloków i miała dużo okien.

Wszędzie panowała czystość. Kilku mężczyzn przydzielonych było specjalnie do zamiatania.

— W fabryce bawełny zawsze istnieje ryzyko pożaru — wyjaśnił Loran. — Budynek jest z granitu. Stropy są drewniane, ale mają grubość ośmiu centymetrów, więc nie spłoną. Drewno jest lepsze od metalu, który się topi. W fabryce wybuchały pożary, ale zawsze się udawało stłumić je w zarodku. Jesteśmy z tego dumni.

Zauważyłam, że wewnątrz jest czyste, ale kiedy przechodziliśmy przez dziedziniec fabryczny, panował na nim brud nie do opisanego. Z kilku kominów buchały kłęby dymu, w jednym miejscu natknęłam się na olbrzymi stos węgla. Palono nim w piecach, a wytworzona para służyła do napędzania maszyn.

— Kiedyś wykorzystywaliśmy energię spadku wód — wyjaśnił Loran — ale węgiel jest tani, a maszyny parowe wydajniejsze, dzięki temu trzykrotnie mogliśmy zwiększyć produkcję. Szczególnie odnosi się to do greplarek.

Na jednym końcu długiego budynku wzniesiono wieżę, która mnie zaintrygowała.

— To dawna dzwonnica. Kiedyś początek i koniec pracy ogłaszano biciem w dzwon. Ale po przejściu na napęd parowy dzwon zastąpiła syrena. Dzwonnica jest jednak taka ładna, że nie rozebraliśmy jej. I musisz uczciwie przyznać, że jak na budowlę wzniesioną w 1825 roku prezentuje się całkiem nieźle. Mówiąc szczerze wygląda lepiej teraz niż kiedyś. Zachowaliśmy również w nietkniętym stanie koło wodne i w każdej chwili można je uruchomić. Dostarczało nam energii przed wprowadzeniem napędu parowego.

Na Lorana czekało dużo pracy, więc bez skrupułów wysłał mnie samą w drogę

powrotną do domu. Powóz wciąż czekał, ale kazałam woźnicy jechać przodem, a sama spacerkiem przeszłam się do ulicy Main.

Po drodze natknęłam się na małą bibliotekę i szkołę, w której z sześćdziesięciuro uczniów pilnie coś pisało. Żadne z dzieci nie miało więcej niż dziewięć, dziesięć lat. Dowiedziałam się później, że w wieku jedenastu, dwunastu lat kończyli edukację i szli do pracy w fabryce. W mieście był również kościół, który służył zarówno katolikom, jak i protestantom. W każdą niedzielę zjeżdżali do niego ksiądz i pastor. Bezpośrednio po jednej mszy odprawiano drugą.

Sklep fabryczny był otwarty, więc weszłam do środka. Na mój widok handel ustał. Był to spory magazyn, gdzie sprzedawano odzież, mięso, konserwy i inne artykuły spożywcze, narzędzia. Unosił się w nim odór nafty zmieszany z zapachem pikli.

— Proszę, nie przerywajcie sobie — powiedziałam. — Chciałam tylko zobaczyć, jak tu wygląda handel. Wiecie, że jestem wdową po Joelu Cameronie. Mam na imię Maeve.

Podeszła do mnie schludna, hoża dziewczyna w szarej sukni i w szarej chuście na głowie.

— Mówili, że jest pani z O'Hanlonów z hrabstwa Mayo. Jak ktoś taki jak pani trafił do siedziby na Wzgórzu? — spytała wskazując palcem za siebie.

— Jesteś Irlandką — powiedziałam uradowana. — Czy mieszka tu wielu Irlandczyków?

— Przynajmniej setka. Ale nie ma wśród nas nikogo z Mayo. Nigdy nie byliśmy aż tacy biedni, jeśli mi wolno tak powiedzieć.

— Oczywiście, możesz ze mną swobodnie rozmawiać. Nigdy się nie spodziewałam, że spotkam tu swych ziomków. Poślubiłam Joela Camerona. Mieszkał w Irlandii, w mojej wiosce. Biedaczysko umarł.

— Joel nie był taki jak oni. — Znów wskazała w stronę Wzgórza.

— I dzięki za to Bogu — powiedziałam żarliwie.

— Czyli że nie przyłączyła się pani do nich?

— Zamieszkałam z nimi, bo niedługo urodzę dziecko Joela, ale nie zamierzam spędzić z nimi reszty swojego życia. A jak ty masz na imię? Jeśli nie boisz się tego powiedzieć dziewczynie z rodu O'Hanlon, która stała się członkiem rodziny Cameronów.

— Doyle. Maggie Doyle. Mój mąż jest maszynistą w fabryce. Zarabia więcej od innych, ale nie zadziera nosa, a gdyby spróbował, już bym się z nim rozprawiła.

— Chciałabym złożyć wam wizytę — powiedziałam. — Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zaprosisz mnie do siebie?

— Wystarczy, jak spyta pani kogokolwiek, gdzie mieszkam, a wskażą pani drogę. Będzie pani mile widziana o każdej porze, ale jako Maeve O'Hanlon, a nie jako pani Cameron.

— Przyjdę — obiecałam. — Jest tu jeszcze dużo rzeczy, o których chciałabym porozmawiać.

— Proszę w takim razie mnie odwiedzić, Maeve O'Hanlon, bo mam długi język i krewki temperament. Ale jeśli komukolwiek powtórzysz to, co od nas usłyszysz, nie minie pół godziny, a razem z rodziną wyrzucą mnie z miasta.

— Nikomu nic nie powiem — obiecałam.

— Życzę w takim razie miłego dnia — powiedziała.

Kontynuowałam spacer ulicami miasta, aż dotarłam do domu Glena. Rzut oka na poczekalnię wystarczył mi, by wiedzieć, że jest bardzo zajęty, więc poszłam dalej. Woźnica jak nakazałam, jechał za mną. Kiedy dałam mu znak, że chcę wracać na Wzgórze, zatrzymał powóz, bym mogła wsiąść. Pomyślałam, że na pewno zamelduje Loranowi o każdym moim kroku, o każdym miejscu, do którego zajrzałam i każdej osobie, z którą rozmawiałam. Było mi to obojętne, nie chciałam tylko, by ktokolwiek miał przeze mnie kłopoty, więc w razie konieczności gotowa byłam przemilczeć niektóre szczegóły mojej wyprawy do miasta, a nawet posunąć się do kłamstwa.

Kiedy znalazłam się na Wzgórze, nie poszłam do domu, tylko pochodziłam trochę po parku, ciesząc się słońcem i świeżym powietrzem. Natrafiłam na cmentarz rodzinny. Ciekawa byłam, ile osób zamieszkiwało dom na Wzgórze, zanim pojawili

się w nim obecni lokatorzy. Wydawało mi się, że Cameronowie mają prawo być dumni ze swych przodków i dążyć do tego, by utrzymać tradycje rodu. Ale owego dnia widziałam sporo rzeczy, które mi się nie spodobały, a chciałam dowiedzieć się jeszcze więcej.

W samo południe zjadłam obiad z ciotką Marcy Tabor, która podczas posiłku zapoznała mnie z własną opinią o wszystkich członkach rodziny. Było dla mnie zagadką, czemu wciąż tu mieszkała. A raczej — czemu pozwalano jej tu mieszkać.

— Nie jestem przyzwyczajona do spożywania obiadu w towarzystwie — rozpoczęła swój wywód. — Zazwyczaj jadam sama. Mojej siostrze zanoszą obiad do pokoju. Moja siostrzenica Helen całymi dniami jeździ konno i nie wraca na obiad, bo napycha się na śniadanie. Jej mąż wstaje tak późno, że śniadanie je w porze obiadu, a często — w porze kolacji. Lorana nigdy nie ma w domu, podobnie jak pana Camerona. Oczywiście, są usprawiedliwieni, bo muszą doglądać interesów. Abner stara się jak najmniej przebywać w domu. Gdzieś pojechał i prawdopodobnie jak zwykle wróci pijany. Kiedyś Joel dosyć często jadał ze mną obiad. Bardzo lubiłam te nasze wspólne posiłki, ale odkąd wyjechał, jestem samotną kobietą w domu pełnym ludzi.

— Chętnie będę jadła obiady razem z panią — przyrzekłam. — Ja też nie lubię jadać sama.

Na tym zakończyłyśmy naszą rozmowę. Mimo swej samotności poświęciła teraz całą energię na wymyślanie pokojówkom, które nam usługiwały. Zanim skończyłyśmy jeść, pomyślałam sobie, że może inni celowo trzymali się od niej z daleka. Ta kobieta była nieznośna.

Przeprosiłam ją i udałam się do swojego pokoju, gdzie spędziłam resztę popołudnia. Tuż przed kolacją zapukała do mnie pokojówka z informacją, że Loran czeka na mnie w bibliotece.

Zeszłam na dół dobrze wiedząc, co Loran chce mi powiedzieć, ale nie przejmowałam się zbytnio. Był uprzedzająco grzeczny i nawet poprosił, bym usiadła. Delektował się kieliszkiem madery, ale nie skorzystałam z propozycji, by napić się

razem z nim.

— Co sądzisz o naszej fabryce, Maeve? Odpowiedz mi szczerze.

— Myślę, że praca w niej musi być straszna, stryju Loranie.

— Ale nie masz nic przeciwko temu, by korzystać z pieniędzy, które nam przynosi?

— Nie jestem pewna.

— Rozumiem. A samo miasto?

— Za mało je poznałam, by się wypowiadać na jego temat.

— Czy pani Doyle nie opowiedziała ci o nim?

— Pani Doyle spytała, czy jestem Irlandką. Rozmawialiśmy o naszym kraju. Zaprosiła mnie na podwieczorek, byśmy mogły kontynuować nasze wspomnienia o rodzinnych stronach. Prawdopodobnie skorzystam z jej zaproszenia.

— Aha, od niej dowiesz się, że źle płacimy, za dużo wymagamy od naszych robotników, liczymy im za wysoki czynsz, a w naszym sklepie fabrycznym panuje drożyzna.

— A czy to wszystko prawda?

— Jesteśmy ludźmi interesu. Naszym celem jest osiągnięcie zysku.

— Bez wątpienia — odparłam.

— Wszystkie fabryki są podobne. A nasza pod żadnym względem nie różni się od innych. Więc... jeśli ci się to nie podoba, może wolałabyś, żebyśmy cię wykupili.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, czemu pokazano mi fabrykę, niczego przede mną nie ukrywając, i pozwolono mi porozmawiać z mieszkańcami miasta. Postanowiłam nie dać po sobie poznać, że ich przejrzałam.

— Zanim podejmę taką ważną decyzję, muszę załatwić pewną sprawę osobistą — powiedziała. — Mam na myśli urodzenie dziecka.

— Ach, tak, oczywiście — zgodził się ze mną Loran. — Ale jeśli po tym radosnym wydarzeniu dojdiesz do wniosku, że nie odpowiadają ci panujące tutaj warunki, nie będziemy cię zatrzymywali siłą. Wypłacimy ci dokładnie jedną trzecią wartości firmy. To pokaźna suma. Bardzo pokaźna suma.

— Powrócimy do tego tematu po narodzeniu się mojego dziecka — powiedziałam.

— Oczywiście. Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej.

Kolacja upłynęła w przyjemnej atmosferze. Obecni byli wszyscy, nawet Abner, który wydawał mi się zupełnie trzeźwy i brał żywy udział w rozmowie. Po kolacji przeprosiłam zebranych i poszłam do swojego pokoju, bo odczuwałam zmęczenie. Zapadł letni zmierzch, ale nie chciałam jeszcze zapalać lampy.

Spoglądałam na zielone pola za oknem i myślałam, że niełatwo porzucić taki tryb życia, jaki mogłam tu prowadzić. Jednak przez to samo okno widziałam dym spowijający miasto, choć fabryczne kominy co najmniej od dwóch godzin były nieczynne.

Być może sprzedam udziały Joela, jeśli okaże się, że nie potrafię pogodzić się z tym, co tu się dzieje. Jeśli nie będę umiała korzystać z pieniędzy pochodzących z zysków wypracowanych przez ludzi, którzy harowali od świtu do nocy w warunkach, jakie można było poprawić. Ale wszelka modernizacja oznaczałaby konieczność wydania pewnych kwot, a rodzinie Cameronów ciężko było rozstawać się ze swoimi pieniędzmi.

Rozdział ósmy

W następnym tygodniu byłam zbyt zajęta, by snuć plany na przyszłość. W sobotę wieczorem wydawano bal na moją cześć. Przygotowania do niego spoczywały na głowie mojej oraz Helen. Przede wszystkim posłałyśmy po krawcowe i obmyśliłyśmy nasze kreacje. Ja zdecydowałam się na dosyć śmiałe zestawienie kolorystyczne — czerwieni i czerni, bufiaste rękawy oraz suto marszczoną spódnicę, na uszycie której potrzeba było siedem metrów jedwabiu.

Helen nie miała zamiaru dać mi się przyćmić i wybrała ten sam fason, tyle że z ciemnożółtego materiału. Wiedziałam, że przy swej jasnej cerze i płowych włosach będzie wyglądała niezwykle powabnie. Spędzałyśmy długie godziny na przygotowaniach do balu i nawet zbliżyłyśmy się nieco do siebie, choć nasze rozmowy ograniczały się wyłącznie do spraw organizacyjnych. Nigdy nie poruszałyśmy tematów dotyczących rodziny. Helen ani razu nie spytała mnie o Joela i o nasze wspólne życie, które trwało tak krótko. Absolutnie nie orientowała się, jakie warunki panują w Irlandii i nie interesowała się tym.

Spotykałyśmy się z dostawcami potraw z Portland, z kwiaciarzami i z pracownikami agencji specjalizującej się w wynajmowaniu kelnerów i muzyków na takie wystawne uroczystości.

Większość dekoracji przygotowałyśmy własnoręcznie. Wiedziałyśmy, że po wystosowaniu stu pięćdziesięciu zaproszeń na Wzgórzu pojawi się co najmniej dwustu gości. Przybędą pociągami, powozami, a nawet tymi nowymi benzynowymi potworami, hałaśliwymi automobilami. Za oficynami kazałyśmy wznieść wielki namiot, drogę poleciłyśmy oświetlić japońskimi lampionami, kazałyśmy porozstawiać stoły oraz łóżka dla woźniców i innych służących, by mieli się gdzie pożywić i przespać, gdyby ich państwo postanowili pozostać na balu całą noc.

Zarezerwowałyśmy wszystkie pokoje w zajeździe. Poczyniono odpowiednie przygotowania w sypialniach — a było ich w siedzibie Cameronów szesnaście. Czwórkę starszych służących przeniesiono tymczasowo do oficyn, a do zajmowanych

przez nich pokoi wstawiono kilka bardziej okazałych sprzętów, przechowywanych na strychu, by je dostosować do nowej funkcji.

Było tyle rzeczy do zrobienia. Pani Cameron zajęła się zaproszeniami i korespondencją. Ciotka Marcy Tabor pragnęła, by przyjęcie odwołano, przysięgając, że cały ten harmider kompletnie zrujnuje jej zdrowie. Ashley spędzał dni na przejażdżkach konnych lub grach hazardowych. Abner wyniósł się do miasta. Loran i pan Cameron byli, oczywiście, całkowicie pochłonięci sprawami fabryki, więc niemal wszystko spadło na barki moje i Helen.

Musiałymy wymyślić i zrobić kotyliony — dla jednych ze wstążek przywiązanych do małych srebrnych dzwoneczków, dla innych — jedwabnych saszetek czy też kwiatów do butonierek dla mężczyzn. Pochłaniało to mnóstwo czasu. Musiałymy również znaleźć wolne chwile na przymiarki naszych sukien, a także zaaprobować kreacje pani Cameron i ciotki Marcy, która nieco się ożywiła, gdy ujrzała w lustrze swoje odbicie w dość śmiało wydekoltowanej sukni z czarnego jedwabiu.

Choć byliśmy pewne, że nie zdążymy na czas, kiedy zaczęli się pojawiać pierwsi goście, wspólnie z Helen powitałyśmy ich w drzwiach. Przez jakieś trzy godziny goście napływali nieprzerwanym potokiem. Zjechało mnóstwo samochodów, nie myślałam, że w ogóle tyle istnieje, było trochę problemów ze spłoszonymi końmi, ale wszystko znajdowało się pod kontrolą. Razem z Helen padałyśmy z nóg ze zmęczenia, ale w miarę witania nowych gości zapominałyśmy o wyczerpaniu i kiedy rozpoczęły się walce, menuety i polki, w naszych karnecikach nie było ani jednego wolnego tańca. Tańczyłam tak zapamiętałe, że byłam pewna, iż zdarłam swoje pantofelki do cna. W końcu poproszono gości do stołów.

Obiad podano w pokoju stołowym i sali balowej, gdzie pośpiesznie rozstawiono stoły po ogłoszeniu chwilowej przerwy w tańcach. Razem z Helen trzymałyśmy kciuki i jak do tej pory wszystko szło dobrze. O ósmej orkiestra odegrała kadryla, a następnie marsza, przy dźwiękach którego wszyscy skierowali się do stołów.

Muszę przyznać, że świetnie się bawiłam. Znajdowałam się w centrum uwagi,

jako że całe to przyjęcie wydano na moją cześć. Poznałam tyle osób, że wkrótce zapomniałam ich nazwisk, pamiętając jedynie twarze. Kiedy podano obiad, cały dom rozbrzmiewał gwarem rozmów i pobrzękiwaniem naczyń. Siedziałam obok napuszonego jegomościa z żółtą brodą, którego mina świadczyła o bogactwie i wpływach. Pierś ozdabiała mu szeroka wstęga, a w klapie miał kokardkę. Dowiedziałam się później, że praktycznie rzecz biorąc był właścicielem jednego z wielkich przedsiębiorstw kolejowych. Po mojej prawej ręce siedział mężczyzna mniej więcej trzydziestopięcioletni, dość przystojny, ale o twarzy pooranej zmarszczkami, wywołanymi brakiem snu i umiłowaniem hulanek. Za bardzo się mną interesował, chwilami język mu się plątał, jakby nie tylko zbyt często przebywał w pobliżu wazy z ponczem, ale znalazł dostęp do whisky lub brandy. Jeśli był znajomym Abnera, prawdopodobnie dokładnie wiedział, gdzie należy szukać mocniejszych trunków.

Staralam się go ignorować, ale było to trudne, ponieważ Żółtobrody był zbyt sztywny i niezbyt skłonny do nawiązania rozmowy. I w ten sposób coś, co powinno być bardzo przyjemnym obiadem, zostało zepsute przez nudziarza siedzącego po mojej prawicy. Korzystając z pierwszej nadarżającej się okazji odeszłam od stołu pod pretekstem konieczności omówienia z muzykami utworów, które mają zagrać po obiedzie.

Pani Cameron spojrzała na mnie z dezaprobatą, kiedy wstałam od stołu, ale nie mogłam dłużej znieść obecności tego człowieka. Kiedy później spotkałam Abnera, powiedział:

— Nie wiem, kto posadził Standisha obok ciebie. Uważam, że osoba ta zasłużyła sobie na śmierć. Nie rozumiem również, czemu w ogóle został zaproszony. Ostatnio przyjmują go w rzadko którym domu. Jest głupim nudziarzem, ale tak zarozumiałym, że wierzy, iż żadna kobieta nie potrafi się oprzeć jego urokowi.

— Nie spodobał mi się — przyznałam. — Niektóre z jego uwag trudno uznać za odpowiednie dla uszu dam, poza tym ma zwyczaj spoglądania w taki sposób, jakby otrzymał już pozwolenie pójścia ze swą rozmówczynią do łóżka.

— Jeśli zaczniesz ci się zbyt naprzykrzać, daj mi znać. Zadbam, by natychmiast

go wyprowadzono.

— Dziękuję ci, Abnerze. Mam nadzieję, że pomożesz mi wytłumaczyć swojej matce, czemu tak nagle odeszłam od stołu. Zdaje się, że była niezadowolona.

— Mama dobrze zna Standisha, więc cię zrozumie. Założę się, że nawet nie dostał zaproszenia. Jest kawalerem, choć nie z własnej woli. Nie ma na świecie dziewczyny, która chciałaby go poślubić. Tak czy inaczej przykro mi, że cię to spotkało. Zasłużyłaś sobie na lepszego sąsiada przy stole.

Co dziwniejsze, kiedy zaczęły się prawdziwe kłopoty, tańczyłam akurat z Loranem Cameronem. W połowie szybkiej, żywej polki pojawił się obok nas Standish i zanim zdołałam cokolwiek uczynić, znalazłam się w ramionach tego wstrętnego mężczyzny.

— Dlaczego mnie nie lubisz? — spytał wirując ze mną w tańcu jak oszalały.

Nie mogłam mu odpowiedzieć, bo aż mi zaparło dech od szybkich obrotów.

— Jestem młodym facetem, próbującym uszczęśliwić wszystkich. Hejże, strasznie zbladłaś. Masz już dosyć tego tańca? Źle się czujesz?

Pomyślałam, że nadarza się okazja, by się go pozbyć.

— Rzeczywiście nie najlepiej się czuję. Myślę, że powinnam pójść na chwilę do swojego pokoju...

— Potrzeba ci świeżego powietrza. Dużo świeżego powietrza.

Zanim zdołałam zaprotestować, wirując ze mną skierował się w stronę drzwi na taras, po czym niemal wyniósł mnie na rękach do pogrążonego w ciemnościach ogrodu.

Tam nie tracił czasu. Zamiast pozwolić mi odejść lub poszukać ławki, na której mogłabym odpocząć, gwałtownie mnie do siebie przyciągnął i zaczął szukać moich ust, by mnie pocałować. Próbowałam mu się wyrwać, ale był zbyt silny. Zaczął się śmiać z moich prób. W pewnej chwili kopnęłam go mocno w goleń. Widocznie porządnie go zabolalo, bo aż podniósł nogę do góry, tracąc przy tym równowagę. Chcąc ją odzyskać, złapał mnie za ramię i rozerwał suknię. Znow się na mnie rzucił, tym razem nie próbując nawet kryć swej żądz.

Kres temu wszystkiemu położył Abner, ale i tak kilku gości widziało, jak zmagam się z tym idiotą. Abner chwycił Standisha za szyję i zaczął go dusić, aż napastującemu mnie mężczyźnie zabrakło tchu i musiał mnie puścić. Wtedy Abner przepędził go solidnym kopniakiem. Zniknęli w oddali, ale słyszałam odgłosy bójki i razy, które wymierzał Abner temu łobuzowi.

W międzyczasie podbiegła do mnie Helen, a po chwili pośpieszyli mi na pomoc pani Cameron, Loran i Marcy. Wyglądałam żałośnie. Włosy miałam potargane, suknię rozdartą na ramieniu, na policzkach ślady łez wywołanych złością i bezsilnością.

— Moje drogie dziecko — powiedziała pani Cameron — czy ten łotr coś ci zrobił?

— Ucierpiała tylko moja duma własna — odparłam. — Pod względem fizycznym wszystko w porządku.

— A dziecko?

— Nie była to aż tak poważna szarpanina, by mogła zaszkodzić dziecku — oświadczyłam. — Nie mogę wrócić na salę w takim stanie. Jeśli państwo pozwolą, udam się na górę, by się przebrać.

Pani Cameron spojrzała po zebranych.

— Helen, idź z Maeve i pomóż jej. Ty, Loranie, dopilnuj, by pana Standisha wyprowadzono poza obręb naszej posiadłości, Ostrzeż go, by więcej jego noga nie postąpiła w tym domu.

— A kto go w ogóle zaprosił? — spytał Loran.

— Ja nie — powiedziała pani Cameron. — Najprawdopodobniej przyszedł bez zaproszenia. Często tak robi, ale po dzisiejszym wieczorze już się postaram, by nigdy więcej mu się to nie udało. Maeve, bardzo mi przykro ze względu na całe zajście.

— Nic mi nie będzie, muszę się tylko trochę uspokoić i odzyskać nieco ze swojej nadszarpniętej godności — powiedziałam. — Abner był na tyle dobry, by mnie ostrzec przed tym człowiekiem, ale nie wiedziałam, jak się od niego uwolnić bez wywoływania gorszącej sceny na sali balowej. A bardzo chciałam jej uniknąć.

— Następnym razem nie miej takich skrupułów — poradził mi Loran. —

Standish znany jest ze swego prowokującego zachowania wobec kobiet.

Razem z Helen udałyśmy się tylnymi schodami do mojego pokoju. Na górze okazało się, że suknia może być z łatwością zszyta, wystarczy kilka ściegów. Pokojówka natychmiast się tym zajęła. Poprawiłam fryzurę i umyłam twarz. Nie minęło pół godziny, a mogłam znów zejść do gości.

— Maeve — odezwała się Helen — obawiam się, że częściową winę za to, co zaszło, ponosi mój głupi mąż. Podejrzewam, że to on przyprowadził tu Standisha. Widziałam ich razem. Proszę, nie mów o tym mamie. Ashley i bez tego ma już dosyć problemów i chociaż nienawidzę go za to, co zrobił, jest jednak moim mężem i nie chciałabym, by został wyrzucony z domu.

— Jak sobie życzysz, Helen — powiedziałam. — Nie mam powodu, by ganić Ashleya za to, że przyprowadził tu tego człowieka. Nie ponosi odpowiedzialności za czyny Standisha. Mam jedynie nadzieję, że żaden z gości nie pomyślał sobie, iż swoim zachowaniem w jakikolwiek sposób ośmieliłam tego człowieka do takiego postępuku.

— Oczywiście, że nie, droga Maeve. Wszyscy znają Standisha. A teraz chodźmy na dół i udajmy, że nic się nie stało.

Zeszłyśmy po schodach i szybko wmieszałyśmy się w tłum. Jeśli nawet ktoś zauważył naszą nieobecność, nie dał tego po sobie poznać. Straciłam trzy tańce, ale zaraz poproszono mnie do kadryla i reszta wieczoru upłynęła cudownie. Prawie zapomniałam o incydencie ze Standishem.

Kiedy umilkły ostatnie dźwięki muzyki i goście albo wyjechali albo udali się do łóżek, byłam kompletnie wykończona. Helen pomachała do mnie z półpiętra. Opadła z sił już pół godziny temu i postanowiła położyć się wcześniej. Abner wyglądał, jakby dla niego zabawa dopiero się zaczynała.

— Standish już nigdy nie będzie ci się naprzykrzał — powiedział. — Mówiąc szczerze, przez kilka najbliższych dni będzie zawracał głowę wyłącznie swemu lekarzowi. Trochę zmieniłem wygląd jego twarzy. Już dawno się o to napraszał. Przykro mi, że dziś wybrał ciebie jako obiekt swoich zalotów. Ten człowiek nie

nadaje się do przebywania w przyzwoitym towarzystwie.

— Dziękuję, że w porę pojawiłeś się z pomocą. Wiem, co zamierzał, i nie jestem pewna, czy udałoby mi się mu wyrwać.

— Widziałem, jak go kopnęłaś w goleń — zachichotał Abner. — Jeśli to przykład twoich możliwości, nie sądzę, by dużo zdziałał, gdybyś na serio się za niego wzięła. Wszyscy byliśmy bardzo dumni z tego, jak się zachowałeś w tych niezwykłych okolicznościach.

— Dziękuję za komplement, Abnerze. — Pocałowałam go w policzek. — Coraz bardziej przypominasz mi Joela. Mam szczęście, że tu jesteś. Dobranoc.

W pokoju obejrzałam zadrapania, których doznałam podczas szamotaniny ze Standishem. Cieszyłam się, że skończyło się tylko na tym. Wieczór udał się wspaniale, nie licząc owego incydentu. Mój pierwszy bal w życiu okazał się sukcesem i uważałam, że nie dałam Cameronom podstaw do tego, by musieli się mnie wstydzić.

Wiedziałam również, że to prawdopodobnie ostatnie wielkie spotkanie towarzyskie aż do dnia narodzin mego dziecka.

Następnego dnia udałam się do Glena na badanie okresowe. Wszystko było w porządku zarówno ze mną, jak i z dzieckiem, ale Glen wydawał się niezwykle zdenerwowany, kiedy opowiedziałam mu o incydencie z panem Standishem.

— Ten prostak nie jest nigdzie zapraszany i ludzie wydający obiady i bale bardzo uważają, by się przypadkiem nie pojawił wśród gości.

— Helen przyznała, że jej mąż mógł sprowadzić Standisha na przyjęcie — powiedziałam.

— Ashley to człowiek bez charakteru i tchórz. Jedyne, czego pragnie od życia, to móc mieszkać na Wzgórzu, być członkiem rodziny Cameronów i cieszyć się częścią ich wpływów. To mu najzupełniej wystarcza. Sądziłem, że bałby się zadawać z człowiekiem takim jak Standish. Szczególnie po tej awanturze, którą mu niedawno urządziła pani Cameron.

— Cóż — powiedziałam — było, minęło i nikt nie ucierpiał z wyjątkiem być może Standisha. Abner sprawił mu porządne manto.

— Za ten czyn drzwi mego gabinetu będą stały przed Abnerem otworem o każdej porze dnia i nocy. Standishowi już dawno należało się lanie. Ale jak powiedziałaś, było, minęło. Co poza tym słyszeć?

— Stryj Loran zabrał mnie do fabryki. Później pytał mnie, jak mi się tam podobało, na co oświadczyłam, że wcale mi się nie podobało. Uważam, że to okropne miejsce.

— Nie gorsze od innych fabryk, co nie znaczy, że nie należałoby wprowadzić pewnych zmian na lepsze. Martwię się o dzieci, które rozpoczynają pracę w wieku dwunastu lat i do końca życia zatrudnione są w fabryce. Nie wiedzą, co znaczy prawdziwe dzieciństwo. Stają się dorosłymi z chwilą otrzymania pierwszej nędznej pensji.

— Czemu w takim razie pracują? — spytałam.

— Bo ich rodziny potrzebują pieniędzy. Cameronowie nie zmuszają dzieci do pracy, ale jeśli się zgłoszą do fabryki, czeka na nie zajęcie i rodzice o tym wiedzą. Zyskują kilka dolarów tygodniowo więcej, co im pozwala nie zadłużać się w przyfabrycznym sklepie.

— To jak niewolnictwo — powiedziałam.

— Nikt ich nie zmusza do pracy. Każdemu wolno w każdej chwili opuścić fabrykę i miasto. Nie robią tego, bo jedyne, co mogą uczynić, to przenieść się do innej fabryki, w innym mieście, gdzie warunki wcale nie są lepsze.

— W takim razie co mogę w tej sprawie zrobić ja czy ty, czy ktokolwiek?

— Nic. Jeśli można cokolwiek zrobić, muszą to uczynić sami robotnicy. Ale jeśli z nimi porozmawiasz, dowiesz się, jak źle było kiedyś w porównaniu z obecnymi czasami. I to prawda. Ojciec mi często o tym mówił. A teraz wracajmy do twojej osoby.

— Rodzina traktuje mnie dobrze. Wszyscy troszczą się o mnie i moje dziecko.

— Dziecko Joela — poprawił mnie Glen. — Troszczą się o dziecko Joela.

— Ciekawa jestem, co powiedzą, kiedy urodzę dziewczynkę.

— Dziewczynkę? Czemu sądzisz, że będzie dziewczynka?

Jak mogłam mu wytłumaczyć? Pomyślałby, że zwariowałam, gdybym próbowała powiedzieć, że zniszczone, stare zwierciadło pokazuje mi, mnie jednej, co czeka mnie w przyszłości. Oczywiście nadejdzie dzień, kiedy będę musiała mu to powiedzieć, ale wtedy będzie już moim mężem. Uśmiechnęłam się w duszy.

— Równie dobrze może być chłopiec — zauważył nie doczekawszy się mojej odpowiedzi. — Albo dwóch chłopców, albo dwie dziewczynki, albo chłopiec i dziewczynka. Nie będę się posuwał w swych domysłach dalej.

— Na Boga, człowieku, chyba nie spodziewasz się, że urodzę więcej niż jedno dziecko? — spytałam.

— Nie spodziewam się. Bliźnięta dość rzadko przychodzą na świat. Czy w twojej rodzinie zdarzały się takie przypadki?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— W rodzinie Cameronów również nie. Więc najprawdopodobniej urodzisz jedno dziecko, ale nie upieraj się, że będzie to dziewczynka.

— To będzie dziewczynka — powtórzyłam. — Mam takie przecucie.

— Nieprędko by ci to wybaczyli. Dziewczynka nie zapewni ciągłości rodu.

— Mam to w nosie. Jedyne, czego pragnę, to rozkosznej, ślicznej, grzecznej, mądrej i bardzo inteligentnej córeczki.

— Która będzie podobna do ciebie.

— No, wystarczy tego gadania. Czekają na ciebie kolejni pacjenci. Ja tymczasem pójdę na podwieczorek, na który zostałam zaproszona.

— Gdzieś w mieście? — spytał.

— Tak, do pani Maggie Doyle, by porozmawiać o rodzinnych stronach. To znaczy o Irlandii.

— No, no — zdziwił się. — Zobaczysz, jak zareagują, kiedy się o tym dowiedzą.

— Już wiedzą. Powiedziałam Loranowi. Myślę, że niezbyt mu się to spodobało, ale nie on decyduje o moim życiu. A jeśli rozmowa odbiegnie od Irlandii i zejdzie na problemy miasta, nie będę miała nic przeciwko temu.

Skinał głową.

— Od Maggie Doyle dowiesz się wielu rzeczy. Może to i lepiej. Równie dobrze możesz się wszystkiego dowiedzieć teraz.

— I właśnie taki mam zamiar — powiedziałam wstając.

Mogłam iść do domu Maggie Doyle na piechotę, ale postanowiłam pojechać do niej powozem i kazać woźnicy na siebie zaczekać. Wiedziałam, że Loran polecił mu, by go informował, dokąd chodzę i z kim rozmawiam, więc nie chciałam z mojej wizyty u Maggie robić sekretu.

Pani Doyle nie doznała wstrząsu na mój widok, choć wielce się zdumiała. Jej dom składał się z czterech izb — dość przestronnej kuchni, malutkiego saloniku i dwóch niewielkich pokoi sypialnych. Całe życie rodzinne koncentrowało się w kuchni, a saloniku używano jedynie podczas pogrzebów i wizyt takich wyjątkowych gości jak ja.

— Usiądźmy w kuchni — zaproponowałam. — Będzie nam tu wygodniej i nie trzeba będzie nosić herbaty na tacy. Ile musisz płacić za ten dom, Maggie?

— Połowę zarobków męża.

— Czy reszta pieniędzy starczy wam na życie?

— Z trudem, ale jakoś wiążemy koniec z końcem. Zwróć uwagę, że się nie skarżę.

— A ty pamiętaj, Maggie Doyle — powiedziałam z poważną miną — że nie jestem panią Cameron. Przede wszystkim jestem O'Hanlon i rozmawiaj ze mną jak z O'Hanlon, bo inaczej wstanę i pójdę sobie stąd, nie pytając cię nawet o pozwolenie.

— Niebu niech będą dzięki, spotkał nas chyba jakiś cud — powiedziała. — Jakoś sobie radzimy, choć nigdy nie udaje nam się nic zaoszczędzić. Wszystko dlatego, że wiemy, ile potrzebujemy na życie, i dokładnie tyle nam płacą, ani centa więcej. W tej sytuacji nie możemy wyjechać. Nie stać by nas nawet było na kupno biletu kolejowego. Mój mąż pracuje od szóstej do szóstej. Mój trzynastoletni syn — od siódmej do szóstej. W soboty puszczają go w południe, by mógł iść do szkoły, bo uważają, że jest bardziej rozgarnięty od innych i może kiedyś mianują go majstrem.

Wtedy przeprowadzimy się do lepszego domu, ale wciąż nie będziemy mogli zaoszczędzić ani centa.

— Twój syn chodził do szkoły?

— Tak, do dnia swych dwunastych urodzin. Następnego ranka punktualnie o siódmej stawił się w fabryce.

— A jeśli ktoś zachoruje?

— Doktor Kinnery dobrze się nami opiekuje. Podobnie jak jego ojciec jest świetnym lekarzem. Płaci mu fabryka, choć nie zawsze tak było. Przez wiele lat nie płacili jego ojcu, aż im zagroził, że wyjedzie z miasta. Nie przejęli się jego słowami i wyjechał. Poprosili, by wrócił, a on kazał sobie zapłacić dwa razy tyle, co poprzednio, na co chętnie przystali, bo chorzy nie mogą pracować, a pod jego nieobecność okazało się, że w mieście jest bardzo wielu chorych.

— Czy w takim razie doktor Kinnery ma jakieś zobowiązania wobec Cameronów? — spytałam.

— Nie. Płacą mu, ale jest całkowicie od nich niezależny i dobrze o tym wie.

— Cieszę się — powiedziałam wydając westchnienie ulgi. Bardzo by mnie zabolalo, gdybym dowiedziała się, że również Glen jest od nich uzależniony. — A co się dzieje, kiedy ktoś zostanie wyrzucony z fabryki lub odmówi pracy?

— Uciekają się do pomocy przedstawiciela prawa, który pojawia się z furmanką. Dom opróżnia się ze sprzętów, meble wywożone są na najbliższy śmietnik. Rodzina może je sobie stamtąd zabrać, jeśli chce. Człowiek nie pracujący w fabryce nie może zajmować fabrycznego domu. Takie jest prawo.

— Bardzo mi was żal — powiedziałam. — Nic nie mogę wam pomóc, bo nie posłuchaliby mnie, nie dysponuję wystarczającą ilością głosów, by cokolwiek przeforsować. Ale mimo wszystko spróbuję.

— Maeve, jeśli to zrobisz, mogą ci wyrządzić jakąś krzywdę.

— Bardzo by tego chcieli, ale nie odważą się, Maggie.

— Proszę, nie rób nic, zanim nie urodzisz dziecka. Pogodziliśmy się z naszym losem. Większość z nas nawet nie wie, że może być lepiej.

— Zrobię, co będę mogła — obiecałam. — Nie będzie to łatwe i nie nastąpi szybko, ale tak czy inaczej postaram się wam pomóc. Jeśli herbata jest już zaparzona...

— To prawdziwa irlandzka herbata, Maeve. Brat przysłał mi ją jedenaście lat temu z Shannon. Wprawdzie tylko pół kilo, ale trochę mi jeszcze zostało.

— Czuję się niezwykle zaszczycona — powiedziałam. — Na Wzgórzu podają jakiś cienki, pozbawiony aromatu napój, który nazywają herbatą.

— Nie zasługują na nic lepszego.

Rozmawiałyśmy dość długo i podczas tej wizyty postanowiłam napisać do brata, by przysłał mi pięć kilogramów irlandzkiej herbaty. Już dopilnuję, by Maggie i jej znajomym nie zabrakło tego specjału. Od śmierci Joela nie miałam zbyt wiele okazji do radości, ale teraz cieszyłam się, że zostawił mi dosyć pieniędzy, bym mogła być niezależna i kupować wszystko, na co mam ochotę, nie musząc nikogo prosić o pozwolenie.

Kiedy wróciłam do domu, Helen trochę gderła, że nie było mnie i sama musiała uprzątnąć dekoracje, ale widząc trzy pokojówki, którym zleciła to zadanie, pomyślałam, że i bez mojej pomocy zbytnio się nie przepracowała. Nawet jeśli Loranowi powiedziano o mojej wizycie u Maggie Doyle, nie zrobił najmniejszej uwagi na ten temat, a ja też o tym z nim nie rozmawiałam. Wiedziałam dobrze, iż napomknięcie teraz o konieczności przeprowadzenia modernizacji fabryki przypominałoby rzucanie grochem o ścianę, więc nie próbowałam ich przekonywać ani nawet poruszać tego tematu. Teraz najważniejsze było dobro mojego dziecka.

Moje wizyty u Glena stały się częstsze, jego badania — dokładniejsze, a Cameronowie trzęśli się nade mną, jakbym była z saskiej porcelany. Nie mogłabym być traktowana lepiej. Nie pozwolili mi pomagać przy żadnych pracach. Spędzałam godziny, wygrzewając się na słońcu, a kiedy się ochładzało, owijali mnie kocami albo paltotami i przenosili do altanki, gdzie było ciepło nawet wtedy, gdy na zewnątrz panowała niska temperatura.

Stopniowo przyzwyczaiłam się do takiego trybu życia i chyba mi się nawet

spodobał. Człowiek łatwo przywyka do podobnego traktowania, szczególnie gdy jest ono usprawiedliwione. A mój stan z każdym tygodniem bardziej usprawiedliwiał troskę, jaką mnie otaczano. Rozwiązanie powinno nastąpić w marcu i tak się stało.

Tamtego popołudnia Glen przyjechał na Wzgórze, polecił wszystkim się wynieść z mojego pokoju, a także wysłać powóz do miasta po Jennie. Późną nocą usłyszałam płacz mojego pierworodnego dziecka. Dzięki Glenowi i jego siostrze obyło się bez żadnych komplikacji i nawet bóle niezbyt mi dokuczały.

— Miałaś rację — powiedział Glen. — To dziewczynka. Zdrowa jak i ty.

— Och — odezwałam się zmęczonym głosem — a czy jest do mnie podobna, panie doktorze?

— Któż to może powiedzieć? Musimy poczekać kilka dni. Jennie, przynieś dziecko.

Wzięłam swoją córkę w ramiona, czując rozpierającą mnie dumę. Niemowlę kopało i wymachiwało rączkami, a płakało tak przeraźliwie jak mój brat, gdy wrzeszczał na kogoś znajomego, którego ujrzał na drugim końcu pola.

— Jakiej jej dasz imię? — spytała Jennie.

— Będzie się nazywała Nora — powiedziałam — jak moja matka. Ale jej prawdziwym imieniem będzie Maeve.

— Nora — powtórzyła Jennie. — To ładne imię. To prześliczne imię. Czy pozwolimy innym popatrzeć na twoją małą Norę?

— Jutro — powiedział Glen. — Maeve dość dzisiaj przeszła, podobnie zresztą jak Nora. Obie potrzebują odpoczynku. Zostań z nimi, Jennie. Przypilnuj, by nikt tu nie wchodził.

— Zamknę drzwi na klucz — obiecała Jennie.

Wątpiłam, czy zdołam usnąć, tymczasem po dziesięciu minutach spałam już kamiennym snem i obudziłam się dopiero o świcie, zresztą w samą porę, bo usłyszałam płacz Nory. Domagała się karmienia. Byłam taka szczęśliwa, iż wydawało mi się, że żyję na najpiękniejszym ze światów i nigdy nic złego nie może mnie spotkać. Nie byłam już sama. Miałam córkę, córkę Joela, którą mogłam kochać,

rozpieszczać i wychowywać tak, jak tego chcę. Było to wspaniałe uczucie.

Ale coś mi mówiło, że idylla nie potrwa długo.

*

Tydzień później pani Cameron dała mi pierwszy dowód, że teraz, kiedy urodziłam dziecko, wszystko się zmieni. Uczyniła to bardzo delikatnie, nie pozostawiając mi jednak złudzeń, iż nie zgodzi się na żaden opór z mojej strony.

— Musimy się przygotować do ceremonii chrztu — powiedziała. — Odbędzie się w niedzielę, kiedy do naszego kościoła przyjeżdża ksiądz Andres. Proponuję, by nadać twojej córce imię Deborah.

— Myślałam, by nazwać ją Nora — powiedziałam, zdecydowana nie dać się zastraszyć tej kobiecie.

— Och, moja droga, to takie... takie pospolite imię.

— To imię mojej matki — przypomniałam jej nieco oschle.

— Owszem, w Irlandii to może być odpowiednie imię, ale w tym kraju musimy nadać twemu dziecku imię bardziej pasujące do pozycji, którą będzie zajmowało w społeczeństwie. A Deborah będzie w nim zajmowała wyjątkową pozycję.

— Tak czy inaczej — powiedziałam — mówimy o jej drugim imieniu. Na pierwsze otrzyma Maeve.

— Rozumiem. Widzę, że jesteś co do tego zdecydowana.

— Imię to nadawane jest dziewczynkom w mojej rodzinie od ponad dwóch tysięcy lat.

— Tak, rozumiem, czemu chcesz ją tak ochrzcić, ale oczywiście będziemy na nią wołali Deborah.

Westchnęłam, bowiem dyskusja z tą kobietą była daremna. Nie miałam zamiaru pozostać w tym domu długo, a kiedy stąd wyjadę, wszyscy będą na moją córkę mówili Nora. Więc nie powiedziałam ani słowa. We właściwym czasie postanowiłam porozmawiać o tym z księdzem Andersem.

— Chciałabym, żeby rodzicami chrzestnymi zostali Helen i Abner — powiedziałam.

— Uważam, że to wspaniały pomysł, moja droga.

— Czyli że możemy tę sprawę uznać za załatwioną.

— Wszyscy jesteśmy bardzo dumni z twojego dziecka, Maeve. Pragnęliśmy chłopca, ale jestem pewna, że Deborah też będzie kontynuowała rodzinne tradycje, nawet jeśli nie będzie mogła przedłużyć trwałości naszego rodu. Zadbamy, żeby jej niczego nie brakowało.

— Ja również zamierzam się o to postarać — powiedziałam. — A co się dzieje z Loranem? Ani razu nie przyszedł, żeby się zobaczyć ze mną czy też popatrzeć na małą.

— Od ponad tygodnia Loran jest w Nowym Jorku. Wyjechał w interesach jeszcze przed urodzeniem się dziecka. To była bardzo pilna sprawa. Poinformowaliśmy go telegraficznie o przyjściu na świat Deborah i jestem pewna, że ucieszył się podobnie jak my.

— Tak bardzo pragnął chłopca, że pomyślałam, iż może nie zaakceptował narodzin dziewczynki — powiedziałam. Przypuszczam, że świeżo upieczonej matce przychodzą czasami do głowy dziwne pomysły. — Czy mogę dziś po południu skorzystać z powozu? Chcę zawieźć małą do lekarza. Prosił, by do niego dziś przyjść.

— Przejazdźka obu wam dobrze zrobi — powiedziała pani Cameron. — Możesz skorzystać z powozu, kiedy tylko będziesz miała ochotę.

Odczuwałam głęboką dumę, kiedy jechałam wzdłuż ulicy Main, trzymając na ręku Norę owiniętą w różowy kocyk. Całą drogę przespała. Kiedy weszłam do poczekalni, znajdujący się już tam pacjenci nalegali, bym bez kolejki udała się do lekarza. Patrzyli ciekawie na Norę i jednogłośnie orzekli, że jeszcze nigdy nie widzieli takiego pięknego dziecka.

Glen zbadał Norę i stwierdził, że wszystko w porządku.

— Jak cię traktują na Wzgórzu, odkąd przyczyniłaś się do powiększenia rodziny?

— Wspaniale, Glenie. Cieszę się małą Norą nie mniej ode mnie. Nie wiedzą, jak jej dogadzać. Mnie zresztą również.

— Nie podoba mi się to — powiedział szorstko.

— Tak? Czemu?

— Takie zachowanie nie jest w ich stylu. Kiedykolwiek okazują nadmierną dobroć, zawsze coś się za tym kryje. Ci ludzie potrafią układać dalekosiężne plany, są cierpliwi, ale kiedy nadejdzie odpowiedni moment, by zdobyć to, czego pragną, są bezwzględni.

— Glenie, od miesięcy są dla mnie bardzo dobrzy. Czemu mieliby się nagle zmienić? Ostatecznie poślubiłam ich syna.

— O tak, i fakt ten doprowadził ich do wściekłości. Kiedy się tu pojawiłaś, byli zdecydowani zakazać ci pobytu w tym mieście. To, czego od nich wtedy zaznałaś, było zaledwie początkiem. Chcieli cię unieszczęśliwić. Potem powiedziałaś im, że nosisz dziecko Joela i nagle się zmienili.

— Czy w tych okolicznościach nie zmieniłaby się każda rodzina?

— Nie tak gwałtownie. Jak tylko się dowiedzieli, zwołali naradę rodzinną. Zawsze tak robią. Wszystkie decyzje, jakie są podczas takich narad podejmowane, były jak do tej pory skrupulatnie wprowadzane w życie. Być może nie mam racji. To, co mówię, opiera się na obserwacji dotychczasowych działań tych ludzi, całej rodziny, a nigdy dotąd nie znaleźli się jeszcze w podobnej sytuacji. Narodziny nowego Camerona. Narodziny kogoś, kto będzie nosił ich nazwisko, o czym zawsze marzyli, a co wydawało im się czystą mrzonką.

— Glenie, cóż mogliby mi zrobić? Mój adwokat poinformował mnie — i ich — że nie mogą odebrać mi tego, co zostawił mi Joel. Nie ufał im, podobnie jak ty, więc postarał się, żeby testament został sporządzony w taki sposób, by nie można go było podważyć. Co oznacza, że nie mogą mnie skrzywdzić ani grozić odebraniem przypadającej na mnie części zysków, przynoszonych przez fabrykę, czy zapisanej mi przez Joela gotówki. Ani współwłasności samej fabryki. Jeśli nie są w stanie mi tego odebrać, w jaki sposób mogą mnie skrzywdzić? Sądzę, że początkowo nosili się z podobnym zamiarem, ale kiedy przekonali się, że to niemożliwe, pogodzili się z nową sytuacją i zaakceptowali mnie.

— Chciałbym posiadać taką niezłomną wiarę jak ty — powiedział Glen. — Ale wydaje mi się, że zbyt długo ich znam. Ja też biorę od nich pieniądze, ale tylko dlatego, że żadnego z robotników nie stać na lekarza, który jest im tu bardzo potrzebny. Nie pracuję bezpośrednio dla Cameronów i nigdy nie będę dla nich pracował. Nie mogą mnie wyrzucić, ponieważ w w kontrakcie, na podpisanie którego nalegałem, jest jasno stwierdzone, że przyjmuję pacjentów według własnego uznania i mogę ich leczyć tak, jak uznam za stosowne, a Cameronowie nie mają prawa ingerencji w moją praktykę. I że honorarium, którego domagam się za swoje usługi, pod żadną postacią nie może być odtrącane z zarobków pacjentów, korzystających z moich porad. Ojciec nauczył mnie, jak bronić się przed Cameronami i może dlatego jestem w stosunku do nich podejrzliwy. Miejmy nadzieję, że tym razem zupełnie niepotrzebnie.

— Jestem pewna, że nie. Zresztą nie zamierzam spędzić reszty swych dni na Wzgórzu. Kiedy tylko Nora będzie na tyle silna i duża, by móc podróżować, zacznę się rozglądać za nowym miejscem zamieszkania dla nas obu.

— Ale chyba gdzieś w pobliżu, Maeve? Nie masz chyba zamiaru stąd wyjechać?

— Nie, nie mam takiego zamiaru. — Kiedyś powiem mu, dlaczego byłam taka pewna, że nie wyjadę z Cameron.

— Cieszę się, że to słyszę. Pokaż się z Norą za tydzień.

— Dziękuję, panie doktorze — powiedziałam.

Wróciłam do domu i nawet jeśli trochę zaniepokoiły mnie podejrzenia Glena wobec Cameronów, wkrótce wszelkie moje obawy pierzchły, bo cała rodzina zachowywała się bardziej uprzejmie niż kiedykolwiek. W następnym tygodniu poinformowałam Glena, że nie miał racji, ale nadal był nieufny wobec Cameronów. Tydzień później wrócił Loran.

Nora szybko rosła i była tak zdrowa, silna i pogodna, jak tylko mogłam sobie zamarzyć. Rodzina zasypywała ją ubrankami i zabawkami w takiej ilości, że łatwo by ją rozpieścili, gdyby trwało to dłużej. Prowadziłam unormowany tryb życia, z radością oddając się nowym obowiązkom, czyli zajmując się przez cały czas swoją córką.

Podczas ciepłych wiosennych popołudni wyprawiałam się na długie spacery. Glen nalegał na to tłumacząc, że w ten sposób mam zapewniony ruch na świeżym powietrzu, który jest mi bardzo potrzebny, a ja nie oponowałam, bo lubiłam spacerować. Kiedy mieszkałam w Kilcrea, był to mój ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. Spacerując tutaj przypominałam sobie długie wyprawy, które urządzaliśmy wspólnie z Joelem podczas naszego krótkiego, ale jakże szczęśliwego małżeństwa.

Myślałam również o Glenie i o tym, jak będzie wyglądało nasze wspólne życie. Kiedy nie będę już panią Cameron, tylko panią Kinnery, doktorową Kinnery. Kiedy będę dzieliła z nim stół i łóżko... odegnałam te myśli. Och, Joelu, powiedziałam sobie, nigdy cię nie zapomnę!

Podczas tych samotnych spacerów uświadomiłam sobie, że jednak w zachowaniu Cameronów nastąpiły pewne zmiany. Niewielkie, ale widoczne. Na przykład ojciec Joela bardzo rzadko ze mną rozmawiał, będąc w mojej obecności zawsze czymś pochłonięty. Nadszukiwał mojej córce, ale z pewnością nie mnie.

Ashley, mąż Helen, schodził mi z drogi, co mnie zbytnio nie dziwiło. Odizolował się zresztą od całej rodziny od tego dnia, w którym oskarżono go o doprowadzenie na bal owego biednego pana Standisha. Uświadomiłam sobie, że Helen stała się wobec mnie bardziej obojętna. Marcy Tabor nigdy nie okazywała mi przesadnej sympatii, więc nawet jeśli się zmieniła, trudno przyszłoby mi to zauważyć. Abner nadal był wobec mnie miły i przyjacielski, jeśli się na niego natknęłam, co zdarzało się rzadko. Tak często zostawał w mieście, a nawet wypuszczał się gdzieś dalej, że w domu pojawiał się sporadycznie i to na bardzo krótko. Odnosiłam wrażenie, że nikomu to nie przeszkadzało.

Może Glen miał rację i coś się szykowało. Coś wisiało nad moją głową i spadnie, kiedy rodzina uzna to za stosowne.

I może właśnie owo coś było przyczyną, że moje popołudniowe przechadzki stawały się coraz dłuższe. Nora była zupełnie bezpieczna pod opieką Helen, która bardzo się przywiązała do dziecka. Jej uczucia były odwzajemniane w takim stopniu, że czasami odczuwałam ukłucia zazdrości.

Powiedziano mi, że tamta wiosna była wyjątkowo bezdeszczowa. Pola i lasy były suche jak rzadko kiedy. Mówiono o groźbie pożarów, ale niezbyt się tym przejmowałam. Aż do owego pamiętnego dnia, kiedy Nora skończyła cztery miesiące. Wybrałam się na dłuższy spacer, ponieważ byłam dziwnie podenerwowana. Tego ranka odwiedziłam Glena i jego wypytywanie też musiało wpłynąć na mój nastrój. Wciąż nie potrafił się pozbyć nieufności wobec Cameronów.

Pierwszym symptomem pożaru był ostry swąd, który wywołał u mnie atak kaszlu. Odwróciłam się. W pewnej odległości ujrzałam dym snujący się między drzewami i unoszące się nad ich koronami szare i czarne kłęby. Na razie nie widziałam jeszcze płomieni.

Ścieżka, którą kroczyłam, zdawała się prowadzić prosto w dym, ale nie zboczyłam z niej, gdyż byłam zupełnie nie obeznana z pożarami lasów i sądziłam, że uda mi się jakoś wydostać. Nagle z ziemi wyrosła potężna ściana ognia. Fala gorąca odrzuciła mnie. Odwróciłam się i zaczęłam uciekać. Zanim przebiegłam sto kroków, ogień pojawił się po mojej lewej ręce. Trzymałam się ścieżki, bojąc się z niej zboczyć. Gdybym się zgubiła, gwałtownie nacierające płomienie, które otaczały mnie ze wszystkich stron, stałyby się śmiertelną pułapką. Wiedziałam, że nie wolno mi się zatrzymać.

Był to las jodłowo-sosnowy. Niewiele się znałam na lasach, ale za chwilę miałam się przekonać, jak podatny był na ogień. Płomienie, które do tej pory były za mną, nagle pojawiły się po lewej stronie. Ujrzałam, jak powietrzne wiry wywołane wysoką temperaturą unoszą wysoko w górę główne i rzucają je do stóp wyrosniętej sosny. Drobne języki ognia zaczęły lizać dolne gałęzie, a po chwili całe drzewo rozpadło się z hukiem. Pobliskie zarośla zajęły się ogniem i teraz również na prawo ode mnie płonął las. Mogłam jedynie biec ścieżką modląc się, bym nie znalazła się na wprost ściany ognia.

Wkoło spadały główne i deszcz iskier. Zabrakło mi tchu, dławiłam się dymem, który posuwał się szybciej niż ogień. Nie mogłam dalej biec, a jeśli miałam się zatrzymać, musiałam to zrobić teraz, kiedy pożar nie był jeszcze zbyt blisko.

Pomyślałam sobie, że jeśli ogień otoczy mnie ze wszystkich stron, rzucę się w płomienie, by się przedrzeć przez strefę pożaru. Nie miałam pojęcia o jej szerokości. Ale by ją pokonać, muszę odzyskać oddech i zebrać siły.

Zatrzymałam się i padłam na ziemię. Próbowałam oddychać w miarę normalnie i dać wypocząć moim nadwreżonym mięśniom. Kiedy siedziałam tak i rozważałam swoje beznadziejne położenie, wydało mi się, że usłyszałam przeraźliwe rzenie spłoszonego konia.

Zerwałam się na nogi. Przytknęłam dłonie do ust i krzyknęłam, ale odpowiedziała mi cisza. Żar ognia zaczął mnie parzyć. Wiedziałam, że nie mogę zwlekać ani chwili dłużej.

Znów zaczęłam biec. Uświadomiłam sobie grożące mi niebezpieczeństwo i świadomość ta dodała mi sił. Nie wiedziałam, na jak długo mi ich starczy, ale póki mogłam — musiałam uciekać stąd jak najdalej.

Przez las przepływał strumień, ale nie wiedziałam którędy. Gdyby udało mi się do niego dotrzeć, zanurzyłabym się w wodzie i przeczekałabym, aż ogień przejdzie. Ale strumień mógł być równie dobrze po mojej prawej ręce, jak i po lewej, a jeśli zrobię błąd — skieruję się w sam środek ognia. Lepiej było trzymać się ścieżki i spróbować biec szybciej, niż posuwały się płomienie.

Tuż przed sobą ujrzałam żółtoczerwoną łunę. Przez chwilę pomyślałam, że zboczyłam ze ścieżki, ale nagle uświadomiłam sobie, że to, co widzę, jest ścianą ognia, ciągnącą się w poprzek dróżki. Płomienie otaczały mnie ze wszystkich stron. Nie rozumiałam, jak to się mogło stać, ale nie ulegało wątpliwości, że tak właśnie było.

Zwolniłam kroku. Bez względu na to, w którą zwróciłabym się teraz stronę, pobiegłabym prosto w płomienie. Jednak nie mogłam tak tu stać. Musiałam spróbować określić, z której strony płomienie są najmniejsze, i pobiec w tamtym kierunku. Tak mało wiedziałam o pożarach lasów. Ale musi być jakiś sposób wydostania się stąd. Nie miałam czasu na zastanawianie się. Dym był coraz gęstszy, żar zwiększał się, a ściana ognia przybliżała z każdą chwilą. Już miałam zdjąć

spódnicę i okręcić nią głowę, by w ten sposób spróbować ochronić twarz i włosy, kiedy dobiegł mnie głuchy odgłos wystrzału.

Przytknęłam dłonie do ust i krzyknęłam. Ponownie wystrzelono z karabinu. Ktoś znajdował się po mojej prawej ręce i to dość blisko. Pobiełam w tym kierunku, nawołując co kilka kroków. Ktokolwiek to był, nie miał zbyt dużo czasu, by pośpieszyć mi na ratunek. Żar był niemal nie do zniesienia.

Moje okrzyki przemieniły się w przeraźliwe wrzaski. Nagle zobaczyłam, jak z kłębow gęstego dymu wynurza się czyjaś postać.

Podbiegłam w jej stronę. Nie mogłam rozpoznać, kto to jest, ale nie miało to teraz znaczenia. Coś zważyło się na mnie i na głowie poczułam mokry koc. Ktoś złapał mnie za rękę i zaczął ciągnąć wzdłuż ścieżki, krzycząc jednocześnie:

— Wracaj! Mam ją. Wracaj!

Przez gruby koc głos dobiegał niewyraźnie i był trochę zniekształcony. Nie wiedziałam, ani kto krzyczał, ani kto jeszcze raz wypalił ze strzelby. Biegłam potykając się, wciąż holowana przez mojego wybawiciela. Czułam, że żar zmałał. W końcu człowiek zwolnił uścisk i zatrzymaliśmy się. Padłam na ziemię, nie będąc w stanie ani chwili dłużej utrzymać się na nogach. Ściągnięto mi koc z głowy i po raz pierwszy od dłuższego czasu mogłam odetchnąć świeżym powietrzem. Ujrzałam nad sobą zaniepokojoną twarz Lorana Camerona.

Policzki i czoło miał osmalone, ręce pokrywała mu warstwa popiołu. Sprawiał wrażenie zagniewanego.

— Ty głuptasie! — zagrzemiał. — Nie masz już co robić, tylko włóczyć się w taką suszę po lesie? Nikt cię nie przestrzegł?

— Nie... nikt mi nic nie powiedział — wyjąkałam. — Dziękuję. Uratował mi pan życie.

— A przy okazji o mało sam nie zginąłem. Abner też gdzieś tu jest. Zobaczyliśmy dym. Helen powiedziała nam, że wybrałaś się na spacer do lasu. Wiedzieliśmy, że znajdziesz się w pułapce. Dosiadłem konia i pogałem. Mam nadzieję, że umknął przed ogniem. Abner wziął strzelbę, by dawać ci sygnały. Na

pewno zaraz do nas dołączy. Sądzę, że nic mu się nie stało; Abner zna te lasy jak własną kieszeń.

Nagle wybuchnęłam płaczem.

— Jesteś ranna... czy poparzona...?

— Nie, płomień mnie nie dosięgły, ale... ale niewiele brakowało. Jestem panu niezmiernie wdzięczna. — Odetchnęłam głęboko, zacisnęłam powieki i siłą pohamowałam łzy.

Z lasu wyłonił się Abner. Potwierdził, że widział konia Lorana, uciekającego przed pożarem. Chyba nic mu się nie stało. Ucieszyła mnie ta wiadomość. Pomogli mi wstać i skierowaliśmy się w stronę domu. Początkowo byłam osłabiona i szłam niepewnie, ale wkrótce odzyskałam siły i mogłam iść bez niczyjej pomocy.

— Kiedy zorientowałem się, że cię nie ma i ujrzałem dym, niemal oszalałem z niepokoju — powiedział Abner. — Nie wiedziałem, jak cię odszukam, ale wtedy spotkałem Lorana. Opowiedziałem mu o wszystkim i razem ruszyliśmy na poszukiwanie ciebie. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ogień tak gwałtownie się rozprzestrzeniał.

— Płomień otoczyły mnie, zanim zdołałam uciec — powiedziałam. — Nie wyobrażałam sobie, że ogień tak szybko może mi odciąć drogę ucieczki.

— Ja też nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś takim — przyznał Loran. — Najważniejsze, że wszystko się dobrze skończyło. Ogień sam się dopali, kiedy dotrze do podnóża wzgórz. Miastu nie grozi niebezpieczeństwo — wieje przeciwny wiatr. Często mamy tu do czynienia z pożarami, ale ten był wyjątkowo groźny. Dobrze się złożyło, że udało mi się zmoczyć derkę w strumieniu płynącym przez las.

Zauważyłam na lewym przedramieniu zaczerwienienie od lekkiego oparzenia, choć nie miałam najmniejszego pojęcia, kiedy to się mogło stać. Pani Cameron nalegała, bym natychmiast udała się do doktora Kinnery'ego. Skwapliwie skorzystałam z okazji odwiedzenia go.

Zdezynfekował i zabandażował mi ramię.

— To powierzchowne oparzenie. Nie zostanie po nim nawet najmniejszy ślad.

Za tydzień nie będzie po nim znaku. A więc to Loran cię uratował? Niesłychane. Na ogół kiedy jest potrzebny, nigdy go nie ma w pobliżu.

— Tym razem był — stwierdziłam z mocą.

— Z derką zwilżoną wodą?

— Glenie, co chcesz zasugerować? Że podpalił las, a potem przyszedł mi na ratunek? Jaki byłby w tym sens? I po co w ogóle próbowałby mnie zabić?

— Potrafię wymienić kilka korzyści, które odniosłaby rodzina Cameronów w razie twojej śmierci. Co się tyczy twojego wyratowania, powiedziałaś, iż Abner dowiedział się, że możesz znajdować się na terenie objętym pożarem i poszedł cię szukać. Czy było to przed wyjazdem Lorana z domu, czy potem?

— Nie wiem — przyznałam. — Glenie, Loran był dla mnie bardzo dobry. Okazał również wyrozumiałość. Kiedy krytykowałam sposób zarządzania fabryką, próbował wyjaśnić mi swoje racje i nie obraził się na mnie za to, co mu powiedziałam.

— Kiedy byłaś w ciąży z Norą, nie odważyłby się tego zrobić.

— Glenie, oskarżasz go o morderstwo!

— Wiem, do czego są zdolni Cameronowie. Och, prawdopodobnie plotę głupstwa. Wybacz mi. Nie mam prawa dyskutować na ten temat. Nie doznałaś poważniejszych obrażeń i nie ma żadnego dowodu na to, że ktokolwiek spowodował pożar. Słyszałem, że już został ugaszony. Skierowano wszystkich robotników fabryki do pomocy przy jego tłumieniu.

— Bardzo się cieszę. Pożar to straszny żywioł. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie straciłam nadziei, ale kiedy zobaczyłam wokół siebie morze płomieni, po raz pierwszy załamalam się. Uważam jednak, że niewłaściwie oceniasz Lorana.

— Mam taką nadzieję. Czy zastanawiałaś się nad tym, co zrobisz, gdy Nora będzie wystarczająco duża, byście mogły opuścić dom na Wzgórzu?

— Owszem, myślałam nad tym, ale nie powzięłam jeszcze żadnych decyzji.

— Nie odkładaj tego — poradził mi. — Joel nie żyje już od ponad roku, prawda?

— Tak. Nawet nie wiedział, że będzie miał córkę.

— Byłby dumny z niej — i z ciebie. Przyjdź z Norą w przyszłym tygodniu.

Przez następny miesiąc wszystko toczyło się zwykłym trybem i nie dostrzegłam u nikogo oznak wrogości. Loran był oczywiście traktowany jak bohater za to, że mnie uratował. Trzymałam się z daleka od lasu. Ścieżkę i tak pokrywała warstwa popiołu. Zadowalałam się spacerami po rozległym majątku, pchając stary wiklinowy wózek, który kiedyś służył Helen, Joelowi i Abnerowi, a teraz — Norze.

Ashley większość czasu spędzał w swoim pokoju albo w mieście. Abner nie pojawiał się podczas prawie żadnych posiłków, ale pozostali członkowie rodziny co wieczór zasiadali do wspólnej kolacji, po której rozchodzili się do swoich pokoi. Gdybym nie miała Nory, wymagającej ciągłej opieki, taka egzystencja dawno już śmiertelnie by mnie znudziła. Przysłuchiwałam się w kółko tym samym rozmowom o niczym. Dla tych ludzi nic nie było ważne poza fabryką i miastem. Czasami przy kolacji skazywano niektóre rodziny na wygnanie, ponieważ ktoś okazał się nieobowiązkowy w pracy. Nigdy nikomu nie dawano drugiej szansy. Zdumiewało mnie, że zawsze na miejsce zwolnionego pojawiał się ktoś nowy.

Glen utrzymywał, że w końcu dojdzie do kłopotów i im dłużej trwa ten pozorny spokój, tym gwałtowniejszy będzie wybuch niezadowolenia. Jednak ani do Lorana, ani do pana Camerona nikt nie zwracał się ze skargami i nie słychać było żadnych utyskiwań. Kilka razy poruszyłam tę kwestię, ale szybko i zgrabnie kierowano rozmowę na inne tematy.

Helen coraz więcej czasu spędzała z Norą. Może powinnam się temu sprzeciwiać, ale dziecko ją lubiło, podobnie zresztą, jak lubiło znajdować się w centrum zainteresowania. Dawno już przestałam przywiązywać wagę do wysuwanych przez Glena zastrzeżeń wobec Cameronów. Traktowałam je jako czysty wymysł, spowodowany głęboką niechęcią i nieufnością do nich. Wydawało się, że ten dziwny dom pogrążony był w atmosferze spokoju i wszystko znajdowało się pod kontrolą.

Gdzieś w połowie września obudziły mnie w środku nocy silne skurcze żołądka. Wstałam z łóżka i zwinęłam się z bólu. Zaczęłam się przechadzać po pokoju, czekając, aż atak minie. Tymczasem bóle stopniowo nasilały się. O świcie zesłam

do kuchni i zrobiłam sobie herbaty.

Cały dom pogrążony był w ciszy. Nikt się jeszcze nie obudził, ale nigdy nie dopuszczano, by ogień w piecu wygasł. Zawsze stał na nim imbryk, więc mogłam szybko zaparzyć sobie herbatę. Kiedy się napiłam, ból nieco zelżał. Miałam nadzieję, że poprawa potrwa do rana, a wtedy pojedę do Glena, bo wiedziałam, że nie można lekceważyć takich objawów.

Ale wkrótce ból stał się nie do wytrzymania. Obudziłam Helen i poprosiłam ją, by pomogła mi się ubrać.

— Muszę natychmiast iść do doktora Kinnery'ego. Nie wiem, co mogło wywołać takie bóle, ale może to być coś poważnego. Jeśli zatrzyma mnie na dłużej, zaopiekuj się Norą. Będę ci bardzo wdzięczna.

— Nie martw się, Maeve, o Norę, nic jej nie będzie. Ale niepokoi mnie twój stan. Wyglądasz na ciężko chorą.

— Rzeczywiście czuję się okropnie, ale jakoś dotrę do doktora. Każ tylko, by przygotowano powóz, i to szybko. Nie budź pozostałych domowników, nie trzeba.

Piętnaście minut później już jechałam do miasta, ale w połowie drogi poleciłam woźnicy, by zatrzymał powóz. Dostałam gwałtownych torsji. Kiedy ruszyliśmy dalej, ledwo mogłam utrzymać się na siedzeniu. Woźnica podbiegł do drzwi domu Glena i zaczął walić mosięzną kołatką, póki mu nie otworzono. Glen skoczył w stronę powozu i bez słowa porwał mnie na ręce i zaniósł do gabinetu.

Położył mnie na kozetce, przeprowadził kilka testów i rutynowych badań. Następnie wręczył Jennie długą czerwoną, gumową rurkę i polecił, by ją natychmiast wygotowała. Byłam zbyt słaba, by mówić.

Glen pochylił się nade mną.

— Maeve, od kiedy masz te bóle?

— Od... od trzeciej nad ranem — wyjąkałam.

— Czy teraz czujesz się trochę lepiej niż zaraz po przebudzeniu?

— Gorzej — powiedziałam. — Znacznie gorzej, Glenie. Proszę, zrób coś.

— Co jadłaś wczoraj na kolację?

— Nie pamiętam. Tak się okropnie czuję...

— Musisz sobie przypomnieć — odezwał się ostrym tonem.

Nagle uświadomiłam sobie, o co mu chodzi i w tej samej sekundzie przypomniłam sobie chorobę Joela. Spróbowałam usiąść, by podzielić się z Glenem swoim odkryciem, ale zmusił mnie, bym się położyła.

— Nie ruszaj się — polecił mi.

— Zupełnie jak... jak Joel — powiedziałam. — On miał takie same torsje... zupełnie jak Joel...

— Tak sobie właśnie pomyślałem. Nieważne, co jadłaś na kolację. Zrobię ci płukanie żołądka. Nie jest to przyjemny zabieg, ale jedynie on może ci pomóc. Później dostaniesz lekarstwo. A jak już będzie po wszystkim, Jennie położy cię do łóżka.

— Nora — odezwałam się słabo. — Muszę wracać do Nory.

— Norze nic nie będzie. Jest jedyną osobą, o którą możemy być spokojni. Teraz najważniejsza jesteś ty. Jak długo Joel chorował?

— Jakieś... jakieś dwa dni.

— A potem nagle umarł?

Skinęłam lekko głową.

— Maeve, czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Czy dostrzegasz w tym jakąś logikę?

— Tak.

— Słuchaj, co ci powiem: nie umrzesz. Poczujesz się lepiej i znajdziemy jakieś wytłumaczenie tego wszystkiego. A teraz musisz mi pomóc, żebym mógł pomóc tobie.

Jennie wróciła z długą rurką, którą następnie wepchnięto mi do gardła. Zakryła mi oczy ręcznikiem. Słyszałam, jak Glen za pomocą jakiegoś ręcznego urządzenia opróżniał mi żołądek. Było to okropne, ale dumna byłam, że ani razu nie jęknęłam.

Poczułam w żołądku jakiś ciepły płyn, który po chwili usunięto. Powtórzyło się to kilka razy. Nie czułam się lepiej, ale wierzyłam Glenowi, że będę żyła. Po jakimś

czasie dostałam do wypicia zimną wodę, której nie zwróciłam. Potem otrzymałam jakieś gorzkie lekarstwo i w końcu Jennie razem z Glenem zawinęli mnie w koc, przenieśli do sypialni i położyli na wygodnym łóżku. Byłam tak wyczerpana, że leżałam z zamkniętymi oczami, ciesząc się, iż ból ustał.

Późnym rankiem znów obudziły mnie bóleści, ale nie były tak gwałtowne jak poprzednio. Glen sprawiał wrażenie uspokojonego. Spojrzałam na jego nie ogoloną, zmęczoną twarz.

— Glenie, nie spałeś całą noc.

— Ale ty spałaś, a to najważniejsze. Teraz musisz regularnie zażywać lekarstwo i dużo odpoczywać. Jestem pewien, że na czas usunęliśmy ci z żołądka to, co spowodowało bóleści. Na szczęście niezbyt długo zwlekałaś z przyjazdem do mnie.

— Próbowali mnie otruć, prawda?

— Maeve, człowiek nie cierpi na takie bóleści po zwykłym zatruciu pokarmowym. Przypomnij sobie, kiedy opiekowałaś się Joelem podczas jego choroby, po upływie ilu godzin od pierwszego ataku czuł się tak jak ty teraz?

— Nie wiem. Pierwszy atak złapał go w drodze z Dublina do domu, w jakiejś wiejskiej karczmie.

— Rozumiem. Nie wziąłem tego pod uwagę. Wydaje mi się, że niebezpieczeństwo minęło. Te ataki bólu mogą się jeszcze powtórzyć. Jennie będzie cały czas czuwała przy twoim łóżku, a kiedy pójdzie odpocząć, ja ją zastąpię.

— Glenie, czekają na ciebie inni pacjenci — zaprotestowałam.

— Nikt nie jest bardziej chory od ciebie. Słuchaj no, Maeve, ja tu jestem doktorem. Ja wydaję polecenia, a ty masz ich słuchać.

— Dobrze, Glenie. Biedny Joel, nie przyznał się, że aż tak cierpiał. Powiedz mi, czy ktoś z Cameronów dowiadywał się o mój stan zdrowia?

— Nie, jeszcze nie. Gdyby się pojawili, powiem im, że jesteś zbyt chora, by kogokolwiek przyjmować. Nie chcę, by się do ciebie zbliżali.

— Glenie, proszę przynieś mi Norę.

— Nie pozwolą mi. Lepiej nie ryzykujmy zabierania jej siłą. Przynajmniej póki

na tyle nie wydobrzejesz, byś mogła się przed nimi bronić. No, dosyć teraz dyskusji na ten temat. Nora jest dla nich niemal równie droga jak dla ciebie, więc jeśli o nią chodzi, nie ma powodów do zmartwień. A inne problemy mogą na razie poczekać.

— Glenie, myślisz, że mi ją odbiorą? — spytałam ogarnięta falą paniki.

— Nie mogą tego zrobić. Prawo zupełnie jasno to rozstrzyga. Nora należy do ciebie, a nie do Cameronów.

— A jeśli ją gdzieś wywiozą? Ukryją?

— Pozwiemy ich przed sąd. Choć wydaje im się, że są potężni, nie stoją ponad prawem. Nie martw się.

— To silniejsze ode mnie — powiedziałam. — Teraz ci wierzę, że to Loran podpalił las, a uratował mnie tylko dlatego, iż w przeciwnym wypadku z pomocą pośpieszyłby mi Abner. Taki sposób rozumowania jest w jego stylu. Loran jest sprytny i przebiegły. Śmiertelnie się go boję.

— Loran, jak przyjdzie co do czego, jest taki sam jak wszyscy. Nie wzbudza we mnie strachu. A teraz skończ już z tym paplaniem i spróbuj trochę odpocząć. Jeszcze nie jesteś zupełnie zdrowa i zanim to nastąpi, będziesz potrzebowała dużo siły.

Kiedy wyszedł, jego miejsce zajęła Jennie. Rozmawiałam z nią przez chwilę, ale stopniowo górę brało zmęczenie. W końcu usnęłam, a kiedy się obudziłam, Jennie nie było, a na jej krześle siedział Glen.

Dwa następne dni upłynęły mniej więcej podobnie. Byłam jak niemowlę, więcej spałam, niż czuwałam, ale czułam, że odzyskuję siły. Powróciły również bóle, ale nie były takie silne jak poprzednio. Podawane przez Glena lekarstwa wyraźnie pomagały.

Czwartego dnia miałam gościa. Glen nie był pewny, czy powinien pozwolić mi się ze mną zobaczyć, ale kiedy dowiedziałam się, że przyszedł Abner, nalegałam, by go wpuścił. Dopiero kiedy go zobaczyłam, zrozumiałam, czemu Glen zgodził się tak niechętnie. Abner był kompletnie pijany. Stał obok łóżka, chwiejąc się nieco, w rękę miał kapelusz; po policzkach spływały mu dwie duże łzy.

— Chciałem przyjść wcześniej — powiedział — ale byłem za bardzo pijany.

Maeve, uciekaj stąd. Nie wracaj tam. Pod żadnym pozorem. Trzymaj się od nich z daleka. I na miłość boską, nie powiedz im, że u ciebie byłem. Ukręcą mi głowę, jak się o tym dowiedzą.

— Nie powiem im, Abnerze. Dziękuję, że przyszedłeś. Czy wiesz, co zamierzają zrobić?

— Nic mi nie mówią. Nie ufają mi, ale cokolwiek zamierzają, na pewno to coś złego. Trzymaj się od nich z daleka! Muszę już iść. Nie mogę tu dłużej zostać. Pamiętaj, nie powiedz nikomu...

Chwiejnym krokiem opuścił pokój, o mały włos nie rozbijając głowy o framugę drzwi. Glen odprowadził go, a po chwili wrócił do mnie.

— Myślę, że możemy teraz mieć pewność, iż to sprawka Cameronów oraz, że nie zamierzają poprzestać na tym, co zrobili ci do tej pory.

Mogłam już siedzieć na łóżku i odzyskałam pełnię władz umysłowych, ograniczoną chwilowo przez tę podstępłą chorobę. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny dużo rozmyślałam, nie wypowiadając na głos swoich wniosków, ale doszłam do przekonania, że najwyższa pora, by to zrobić.

— Glenie, przed ostatnią wyprawą Joela do Dublina, kiedy spacerowaliśmy sobie brzegiem morza, ktoś do nas strzelał.

— Nie wykryliście sprawcy?

— Próbowaliśmy. Joel znalazł w piasku kulę. Pochodziła z nowoczesnej broni. Niezbyt się na tym znam. W mojej wiosce mieszka niejaki Cathal Dolan. Razem się wychowywaliśmy. Kiedy się dowiedział, że mam poślubić Joela, zaczął mi grozić. Joel pomyślał, że to może on do nas strzelał. Poszliśmy do jego chałupy i przeszukaliśmy ją. Joel znalazł strzelbę, ale bardzo starą. Powiedział, że kula nie mogła zostać z niej wystrzelona. Jedyne, czego udało nam się dowiedzieć, to że nikt w wiosce nie ma takiej strzelby. Doszliśmy do wniosku, że jakiś myśliwy wybrał się na polowanie i kiedy zobaczył, że o mały włos nas nie zabił, uciekł. Teraz zaczynam się zastanawiać, czy... podobnie, jak ten pożar lasu i ta okropna choroba... i śmierć Joela...

— Mam nadzieję, że zrozumiałaś teraz, czemu proszę, byś trzymała się z dala od

domu na Wzgórzu?

— Tam jest moja córka — powiedziałam. — Muszę po nią iść.

— Pójdę z tobą — powiedział. — Ale jeszcze na to za wcześnie. Jesteś wciąż zbyt słaba. Powiem ci, kiedy będziemy mogli pójść.

— Wierzę, że Norze nie grozi żadne niebezpieczeństwo, więc mogę poczekać. Chcę mieć więcej siły, kiedy stanę z nimi twarzą w twarz.

Ponieważ nie zachodziła już konieczność czuwania nade mną cały dzień i noc, Jennie i Glen nie siedzieli już tak często przy moim łóżku, miałam więc czas na rozmyślenia. O wiele bardziej martwiłam się o Norę, niż dawałam to po sobie poznać. Po ludziach, którzy byli zdolni do zamordowania własnego syna i dwukrotnie próbowali zabić wdowę po nim, można się było spodziewać wszystkiego. Musiałam odebrać im Norę.

Wstałam z łóżka, ale zachwiałam się, a wysiłek spowodował łagodny atak skurczów. Szybko wróciłam do łóżka. Dopiero dwa dni później w tajemnicy wypróbowałam, że mam dosyć sił, by udać się na Wzgórze. Postanowiłam pojechać tam sama, wyslizgnąć się z domu Glena i bez jego pomocy uporać się ze swoimi problemami. Bo jeśli zbyt mocno się zaangażuje, gniew Cameronów zwróci się również przeciwko niemu. A przecież był od nich w pewnym stopniu zależny. Mogli w każdej chwili sprowadzić innego lekarza i odmówić wypłacania Glenowi pieniędzy za opiekę lekarską nad mieszkańcami miasta.

Ogarnął mnie głuchy gniew. Zrozumiałam, że troska i dobroć, okazywana mi przez Cameronów, miała na celu uspienie mojej czujności do chwili narodzin Nory. Gdyby w miasteczku nie było lekarza albo praktykował tu ktoś równie niekompetentny jak ten stary doktor, który próbował ratować Joela, już bym nie żyła. Zgon z nie wyjaśnionej przyczyny, najprawdopodobniej w wyniku zapalenia jelit, tak jak stwierdzono w przypadku śmierci Joela.

Okazja do wymknięcia się z domu nadarzyła się, kiedy Glena wezwano do kobiety, u której rozpoczął się przedwczesny poród. Przysłał po swoją siostrę, jak zawsze, kiedy potrzebował pomocy.

— Wróćę najszybciej, jak będę mogła — obiecała Jennie. — Zresztą sama potrafisz już dać sobie radę. Często się wszystkim, na co będziesz miała ochotę. Tylko nie przesadź. Twój stan ulega ciągłej poprawie i Glen nie chciałby, żeby nastąpił nawrót choroby.

— Dam sobie radę — powiedziałam.

Pięć minut po jej odjeździe ubrałam się pośpiesznie. Stajnia nie znajdowała się daleko, ale popołudnie było skwarne, więc droga zdawała się ciągnąć kilometrami. Ale jakoś w końcu ją pokonałam, wypożyczyłam powóz i udałam się prosto do domu na Wzgórzu.

Rozdział dziewiąty

Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze do nich dotarłam. Martha władcym gestem wskazała mi drogę do salonu. Nie wątpiłam, że widziano mój powóz zajeżdżający przed dom i Cameronowie mieli czas, by się zebrać. Minęłam ją, nie mając wcale zamiaru iść do salonu i szybko wbiegłam po schodach. Przeszłam korytarzem i otworzyłam drzwi do pokoju dziecinnego.

Było w nim pusto. Mała kołyska była zasłana, zabawki poukładane równiutko. Nigdzie ani śladu Nory. Oszalała z niepokoju pobiegłam do pokoju Helen. Mogła mi pomóc; darzyła mnie sympatią, przynajmniej do pewnego stopnia. Nie odpowiedziała na moje pukanie, więc pchnęłam drzwi i weszłam do środka. W jej pokoju również nikogo nie było i odniosłam wrażenie, że od jakiegoś czasu nikt tu nie mieszka. Nie pozostawało mi nic innego, jak zejść na dół i zażądać wyjaśnień.

Wstąpiłam do pokoju, który kiedyś był moim. Moje walizki i kufry stały w rzędzie, spakowane. Z sekretarzyka usunięto moje rzeczy, szuflady opróżniono, wszystko zabrano.

Wolno zesłam po schodach, żeby mieć więcej czasu na zebranie myśli. Kiedy wkroczyłam do salonu i stanęłam twarzą w twarz z rodzicami Joela, stryjem Loranem i ciotką Marcy, domyśliłam się, co tu zaszło.

Przemówiłam do nich, starając się zachować panowanie nad sobą.

— Przyszłam po swoją córkę. Jeśli mi jej zaraz nie oddacie, zadeszuję do moich adwokatów w Nowym Jorku i Portland, domagając się natychmiastowego wszczęcia dochodzenia.

— W jakiej sprawie, moja droga? — spytał Loran. — Deborah wyjechała z Helen na wakacje. Zapewniam cię, że nic jej nie grozi.

— Macie ją natychmiast sprowadzić z powrotem — powiedziałam. — Ostrzegłam was tylko raz i nie będę się powtarzała, dodam jeszcze, że jeśli dojdzie do dochodzenia, będzie ono również dotyczyło dwóch zamachów na moje życie i zabójstwa mojego męża. Zabójstwa Joela Camerona. Czy wyrażam się jasno?

— Maeve — odezwała się pani Cameron — proszę, usiądź. Jesteś wzburzona i mówisz od rzeczy.

— Chcemy, byś nas jedynie wysłuchała — dodał ojciec Joela. — Wierz mi, że to dla twojego dobra.

Usiadłam.

— Bez względu na to, co mi powiecie, niczego to nie zmieni. Żądam oddania mi dziecka, i to natychmiast, inaczej narobię wam takich kłopotów, że nie pomogą wam wasze wpływy i pieniądze.

Loran aż poczerwieniał ze złości.

— A teraz posłuchaj mnie, ty niewdzięcznico. Nie oddamy ci Deborah. Nigdy! Wychowamy ją tak, jak przystało na potomka Cameronów. I wyrazisz na to zgodę, bo inaczej zniszczymy ci opinię w miasteczku, wywieziemy cię stąd i postaramy się, by odesłano cię, okrytą hańbą i wstydem, do Irlandii.

— Dobrze, wysłucham was — powiedziałam. — Daję wam dwie, trzy minuty.

Loran wziął ze stolika jakiś dokument.

— Chciałem powrócić do dnia, kiedy wydaliśmy bal, podczas którego zwabiłaś na wpeł pijanego durnia do ogrodu, by się tam z nim oddawać rozpuście.

— Więc to tak — powiedziałam. — Jeśli ma mi pan do zakomunikowania tylko takie rzeczy, może pan sobie zaoszczędzić trudu.

— Och, to nie wszystko. Mówiąc szczerze, sporo ryzykujemy, adoptując Deborah, bo wcale nie mamy pewności, że jej ojcem jest Joel.

— A skąd wam przyszedł do głowy taki obłąkany pomysł? — spytałam. Było to przypuszczenie tak absurdalne, że nawet nie zdołało wyprowadzić mnie z równowagi.

Loran wręczył mi jakiś dokument.

— Oto złożone pod przysięgą oświadczenie niejakiego Cathala Dolana. Zaświadcza w nim, że byliście zaręczeni do dnia, kiedy w waszej wiosce pojawił się Joel. Stwierdza, że między tobą a tym Cathalem Dolanem wiele razy dochodziło do intymnych stosunków, zarówno przed przyjazdem Joela, jak i potem. Są tu również oświadczenia innych mieszkańców wioski, z których wynika, że wszyscy byli przekonani, iż poślubisz Cathala Dolana i że stale widywano cię w jego towarzystwie.

— Cathal to łgarz — powiedziałam.

Oddałam mu dokument.

— Polecę panu Arnoldowi z Nowego Jorku, by podjął odpowiednie kroki.

Ciotka Marcy uśmiechnęła się.

— Jesteś bezwstydna, ale takim jak ty nigdy nie brak tupetu. Będzie nam bardzo przyjemnie oświadczyć wszem i wobec, że jesteś dziwką!

Pohamowałam swój gniew.

— Nic teraz na to nie odpowiem, ale nie puszczę wam tego płazem.

— Maeve, proszę, bądź rozsądna — odezwała się matka Joela. — Pomyśl, co możemy zrobić dla Deborah.

— Świetnie wiem co — odparłam. — Już zmieniliście jej imię, a później zmienicie jej charakter i ukształtujecie ją na swój wzór i podobieństwo, a jesteście ludźmi podłymi, przebiegłymi, intrygantami i mordercami.

Loran usiadł.

— Mówiłem, że nie będzie nas chciała słuchać. Wyrzućcie ją.

— Nie — sprzeciwił się ojciec Joela. — Poślubiła mojego syna i zasługuje na pewne względy. Maeve, wykupimy twój udział w fabryce za dwa razy tyle, ile jest obecnie wart. Będziesz mogła wrócić do Irlandii i cieszyć się swoim bogactwem. W

zamian za to zniszczymy wszelkie dowody, jakie mamy przeciwko tobie i pozwolimy ci od czasu do czasu odwiedzać Deborah.

— To niezwykle hojna propozycja — powiedziałam. — Przesadnie hojna. Dziękuję, ale z niej nie skorzystam.

— Deborah dorośnie i dowie się, że jej matka była zwykłą dziwką — powiedział Loran. — Jeśli sądzisz, że nie możemy tego udowodnić, pozwól nam działać. Niech twój znamienity adwokat da nam szansę. Jesteśmy gotowi się z nim zmierzyć. Sprowadzimy tutaj z Irlandii tego Cathala jak mu tam oraz każdego, czyje zeznania przeciwko tobie będą nam potrzebne. Zmusimy Arthura Standisha do zeznania pod przysięgą, że próbowałaś go uwieść. Zastanów się dobrze. Wszystkie gazety będą się o tym rozpisywały. To będzie dla twojej córki piękny prezent.

Wstałam.

— Idę na górę do swojego pokoju po kilka rzeczy, których boję się zostawić w tym zapomnianym przez Boga domu. Polecę również, by natychmiast zabrano stąd moje torby i kufry.

Wymaszerowałam z salonu i udałam się na górę. Powstrzymywałam łzy, bo nie mogłam pozwolić, by zobaczyli, że płaczę. Zamknęłam drzwi do sypialni i przeszukałam walizkę, w której trzymałam zwierciadło. Gdyby go w niej nie było, odmówiłabym opuszczenia domu do czasu, aż się odnajdzie. Chociaż właściwie nie było podstaw do obaw, bo nikt się nie domyślał, jak jest cenne. Bałam się jedynie, że ktoś mógł je wyrzucić, uznawszy je za bezwartościowe.

Znalazłam je w trzeciej walizce, do której zajrzałam. Włożyłam do torebki i zamknęłam walizkę. Kiedy się podnosiłam, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Ashley.

— Wracaj na dół, do swojej rodziny. Tam twoje miejsce — powiedziałam.

— Maeve, potraktowali cię strasznie. Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.

Podszedł do mnie i przez chwilę uwierzyłam, że mówi szczerze. Nagle objął mnie ramionami i przygarnął mocno do siebie, próbując mnie pocałować w usta. Byłam tak zdumiona i zaskoczona, że przez kilka chwil stałam bez ruchu. Potem

udało mi się wyswobodzić prawą rękę. Zamachnęłam się i uderzyłam go z całej siły w twarz, kopiąc go jednocześnie w nogę. Kiedy mnie puścił, cofnęłam się i jeszcze raz wymierzyłam mu siarczysty policzek. Odskoczył, próbując bronić się przed moją furją, którą gromadziłam od jakiegoś czasu, a której teraz dałam upust.

Wycofał się z pokoju na korytarz, a ja wybiegłam za nim. Nagle zrobiło mi się żal tej namiastki człowieka. Odwróciłam się z obrzydzeniem i wróciłam do pokoju po torebkę. Kiedy ponownie wyszłam na korytarz, Ashleya już nie było. Skierowałam się w stronę schodów. Martha otworzyła mi drzwi, ale zanim opuściłam dom, udałam się jeszcze raz do salonu.

— Jeśli chcieliście dodatkowo zniszczyć moje dobre imię nasyłając na mnie Ashleya, by mnie zgwałcił, trzeba było do tego zadania poszukać prawdziwego mężczyzny. Niech was wszyscy diabli.

Mijając służącą powiedziałam:

— Odnosi się to również do ciebie, choć wątpię, czy diabli chcieliby mieć z wami cokolwiek wspólnego.

Wsiadłam do powozu. Początkowo jechałam stępą. Dopiero gdy dom zniknął za wzgórzem, pognałam konia, ogarnięta wielkim niepokojem. Kiedy dotarłam do domu Glena, czułam się nie lepiej niż owego ranka, gdy pojawiłam się tu, złożona boleściami.

Jennie objęła mnie.

— Pojechałaś do nich, prawda? Glen chciał ci oszczędzić tego przykrego przeżycia, Maeve.

— Musiałam tam pojechać. Zatrzymali Norę i nie chcą mi jej oddać.

— Glen się wszystkim zajmie — oświadczyła Jennie. — Tym razem Cameronowie nie będą mieli do czynienia ze swoimi robotnikami. Chodź, usiądziemy sobie w kuchni. Zaparzę kawę. Nie sędzę, by ci zaszkodziła na żołądek. Glen zaraz skończy przyjmować pacjentów.

— Nie martwię się teraz stanem mojego żołądka — powiedziałam — tylko umysłu oraz moim poczuciem rzeczywistości. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

Po prostu nie mogę uwierzyć, że istnieją tacy ludzie, jak ci... ci... ci tam na Wzgórzu.

— Wiem, wiem. Ale to jeszcze nie koniec.

— O niczym nie wiesz — przerwałam jej. — Nie masz pojęcia o tym, co zrobili.

W jaki sposób rozumują.

— Maeve, proszę, uspokój się — zwróciła się do mnie Jennie. — Jeśli Glen cię zobaczy w takim stanie, natychmiast każe ci wracać do łóżka.

— Dobrze, spróbuję się opanować, bo Bóg mi świadkiem, że nie chcę znowu leżeć w łóżku. Kawa dobrze mi zrobi, rozgrzeje mnie, choć po wizycie w domu na Wzgórzu myślałam, że już nic nigdy na tym świecie nie będzie mnie w stanie rozgrzać. — Wyciągnęłam rękę. — Cała drzę, ale uspokoję się. Nie zostawiaj mnie samej, Jennie. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek potrzebny mi jest ktoś bliski.

— Słyszałam odgłos zamykanych drzwi frontowych, więc Glen prawdopodobnie skończył już przyjmować pacjentów. Opowiedz mu, co zaszło, możliwie jak najspokojniej. Pamiętaj, że byłaś chora, bardzo chora. Idąc na Wzgórze złamałaś polecenie lekarza i jeśli teraz Glen zobaczy, jak bardzo jesteś zdenerwowana, natychmiast każe ci się położyć.

— Nic mi nie jest — powiedziałam. — Odzyskam panowanie nad sobą, choć teraz aż się we mnie gotuje. Jestem taka wściekła, że byłabym w stanie udać się teraz na Wzgórze i podpalić ten ich dom.

Do kuchni wpadł Glen i zajął miejsce przy stole obok mnie. Jennie naląła mu kawy i ponownie napełniła moją filiżankę.

— Jesteś jednym kłębkim nerwów — zauważył Glen. — Czemu tam poszłaś?

— Musiałam.

— Cóż... Chyba tak...

— Helen wyjechała z Norą, ale nie chcą mi powiedzieć dokąd.

— Naprawdę? Nie bój się, odzyskamy Norę. Przecież to jawne porwanie.

— Zaczekaj, Glenie. Zmuszą tego Standisha do zeznania pod przysięgą, że podczas balu złożyłam mu niedwuznaczną propozycję. Mają oficjalne oświadczenie Cathala Dolana, pochodzącego z mojej rodzinnej wioski, że... że sypialiśmy ze sobą

zarówno przed przyjazdem Joela, jak i potem. Powiedzieli, że nawet nie mają pewności, czy Nora jest dzieckiem Joela, ale gotowi są zaryzykować i adoptować moją córkę.

— Czyż to nie wspaniałomyślność z ich strony? — powiedziała Jennie.

— Maeve, zostaniesz moją żoną? — spytał Glen.

— Byli na tyle głupi, by nasłać na mnie tego ciamajdowatego Ashleya, żeby mnie zgwałcił. Wymierzyłam mu kopniaka i przepędziłam go.

— Maeve, posłuchaj mnie! Czy zostaniesz moją żoną?

— Zrobią ze mnie dziwkę — powiedziałam. — Chcą, by Nora się mnie wstydziła, kiedy dorośnie. Jeśli wezwę ich przed sąd... co powiedziałeś?

— Do cholery! — wrzasnął. — Pytałem, czy za mnie wyjdiesz.

— Oczywiście — oświadczyłam. — Dlaczego pomyślałeś, że ci odmówię?

— Ja... ja... nie wiem. Musiałem cię spytać...

— A więc jednak na coś się to wszystko zdało — powiedziałam, patrząc na Jennie. — Ten biedak nie poprosiłby mnie o rękę właśnie teraz, ale w ten sposób próbuje ratować mój honor. Ocalić moje dobre imię.

Glen podparł brodę ręką i odwrócił wzrok, wzdychając głęboko. Podeszłam do niego, pochyliłam się i pocałowałam go, a potem powiedziałam, że już od dawna go kocham.

Jennie niepostrzeżenie udało się wyslizgnąć z kuchni. Glen wstał.

— Nie prosiłem, byś została moją żoną, bo jest mi Ciebie żal. Nie było moim zamiarem ratowanie twojego dobrego imienia, jak to powiedziałaś. Poprosiłem cię o rękę, bo cię pokochałem całym sercem od chwili, kiedy cię po raz pierwszy ujrzałem.

— Wiem o tym, najdroższy — powiedziałam mu.

— Nie powinienem oświadczać się kobiecie, która tak niedawno owdowiała. Ale teraz potrzebna ci pomoc, a ja jako twój mąż mogę dla Ciebie dużo zrobić.

— Glenie, z tym Standishem i Cathalem to kłamstwo.

— Nie musisz mi tego mówić.

— Wiem, jednak wolałam ci powiedzieć. Ostatnio wydarzyło się tyle rzeczy, że

czuję się trochę zdezorientowana. Kocham cudownego człowieka, którego wkrótce poślubię. I to jest wspaniałe. Ale straciłam córkę, co jest straszne.

— Nie straciłaś jej — zaprzeczył.

— Usiądź i pozwól mi powiedzieć, co czuję. Proszę cię, mój najdroższy. Musimy o tym teraz porozmawiać. Myślę o Norze i o tym, że gotowi są mnie przed nią oczernić. Nie zniosłabym tego. Złamałoby mi to serce. Kiedy sobie pomyślę, że mogą wykorzystać te fałszywe oświadczenia w sądzie, wiem, że nie zrobię nic, by spróbować ją odzyskać.

— Potrzebny nam tylko lepszy adwokat niż ten, którego mają oni.

— Mam takiego w Nowym Jorku. Nie wolno mu tu prowadzić praktyki, ale może mi udzielać rad. Myślę, że dobrze będzie, jak się z nim spotkam.

— Niech to będzie nasza podróż poślubna, Maeve.

— Och, Glenie, cóż by to była za podróż poślubna?

— Cóż, jedno musimy sobie powiedzieć jasno: w taki czy inny sposób odzyskamy Norę. Ale nawet jeśli trochę to potrwa, Norze przez ten czas nic nie grozi. Zapewnią temu dziecku najlepszą opiekę pod słońcem.

— Uczynią z niej Camerona, a to ciężka choroba — wtrąciłam.

— Ale uleczalna. Nie pora teraz mówić o Joelu, ale on też był Cameronem. Nie działając na łapu capu możemy lepiej przygotować się do rozprawy sądowej i okryć tych ludzi hańbą.

— Glenie, to oni chcą mnie okryć hańbą. Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego nie powinniśmy teraz brać ślubu.

— Nie może istnieć żaden inny powód.

— Cameronowie natychmiast wyrzucą cię z tego miasta.

— O nie, mylisz się. Ani ten dom, ani ta ziemia nie należą do Cameronów. Jestem od nich niezależny. Muszą tu mieć lekarza, bo inaczej ich robotnicy porzuciliby pracę i wynieśli się stąd. Ja mogę sobie poradzić bez Cameronów, ale oni beze mnie — nie.

— Mogą tu sprowadzić innego lekarza. A skąd weźmiesz pieniądze, kiedy

przestaną ci płacić za leczenie robotników?

— Mam dosyć oszczędności, by móc jakiś czas przeżyć bez pracy.

— Zapomnieliśmy o jednym — powiedziałam. — Ja też mam pieniądze. Tylko nie zgrywaj się na bohatera, który wstydzi się korzystać z pieniędzy żony. To wyjątkowa sytuacja. Nie mogą wstrzymać wypłacania przysługujących mi kwot. Nie mogą mnie wyrzucić z tego miasta, bo jestem w jednej trzeciej jego właścicielką. Oto jak zaczniemy z nimi walczyć.

— Dopiero gdy nie uda się nam odzyskać Nory po dobroci. — Lekko pogłaskała mnie po włosach. — Mogą ci nieźle zatruć życie. Wszyscy wiedzą, że Standish to kawał łobuza, ale w sądzie mogą dać wiarę jego słowom, a przynajmniej wysłuchać go. Ashley przysięgnie, że go uwodziłaś, czym uwiarygodni zeznania Standisha. Wszystko zostało starannie obmyślane. Nie będziemy mogli podważyć oświadczenia Cathala, nie sprowadzając z Irlandii licznych świadków, a mam przeczucie, że Cameronowie mogą nam w tym przeszkodzić.

— Kiedyś napomknęli, że mogą mnie kazać deportować. Powiedzieli tak podczas mojej pierwszej wizyty u nich. Czy naprawdę mogą to zrobić?

— Nie pomyślałem o tym. Jeśli wygrają w sądzie, to owszem, będą mieli dużą szansę dopiąć swego, wykorzystując liczne wpływy i nie szcędząc pieniędzy. Powtarzam, że powinniśmy się jak najszybciej pobrać, wyjechać w podróż poślubną do Nowego Jorku i porozmawiać z twoim adwokatem. Kiedy zostaniemy małżeństwem, deportacja nie wchodziłaby w grę.

— Na pewno nie możemy wziąć ślubu w tym mieście. Nikt nie odważyłby się przyjść. Czy możesz zostawić swoich pacjentów na jakiś czas?

— Nikt nie jest teraz poważnie chory. A jeśli coś by się stało, Jennie może wezwać lekarza z sąsiedniego miasteczka.

— Rozumiem. — Przez mgnienie oka pomyślałam o Joelu. Gdyby niedaleko Kilcrea mieszkał dobry doktor... — Najdroższy, kocham cię już od dawna. Dłużej niż myślisz.

— Ale nie dłużej niż ja ciebie — powiedział.

— Z tym muszę się zgodzić. Kochałeś mnie, zanim mnie jeszcze spotkałeś i kiedyś wytłumaczę ci, jak to było możliwe.

Dość pośpiesznie poczyniliśmy przygotowania do podróży i pojechaliśmy powozem kierowanym przez Jennie do najbliższego miasta ze stacją kolejową. Stamtąd wysłaliśmy telegram do pana Arnolda, informując go o naszym przyjeździe i przyczynie naszej niespodziewanej wizyty, po czym wsiedliśmy do pociągu. Zatrzymaliśmy się w Bostonie, by wziąć ślub najszybciej, jak na to zezwalały przepisy kościelne i prawo stanu Massachusetts. Glen widocznie miał tu jakieś znajomości, bo załatwił wszystkie formalności w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Kiedy znalazłam się z dala od miasta Cameronów, na miejsce niepokoju i złości pojawiły się spokój i melancholia. Nie potrafiłam przestać myśleć o Norze, ale Glen miał rację, że będzie otoczona dobrą opieką. Jednak rozmowa z panem Arnoldem zachwiała mocno moją wiarą w szybkie odzyskanie córki. Po tej rozmowie nawet Glen stracił swój poprzedni optymizm.

— Problem polega na tym — powiedział pan Arnold — że nawet jeśli dowiedzimy, iż ich historyjki o pani rzekomej niewierności są wyssane z palca, sprawa i tak nabierze sporego rozgłosu.

— To znaczy, że choć udowodnię, że jestem absolutnie niewinna, moje dobre imię i tak dozna szwanku? — spytałam.

— Obawiam się, że tak. Ale jeśli sobie pani życzy, zwrócimy się do odpowiednich instytucji i wytoczymy im sprawę karną o porwanie. Wątpię byśmy doprowadzili do rozprawy, ale przynajmniej wszczęto by postępowanie. Gdyby naprawdę była pani taką złą kobietą i nieodpowiednią matką, nie próbowałaby pani odzyskać swej córki.

— Czy wygralibyśmy proces o porwanie? — spytał Glen.

— Nie. Mówiąc szczerze, może nawet nie udałoby nam się uzyskać aktu oskarżenia, a nawet jeśli tak, wszystko mogłoby się obrócić przeciwko nam.

— Cóż nam pan w takim razie radzi? — spytałam. — Nie chcę utracić córki. Przede wszystkim nie chcę, by sprawowali nad nią opiekę.

— Zalecam rozagę. Jak słusznie pani stwierdziła, dziecko będzie się znajdowało pod troskliwą opieką, a jest jeszcze za małe, by można było wypaczyć mu charakter. Napomknęła pani, że jej pierwszy mąż mógł się stać ofiarą morderstwa, a także, że próbowano go zastrzelić. Tutaj, w Cameron, miał miejsce pożar lasu, który prawdopodobnie wywołany został celowo, by pozbyć się pani. Pani śmierć miałaby pozory nieszczęśliwego wypadku. Cameronowie mogą dowieść ponad wszelką wątpliwość, jak bardzo panią kochali i dobrze traktowali. Potem pochorowała się pani na dziwną chorobę, podobną do tej, która spowodowała śmierć Joela. Niestety w tym wypadku też nie możemy niczego dowieść.

— Nie pozostaje nam nic innego jak czekać — powiedział Glen. — Ludzie uciekający się do takich metod postępowania wcześniej czy później popełnią błąd. Czy właśnie to nam pan proponuje, panie Arnold?

— W tej chwili niewiele więcej mogę zaproponować. Chcemy walczyć z bogatą i wpływową rodziną, nie dysponując amunicją.

— Będziemy pilnie szukali czegokolwiek, co pozwoliłoby nam udowodnić, że ktoś z rodziny Cameronów próbował zabić Maeve i doprowadził do śmierci Joela — oświadczył Glen.

— Wtedy wytoczmy im sprawę, w której ich pieniądze i wpływy na niewiele się zdadzą — zgodził się pan Arnold. — Ale na to potrzeba czasu. Maeve, wiem, że to dla pani bolesne, ale jeśli nie chce pani poważnie ryzykować utraty dobrego imienia, co pani jakoś by przeżyła, ale czego mogłaby nie zrozumieć pani córka, proponowałbym przyjąć przedstawioną przeze mnie linię postępowania.

— Ma pan rację — powiedziałam i skinęłam głową. — Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, odkładając emocje na bok i kierując się jedynie zdrowym rozsądkiem, jasno widać, na co się chcę porwać. Będę im zazdrościła każdego dnia, który spędzą z Norą, i jedynym moim pocieszeniem będzie świadomość, że otaczają ją troskliwą opieką.

— Jest pani osobą niezwykle rozważną — pochwalił mnie pan Arnold. — Proszę ani na chwilę nie zapominać, że jest pani właścicielką jednej trzeciej ich

fabryki. To za mało, by przegłosować ich decyzje, ale dosyć, by opóźnić wprowadzanie ich w życie, domagając się sprawozdań okresowych, zwoływania zebrań, wizytując zakłady, a, co najważniejsze, żądając pełnego dostępu do ksiąg rachunkowych.

— Proszę się nie obawiać, skorzystam ze wszystkich przysługujących mi uprawnień — zapewniłam go.

— I proszę być cierpliwą — poradził mi, obejmując mnie po ojcowsku i ściskając rękę Glenowi. — Do końca jeszcze bardzo daleko.

Jeśli chodzi o Glena i o mnie, nasz miesiąc miodowy też się jeszcze nie skończył. Spędziliśmy tydzień w Nowym Jorku, potem dwa dni zabawiliśmy w Filadelfii i w końcu postanowiliśmy wracać do domu, bo czułam, że Glen martwi się o swoją praktykę.

Przedłużyliśmy naszą podróż, płynąc z Nowego Jorku do Bostonu statkiem, nowoczesnym i komfortowym parowcem. Jeśli nie brać pod uwagę mego niepokoju o Norę i tęsknoty za nią, mogę uznać tamte dni za jedne z najszcześniejszych w moim życiu.

Glen pod wieloma względami bardzo przypominał Joela. Był delikatny, troskliwy, dobry. Ale podczas gdy Joela cechowała bierność, Glen okazał się człowiekiem czynu. Wszelkie zwlekanie złościło go; irytowały go ograniczenia, które uważał za niesłuszne, i gdyby nie autorytet pana Arnolda obawiam się, że Glen natychmiast wypowiedziałby Cameronom wojnę. Rezultaty takiej konfrontacji mogłyby się okazać fatalne. Gdyby moja córka dowiedziała się kiedyś — a Cameronowie już by się o to postarali — że jej matka została oskarżona o niemoralne prowadzenie się, sprawiłoby mi to większy ból niż cokolwiek innego.

W Bostonie wsiedliśmy do okopconego wagonu kolejowego i do Cameron dotarliśmy po południu. Glen wysłał depeszę do Jennie, więc wyszła nam na spotkanie. Powitała nas wyraźnie czymś zmartwiona.

— Jennie, czy stało się coś złego? — spytałam.

— Och, stało się wiele niedobrych rzeczy. — Objęła Glena i po chwili

rozplakała się żałośnie.

Spojrzał na nią badawczo, a mnie serce zamarło. Czy łyzy Jennie wywołało coś, co dotyczyło Nory?

— No, wyduś to wreszcie z siebie — powiedział Glen. — Co cię tak zmartwiło?

— Och, Glenie. Cameronowie dowiedzieli się o twoim ślubie z Maeve i waszej podróży poślubnej. Natychmiast sprowadzili drugiego lekarza. Otworzył gabinet w jednym z domów przy ulicy Main. Chcą się nas stąd pozbyć.

Glen pomógł nam wsiąść do powozu.

— Cóż, nie sądziłem, że się na to odważą — zauważył. — Rozmawiali z tobą?

— Nie, przyszedł do mnie tylko ten nowy doktor. To dość sympatyczny młody człowiek i nie wydaje mi się, by wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Powiedział, że Cameronowie będą mu płacili za opiekę lekarską nad robotnikami.

Glen zaciał konia i ruszyliśmy w stronę miasta.

— Obawiam się, że to nieco skomplikuje nasze plany. Ale zbytnio nam tym nie zaszkodzą. Mogę prowadzić praktykę wszędzie.

— Czy mogą nas zmusić do opuszczenia miasta? — spytałam.

— O, nie — powiedział Glen. — Już ci mówiłem, że nie mają nade mną władzy.

— Myślę o naszych pacjentach — powiedziała Jennie. — Och, jestem pewna, że ten nowy lekarz będzie się starał, ale przecież to nasze miasto rodzinne. Tutaj miał praktykę nasz ojciec. Straszne, jeśli będziemy musieli stąd wyjechać.

— Nie mówmy teraz o tym — powiedział Glen. — Coś wymyślimy. — Spojrzał na mnie. Siedziałam obok niego na przednim siedzeniu, bo cały tył zajmowały nasze bagaże. — A jeśli o panią chodzi, pani Kinnery, niech sobie pani nie myśli, że jak tu zostaniemy, to będziemy żyli z pani pieniędzy. Co to, to nie. Jestem lekarzem, a bez możliwości wykonywania praktyki wkrótce przestanę nim być; stanę się nikim. Więc odczekamy trochę i potem podejmiemy decyzję. A w międzyczasie możesz pokazać Jennie prezenty, które dla niej przywieźliśmy.

Nasz powrót do domu był smutny, mimo że Glen próbował nadrabiać miną. Przeszliśmy przez pustą poczekalnię i gabinet. Jennie zawczasu przygotowała

wspaniałą kolację, ale nie potrafiliśmy się rozkoszować potrawami tak, jak na to zasługiwały.

Razem z Jennie sprzątałyśmy ze stołu, kiedy Glen powiedział:

— Zdaje mi się, że ktoś jest w poczekalni. Zaraz wrócę.

Nie było go przez pół godziny, a kiedy wszedł, twarz rozjaśniał mu szeroki uśmiech i wprost tryskał humorem.

— To był George Prentice. Przyszedł po lekarstwo. Powiedziałem mu, że powinien się zwrócić do nowego doktora, ale oświadczył, że tego nie robi. Przypomniałem mu, że fabryka nie płaci mi już za leczenie robotników, na co powiedział, że zapłaci mi z własnych pieniędzy. Poinformował mnie też, że wszyscy mieszkańcy miasta będą się zwracać o pomoc do mnie.

— Och, Glenie — wykrzyknęłam uszczęśliwiona. — To cudownie.

— Również się cieszę — powiedziała Jennie — ale przecież tym ludziom ledwo starcza pieniędzy na jedzenie. Nie stać ich na leczenie i lekarstwa.

— Mamy dosyć oszczędności, by jakoś przetrwać — oświadczył Glen. — Na Boga, to świetna okazja, by dać Cameronom przymus w nos. Choć raz nie będą mogli postawić na swoim. Nie mogą zmusić swoich robotników do korzystania z usług lekarza, którego im wybrali. Jeśli robotnicy i ich rodziny chcą przychodzić do mnie, nikt nie może im tego zabronić. Ustalę opłaty za porady na tak niskiej wysokości, by było ich na nie stać, albo powiem im, że będę ich leczył za darmo.

— Nie zgadzam się na to — oświadczyłam.

Glen spojrzał na mnie.

— Ależ, kochanie, przecież możemy...

— Będiesz liczył za poradę tyle co poprzednio, a fabryka będzie płaciła robotnikom tyle co dotychczas. Pieniądze będą pochodziły z mojej części zysków. Może nie będą płacone bezpośrednio, może to wcale nie będzie honorarium, bo przecież te pieniądze i tak są nasze. Ale w księgach będziemy zapisywali wszystko tak, jakby w dalszym ciągu płaciła ci fabryka. Zapomniałeś, że jestem osobą majątną?

— Nawet jeśli o tym zapomniałem — powiedział cicho Glen — pamiętam

dobrze, że sam jestem bogaty, choć nie mam na myśli bogactwa materialnego.

Tego wieczoru nie mieliśmy więcej czasu na dyskusję. Drzwi do poczekalni otworzyły się i zamknęły kilka razy. Uszczęśliwiony Glen pocałował mnie, uściskał Jennie i udał się do swojego gabinetu. Wyrzałam przez okno kuchenne, z którego widać było drzwi frontowe i ścieżkę wiodącą do domu. Ustawiła się na niej kolejka. Liczyła siedem osób, co znaczyło, że w poczekalni jest pełno. Wszyscy ci ludzie czekali na powrót Glena.

— Biedaczysko — powiedziałam.

— Kto? — spytała Jennie. — O kim mówisz?

— O tym lekarzu sprowadzonym przez Cameronów.

Kiedy posprzątałyśmy, poszłam na górę, do pokoju, który miałam dzielić z Glenem. Moje walizki były otwarte, ale nie rozpakowane. Jennie nie naruszyłaby mojego prawa do prywatności, grzebiąc w moich rzeczach. Odszukałam zwierciadło.

Rada pana Arnolda wydawała się mądra i słuszna. Glen również zdawał się uzbrojony w cierpliwość, ale pomyślałam sobie, czy przypadkiem moje lustro nie mogłoby mi jakoś pomóc. Chciałam się dowiedzieć, co czeka Norę.

Nie zapadł jeszcze zmrok, ale zapaliłam dwie lampy, bo potrzebowałam dużo światła. Usiadłam i na moment przycisnęłam zwierciadło do piersi.

— To jedno z najważniejszych pytań, jakie kiedykolwiek zadawałam — szepnęłam. — Straciłam Norę. Czy ją odzyskam? Czy kiedyś znów będzie moim dzieckiem? Czy też pozostanie potomkiem Cameronów? Chcę ujrzeć twarz dziecka, które będę kochała i o które się będę troszczyła aż do swej śmierci. Nawet gdybyś już nigdy nie miało mi odpowiedzieć na żadne pytanie, zaklinam cię, byś odpowiedziało mi na to.

Uniosłam zwierciadło do oczu, lekko je przechylając, jak to zawsze robiłam. Tym razem obraz nie mignął mi przed oczami, tylko wyłaniał się powoli na tym niepozornie wyglądającym kawałku metalu. Przedstawiał małą dziewczynkę — ale nie była to Nora.

— Nie rozumiem — powiedziałam. — Poprosiłam, byś mi ukazało córkę, którą się będę opiekowała... i którą będę kochała...

Obraz zniknął. Siedziałam przez dłuższą chwilę, przyciskając lustro do piersi, a później przystąpiłam do rozpakowywania swoich walizek. Prawie skończyłam, kiedy wszedł Glen.

— Przyjąłem piętnastu pacjentów — pochwalił się. — Nalegali, by mi choć trochę zapłacić. Zarobiłem cztery dolary. Uważam, że zupełnie nieźle.

— Może jak na trzy osoby — zauważyłam. — Ale wkrótce będzie nas czworo.

— O czym ty mówisz, Maeve?

— Glenie, będziemy mieli córeczkę. Śliczną córeczkę.

— Och, Maeve, jak możesz być tego pewna? Najlepszy lekarz na świecie nie potrafiłby tak wcześnie stwierdzić, czy jesteś w ciąży. To tylko marzenia.

— Będzie równie piękna jak Nora. Może nawet piękniejsza. Nigdy nie zajmie w moim sercu miejsca Nory, ale będę ją kochała równie mocno.

— Maeve, nie możesz wiedzieć, że jesteś w ciąży, a już absolutnie wykluczone, byś mogła znać płeć swego nie narodzonego dziecka.

— Noszę w sobie dziecko — powiedziałam. — Jest to dziewczynka. Pewnego dnia powiem ci, czemu jestem tego taka pewna. Najpierw jednak będziesz mnie musiał lepiej poznać, bo kiedy ci wyjawię swoją tajemnicę, jestem pewna, że początkowo pomyślisz, że zwariowałam. Więc musisz trochę poczekać na wyjaśnienie, ale od jutra zacznę przygotowywać wyprawkę dla mojego dziecka.

Jennie również nie uwierzyła w moje stanowcze oświadczenie, że będę miała córkę. Jednak coś musiało być w tonie mojego głosu czy w mojej postawie, bo kiedyś przyłapałam ją na szyciu dziecięcych ubranek. Może moje zwierciadło też miało na nią jakiś wpływ.

Minęły dwa tygodnie. Często spoglądałam w kierunku domu na Wzgórzu i coś mnie korciło, by tam pójść, ale pohamowałam swoje naturalne pragnienie ujżenia Nory. Zgromadziłam pewien zapas sił, by oprzeć się tej przemożnej chęci, bo razem z Glenem i Jennie chcieliśmy udowodnić Cameronom, że nie zawsze wszystko będzie

się działo zgodnie z ich wolą.

Któregoś dnia Glenowi dożył wizytę nowy lekarz, by go poinformować, że nie zgłosił się do niego ani jeden pacjent, więc zamyka swój gabinet. Nie był zły ani na nas, ani na mieszkańców miasta, ale uważał, że Cameronowie powinni mu byli przedstawić pełny obraz panującej tu sytuacji.

Glen miał masę roboty. Nie brał za swoje porady dużo pieniędzy, ale w sezonie nigdy nie brakowało nam świeżych warzyw ani owoców. Co miesiąc, regularnie, bank przekazywał mi dywidendy, które były całkiem pokaźne. Glen nie mógł mi odmówić przyjemności kupienia mu nowego sprzętu medycznego i mebli do domu.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że wszyscy w mieście wiedzieli, co zaszło. Często spacerowałam wzdłuż ulicy Main, zatrzymując się, by porozmawiać z ludźmi.

Podczas jednej z takich porannych przechadzek ktoś podszedł do mnie od tyłu.

— Codziennie koło jedenastej Helen wychodzi z Norą na spacer — szepnęła Abner. — Dociera z wózkiem aż na sam dół wzgórza.

— Dziękuję, Abnerze — powiedziałam. — Cieszę się, że cię widzę.

— Nieczęsto teraz bywam w domu. Przeniosłem się do zajazdu.

— Nora dobrze się czuje?

— Tak, ma się świetnie. Traktowana jest jak księżniczka. Nie martw się o nią.

— Chcę ją odzyskać.

— Nie śpiesz się. Nie wolno ci popełnić najmniejszego błędu. To bardzo ważne.

Odwrócił się i po chwili zniknął. Zawróciłam do domu. Nie powiedziałam nikomu, co zamierzam zrobić, bo nie chciałam, by mi przeszkodzono. Zaprzęgnęłam konia do bryczki i pojechałam w stronę domu na Wzgórzu, ale zanim ktokolwiek mógł mnie stamtąd dojrzeć, zjechałam na pobocze i zostawiłam bryczkę za drzewami. Następnie ruszyłam skrajem drogi, starając się, by nikt mnie nie zauważył.

Spojrzałam na zegarek. Kwadrans po jedenastej. Jedyłą dobrą cechą, jaką posiadali Cameronowie, nie wyłączając Helen, była punktualność. Kiedy ustalili jakiś rozkład zajęć, trzymali się go z dokładnością niemal co do minuty. Wiedziałam, że za chwilę wyłoni się Helen z dużym, dzieciennym wózkiem.

Ukryłam się w gęstych zaroślach. Serce waliło mi jak młotem. Zdawałam sobie sprawę z ryzyka, jakiego się dopuszczam, ale to była moja córka i musiałam ją zobaczyć, choć przez chwilę potrzymać ją na ręku. Wynurzyłam się gwałtownie tuż przed Helen, która na mój widok wydała cichy okrzyk przerażenia. Zatrzymała się chcąc zawrócić wózek i uciec.

— Nie przyszłam, by ci zrobić coś złego — powiedziałam. — Chcę zobaczyć Norę. Za chwilę wezmę ją na ręce i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

— Maeve... nie wolno ci...

— Jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, zabiorę ją. Jeśli będziesz się zachowywała rozsądnie, położę ją z powrotem do wózka i odejdę.

— Nie... nie mogę ci tego zabronić — wyjąkała. — Maeve... nie wiń mnie...

— Winię ciebie i was wszystkich. — Pochyliłam się nad wózkiem i wzięłam Norę na ręce. Zaczęła płakać. Przytuliłam ją, ale nie przestała płakać.

— Maeve — powiedziała Helen — jeśli cię ktoś zobaczy... będą kłopoty...

Położyłam Norę z powrotem do wózka. Natychmiast się uspokoiła i zaczęła wesoło gaworzyć. Pocałowałam ją i opatuliłam kocykiem.

— Dziękuję, Helen — powiedziałam.

Chwyliła rączkę wózka, wykręciła i oddaliła się tak szybko, jak na to pozwalało nachylenie stoku. W pewnej chwili zatrzymała się i odwróciła w moją stronę.

— Nigdy więcej tego nie rób! Deborah jest moja. To moja córka. Nie dostaniesz jej. Jesteś tylko zwykłą... zwykłą... dziwką!

Nawet nie odczuwałam złości. Mówiąc szczerze, byłam niemal uszczęśliwiona. Nora czuła się dobrze i byłam pewna, że mnie poznała. Może była to beznadziejna, głupia nadzieja matki, którą pozbawiono dziecka, ale owo uczucie nie opuściło mnie przez całą drogę powrotną do domu, do mojego męża, u boku którego będę oczekiwała narodzin drugiej córki.